

GÜNTER GRASS

Miejscowe znieczulenie



GÜNTER GRASS

Miejscowe znieczulenie

Powieść *Miejscowe znieczulenie* ukazała się w Niemczech w roku 1969, pomiędzy najważniejszymi dziełami Günтера Grassa: w kilka lat po Trylogii Gdańskiej (*Błaszany bębenek, Kot i mysz, Psie lata*), na kilka lat przed *Turbotem*. Był to okres wytężonej aktywności politycznej autora, który w owym czasie zaangażował się głęboko w kampanię wyborczą niemieckiej socjaldemokracji i jej przywódcy – późniejszego kanclerza – Willy Brandta.

W *Miejscowym znieczuleniu* Grass opisuje ówczesny stan ducha Niemców: poczucie zastoju, oczekiwanie zmiany, bezkompromisowy bunt młodości i sceptycyzm wieku dojrzałego. Pojawiają się też echa lat wojny i hitleryzmu – częsty u pisarza motyw nieprzezwyciężonej przeszłości

Bohater powieści, Eberhard Starusch, czterdziestoletni profesor berlińskiego gimnazjum, cierpi z Powodu bólu zębów i musi poddać się długotrwałemu leczeniu. Fotel dentystyczny staje się u Grassa jakby sofą psychoanalityka W ciągu kolejnych wizyt Starusch przeprowadza rozrachunek z żydem własnym i całej swojej generacji, bilansując porażki, zaniechania i frustracje. Będąc w młodości buntownikiem sympatyzuje z buntem młodych, ale sam już nie jest do niego zdolny przystosował się do otaczającego świata, jego wrażliwość i wola działania i zostały w imię tzw. zdrowego rozsądku „miejscowo znieczulone”, Czy trwale i nieodwracalnie?

W serii dzieł wybranych Güntera Grassa przygotowywanej przez POLNORD – Wydawnictwo OSKAR ukazały się dotąd tomy. *Listopadnia. 13 sonetw* (1994), *Błaszany bębenek* (1994), *Turbot* (1995), *Kot i mysz* (1996). W 1998 roku przewidziano wznowienie *Psich lat* oraz wydanie nowej głośnej powieści pisarza pt *Rozległe Pole*

Dzieła Güntera Grassa pod redakcją

SMWOMIRA BŁAUTA i JOANNY KONOPACKIEJ

Przełożył

Sławomir Błaut

POLNORD

WYDAWNICTWO OSKAR-

Gdańsk 1997

Tytuł oryginału

örtlich betäubt

Opracowanie graficzne Piotr PIÓRKO

Grafika na okładce Günter GRASS

Przekład tej książki powstał dzięki pomocy finansowej INTER NATIONES Bonn

ISBN 83-86181-33-8

Copyright (c) 1993 by Steidl Verlag. Cöttingen

© Copyright for the Polish edition by POLNORD – Wydawnictwo OSKAR. Gdańsk 1997

Opowiadałem to mojemu dentyście. Z rozdziawioną gębą, mając przed sobą ekran telewizora, który bezgłośnie jak ja opowiadał reklamy: Lakier do włosów Kasy mieszkaniowe Bielszy od bieli. Ach, i zamrażarka, w której między cynadrami cielecymi a mlekiem spoczywała moja narzeczona wysyłając komiksowe baloniki: Ty się wyłącz, ty się wyłącz...

(Święta Apolonio, wstaw się za mną!). Moim uczennicom i uczniom powiedziałem: – Postarajcie się być wyrozumiali. Muszę iść do zębodłuba. To się może przeciągnąć- A więc taryfa ulgowa.

Powściągliwy śmiech. Bezceremonialności średniego kalibru. Scherbaum sypał dziwacznymi wiadomościami: – Wielce szanowny profesorze Starusch. Pańska naznaczona cierpieniem decyzja skłania nas, pańskich współczujących uczniów, do przypomnienia panu męczeństwa świętej Apolonii. W roku 250, za panowania cesarza Decjusza, poczciwa dziewczyna została w Aleksandrii spalona żywcem. Ponieważ przedtem motłoch wyrwał jej cęgami wszystkie zęby, jest ona patronką wszystkich cierpiących na ból zęba i prawem kaduka również dentyków. Na freskach w Mediolanie i Spoleto, na sklepieniach szwedzkich kościołów, ale też w Sterzingu, Gmünd i Lubece widzi się ją przedstawioną z cęgami i zębem trzonowym. Dużo przyjemności i nabożnego oddania. My, pańska 12a, będziemy prosić świętą Apolonię o wstawiennictwo.

Klasa mamrotała błogosławieństwa. Podziękowałem za umiarkowanie dowcipny wygląd. Wero Lewand z miejsca domagała się ode mnie rewanżu: głosowania za postulowanym od miesiąca kącikiem dla palaczy koło szopy na rowery. – To, że nie

pilnowani kurzymy w ustępie, nie może przecież być po pana myśli.

Obiecałem klasie, że na najbliższej konferencji i wobec komitetu rodzicielskiego opowiem się za ograniczoną czasowo zgodą na palenie, o ile Scherbaum będzie gotów objąć redakcję gazetki szkolnej, jeśli komisja samorządu uczniowskiego wysunie jego kandydaturę: – Wybaczcie porównanie: moje zęby i wasza gazetka wymagają leczenia.

Ale Scherbaum odmówił: – Dopóki współodpowiedzialność uczniów nie zamieni się w ich współdecydowanie, nie kiwnę palcem. Idiotyzmu nie można zreformować. A może pan wierzy w zreformowany idiotyzm? – No właśnie. – Z tą świętą to zresztą prawda. Może pan zajrzeć do kościelnego kalendarza.

(Święta Apolonio, wstaw się za mną!) Bo u męczenników jednorazowa inwokacja nie skutkuje. Zatem późnym popołudniem ruszyłem w drogę, zwlekałem z trzecią inwokacją i dopiero na Hohenzollerndamm, o parę kroków od owej tabliczki z numerem domu, która na drugim piętrze kamienicy o mieszczańskim wystroju obiecywała mi gabinet dentysty, nie, dopiero na klatce schodowej, pośród waginalnych ornamentów secesyjnych, które, ujęte w kształt fryzu, jak ja podążały w górę, zdecydowałem się, wbrew przekonaniu, na trzecią inwokację: – Święta Apolonio, wstaw się za mną...

Poleciała mi go Irmgarda Seifert. Powiedziała, że jest powściągliwy, oględny, a jednak zdecydowany. – I proszę sobie wyobrazić: ma w gabinecie telewizor. Z początku nie chciałam, żeby chodził podczas wizyty, ale teraz muszę przyznać: wspaniale odwraca uwagę. Człowiek jest zupełnie gdzie indziej. I nawet ślepy ekran ma w sobie coś ekscytującego, jakoś tam ekscytującego...

Czy dentysta ma prawo pytać pacjenta, skąd ten pochodzi?

–Zęby mleczne postradałem na przedmieściu Nowy Port. Ludzie tamtejsi, sztauerzy i robotnicy od Schichaua, przepadali za żuciem tytoniu; odpowiednio też wyglądały ich zęby. I gdziekolwiek się ruszyli, tam pozostawiali znaki: smolistą plwocinę, która na mrozie nie chciała zamarzać.

–Taktak – odparł dentysta w pantoflach z żaglowego płótna – ale dzisiaj prawie nie mamy do czynienia z uszkodzeniami od tytoniu do żucia. – I już był gdzie indziej: przy zaburzeniach artykulacji i przy moim profilu, któremu wysunięta dolna szczęka od czasu dojrzewania przydaje więcej siły woli, aniżeli zdołałoby ująć wczesne leczenie ortodontyczne. (Moja była narzeczona porównała mój podbródek do taczek; oprócz karykatury puszczanej w obieg przez Wero Lewand mojemu podbródkowi przypisywano jeszcze inną funkcję: platformy nisko pod wozi owej). Jest, jak jest. Zawsze wiedziałem, że mam tnący zgryz. Pies szarpie. Krowa rozciera. Człowiek żuje

przy pomocy obu ruchów. Mnie brak tej normalnej artykulacji. – Pan tnie-oznajmił mój dentysta. A ja ucieszyłem się, że nie powiedział: Pan szarpie, jak szarpia psy. – Dlatego zrobimy rentgena, całą serię. Niech pan spokojnie zamknie oczy. Ale możemy też włączyć telewizor...

–Dzięki, doktorze. – A może już na samym początku doszedłem do poufalego zdrobnienia: „doktorciu”? Później, będąc zależny, wołam: Ratunku, doktorciu! Co ja mam zrobić, doktorciu? Pan przecież wszystko wie, doktorciu...)

Podczas gdy on swym jedenastokrotnie pobrzękującym ręcznym aparatem pstrykał zdjęcia moich zębów i paplał przy tym – „Mógłbym panu opowiedzieć historyjki z pradziejów stomatologii...” – ja na mlecznej wypukłości widziałem wiele, na przykład Nowy Port, gdzie w Motławie, naprzeciwko Ostrowa, zatopiłem mleczny ząb.

Jego film rozpoczynał się inaczej- – Trzeba zacząć od Hipokratesa. Zaleca on papkę z soczewicy na ropnie w jamie ustnej...

A moja mamusia potrząsnęła na ekranie głową – Nie, topić my nie będziemy. W szkatułce na niebieskiej wacie ich schowamy. – Lekka wypukłość tchnęła dobrocią. Kiedy mój dentysta wygłaszał naukowe pewniki – Płukanie roztworem pieprzu miało zdaniem Hipokratesa pomagać na obrzęk dziąseł... – moja mamusia mówiła pośrodku naszej kuchni mieszkalnej: – I broszkę z granatu do bursztynu dołożę, i dziadka ordery. I twoje mleczaki akuratnie pozbieramy, co by później żonka i dzieciaczki rzec mogły: to tako one wyglądały.

On wszakże wziął się na moje zęby przedtrzonowe, na moje zęby trzonowe. Bo że wszystkich moich trzonowców najmocniej trzymały się zęby mądrości – górne ósemki, dolne ósemki: one miały stać się filarami mostowymi i dzięki korygującemu mostowi złagodzić mój tnący zgryz. – Zabieg – powiedział. – Będziemy musieli zdecydować się na większy zabieg. Czy teraz, kiedy moja pomoc wywołuje rentgenowskie zdjęcia, a ja zabiorę się do usuwania pańskiego kamienia, mogę włączyć obraz i dźwięk?

Wciąż jeszcze. – Dzięki.

On machnął ręką na zasady: – Może program ze Wschodu? – Mnie wystarczał tolerujący wszystko ciemny ekran, na którym raz po raz widziałem siebie, jak powoli, naprzeciwko Ostrowa, zatapiam mleczny ząb w portowej brei. jeszcze podobała mi się moja rodzinna historia, bo zaczyna się od mleczaków: – Na pewno, mamusiu, jeden ząbek – bo przecież go brakuje – zatopiłem w porcie. I połknęła go ryba, nie sandacz, tylko sum, który przetrwał wszystkie złe czasy. Wciąż jeszcze stoi na czatach, bo sumy żyją długo, i czeka na dalsze mleczaki. Ale pozostałe ząbki perłą się mlecznie i bez kamienia na czerwonej wacie, a tymczasem broszka z granatu z

bursztynami i orderami dziadka przepadła...

Mój dentysta przebywał wówczas w wieku jedenastym i opowiadał o arabskim lekarzu Albukassisie, który w Kordobte jako pierwszy zwrócił uwagę na kamień nazębny – Trzeba go odłupać. – Przypominam sobie również takie oto zdania: Kiedy rodnik kwasowy w środowisku alkalicznym pozostaje poniżej pH siedem, tworzy się kamień nazębny, ponieważ ślinianki podżuchwowe opróżniają się na siekacze, a przyusznice na górne szóstki, szczególnie silnie przy ekstremalnych ruchach ust, na przykład przy ziewaniu. Niech pan ziewnie. Tak, tak, doskonale...

Wykonywałem to wszystko, ziewałem, wydzielałem ślinę, która tworzy kamień nazębny, a mimo to nie udawało mi się wciągnąć mojego dentysty: – No, doktorze, jak się nazywa moja malutka produkcja?– Uratowane mleczaki. Bo kiedy w styczniu czterdziestego piątego moja mamusia musiała zbierać manatki – ojciec pracował przecież w kapitanacie portu i mógł coś załatwić – zdołała opuścić Nowy Port ostatnim transportowcem wojskowym. Ale zanim opuściła, to, co najkonieczniejsze, a więc także moje mleczaki, spakowała do dużego ojcowskiego worka z żaglowego płótna, a ten, jak to się zdarza w trakcie gorączkowych przygotowań do ucieczki, omyłkowo został załadowany na „Paula Beneke”, kołowy parowiec wycieczkowy, który nie wpadł na minę i choć przepelniony, dotarł cało do Travemünde, podczas gdy moja zacna mamusia nie ujrzała ani Lubeki, ani Travemünde; bo ów transportowiec wojskowy, o którym twierdzę, że był ostatni, na południe od Bornholmu wpadł na minę, został storpedowany i – jeśli zechce pan obejrzeć się za siebie i zostawić w spokoju kamień nazębny – normalnie zatonął, z moją mamusią, jak wtedy pośród lodowej kaszy, tak dzisiaj na pańskim ekranie. Tylko kilku panom z okręgowego kierownictwa partii podobno udało się przesiąść w porę na kuter torpedowy...

Mój dentysta powiedział – Niech pan popłucze. – (W trakcie długotrwałego leczenia prosił, wzywał mnie, wołał: – Jeszcze raz! – pozwalając mi oderwać wzrok). Bardzo rzadko obrazkom mojej produkcji udawało się utrzymać i w spluwaczce przestłonić plwocinę, choćby z drobinami kamienia: odległość między ekranem a spluwaczką, to uporczywe migotanie przy równoczesnym napływie śliny, obfitowała w pułapki i przytaczała nawiasowe zdania- wtręty mojego ucznia Scherbauma, prywatne utarczki między Irmgardą Seifert a mną, codzienny szkolny kołowrót, pytania egzaminacyjne dla kandydatów na nauczycieli i pytania egzystencjalne, opakowane cytatami. Jednakże choć trudno było znaleźć drogę od ekranu telewizora do spluwaczki, a po płukaniu wrócić do filmowego wątku, prawie zawsze udawało mi się uniknąć zakłóceń obrazu.

–Jak to się składa, doktorciu moje mleczaki przechowywały się długo, bo co raz zostanie uratowane, już tak szybko nie zginie.

–Ale nie czarujmy się na kamień nazębny nie ma lekarstwa.

–Kiedy syn poszukiwał rodziców, przysłano mu worek z żaglowego płótna.

–Dlatego dzisiaj będziemy walczyć z kamieniem nazębnym, czyli wrogiem numer jeden.

–I każdej dziewczynie, która widziała we mnie przyszłego narzeczonego, pokazywałem swoje uratowane mleczne zęby.

–Bo usuwanie kamienia przy pomocy instrumentu należy a priori do każdego leczenia dentystycznego.

–Ale nie każda dziewczyna uważała, że mleczeni Eberharda są ładne bądź interesujące.

–Od niedawna mamy metody ultradźwiękowe Niech pan popłucze.

Irytujący, jak z początku sądziłem, przerywnik, bo z pomocą uratowanych mlecznych zębów nieomal udało mi się zwabić na ekran moją byłą narzeczoną i zacząć (jak i teraz chcę wreszcie zacząć swój lament), ale mój dentysta był przeciwny. Za wcześnie.

Podczas gdy ja płukałem obficie, on zabawiał mnie anegdotami. Opowiadał o jakimś Skryboniuszu Largusie, który obmyślił proszek do zębów dla Messaliny, pierwszej żony cesarza Klaudiusza prażone rogi jelenia plus żywica chiotyczna i sól amonowa. Kiedy przyznał, że już u Pliniusza tłuczone mleczne zęby stanowiły popularny proszek szczęścia, w uszach znów zabrzmiało mi zdanie mojej mamusi – Tutaj, syniu, na zielonej wacie tobie kładę. Co by szczęście tobie kiedyś przyniosły.

Co tu gadać o zabobonie! W końcu pochodziłem z rodziny marynarskiej. Wuj Maks zginął na Dogger Bank. Ojciec przeżył zatopienie „Königsbergu” i do końca istnienia Wolnego Miasta pracował jako pilot w porcie. A mnie chłopaki od początku nazywali Störtebekerem. Do ostatka byłem ich przywódcą. Moorkähnemu przyszło grać drugie skrzypce. Dlatego chciał rozbić bandę. Ale ja do tego nie dopuszczałem – Tylko uważajcie, chłopaki – I to dopóty, dopóki cała sprawa się nie obsunęła, bo szczapowate ścierwo nas sypnęło. Powinienem bym był wyłożyć raz kawę na ławę i wszystko po kolei, tak jak naprawdę było, wyświetlić na ekranie. Ale bez przyjętych zazwyczaj efektów napięcia – wzlot i upadek bandy Wyciskaczy – tylko w kategoriach naukowej analizy Bandy młodzieżowe w Trzeciej Rzeszy. Bo akt Pirackich Szarotek w piwnicach kolońskiego prezydium policji dotychczas nikt jeszcze nie ujawnił (- Jak pan sądzi, Scherbaum? To przecież powinno zainteresować pańskie pokolenie. Mieliśmy wtedy po siedemnaście lat, jak wy dzisiaj macie po

siedemnaście. I nie sposób przeoczyć pewnych zbieżności żadnej własności, dziewczyna przynależna całej grupie i absolutna kontra wobec wszystkich dorosłych, także żargon panujący w 12a przypomina mi żargon naszej bandy). Wszelako wówczas była wojna. Nie chodziło o kącik dla palaczy i podobne głupstewka. (Kiedyśmy obrobili Urząd Gospodarczy. Kiedyśmy boczny ołtarz w kościele Serca Jezusowego. Kiedyśmy na placu Winterfelda). Myśmy stawiali prawdziwy opór. Z nami nikt nie mógł sobie poradzić. Aż Moorkähne nas sypnął. Albo ta deska do prasowania z tymi swoimi siekaczami. Powinienem był spławie oboje. Albo twardo zabronić. Żadnych bab! Nawiasem mówiąc nosiłem wtedy swoje mleczne zęby w woreczku na piersi. Kogo przyjmowaliśmy, ten musiał przysięgać na moje mleczaki „Nicość niczeje nieustannie”. Trzeba mi było je przynieść. – Widzi pan, doktorciu. Tak to szybko idzie. Jeszcze wczoraj byłem szefem młodzieżowej bandy budzącej postrach w okręgu Gdańsk – Prusy Zachodnie; natomiast dzisiaj jestem już gimnazjalnym profesorem niemieckiego, a zatem i historii, który chciałby namówić swego ucznia Scherbauma, żeby dał sobie spokój z młodzieńczym anarchizmem. „Niech pan obejmie gazetkę szkolną. Pański talent krytyczny domaga się instrumentu”. Bo profesor gimnazjalny jest przeorientowanym przywódcą młodzieżowej bandy, któremu – jeśli zechce mnie pan wziąć za miernik – nic już nie doskwiera prócz bólu zębów, bólu od tygodni.

Znośne, ale jednak trapiące mnie nieustannie bóle zębów mój dentysta tłumaczył zamkiem kości szczękowych, który przyczynił się do ubytku dziąseł i odsłonił wrażliwe szyjki zębowe. Gdy nie pomogła mi kolejna anegdotka – Pliniusz na ból zęba zalecał wsypcie sobie do ucha popiół z czaszki wściekłego psa – wskazał swym sterpem przez ramię – Może jednak włączymy telewizor – Ale ja obstawałem przy bólu krzyk boleści Lament, który nigdy nie gra na zwłokę (- Wybaczcie, proszę, jeśli jestem roztargniony).

Na ekranie mój uczeń prowadził rower. – Pan z tym swoim bólem zębów. A co się dzieje w delcie Mekongu? Czytał pan?

–Tak, Scherbaum, czytałem. Kiepska sprawa. Kiepskakiepska. Ale muszę przyznać, że to ćmienie, ten powiew skierowany wciąż na ten sam nerw, że ten dający się zlokalizować, wcale nie taki straszny, lecz drepczący w miejscu ból bardziej mi dokucza, dręczy mnie i obnaża niż sfotografowany, bezmierny, a jednak abstrakcyjny, bo nie dotykający mojego nerwu ból tego świata.

–Nie budzi to w panu gniewu albo przynajmniej smutku?

–Często próbuję być smutny.

–Nie oburza pana to bezprawie?

–Staram się być oburzony.

Scherbaum zniknął. (Wstawił rower do szopy). Ściszym głosem odezwał się mój dentysta – jak zboli, to proszę dać malutki znak.

–Ćmi. Tak. Tu z przodu cmi.

–To odsłonięte, zaatakowane przez kamień szyjki pańskich zębów.

–Rany, jak ćmi.

–Weźmiemy później arantil.

–Mogę popłukać, doktorem, raz-dwa popłukać?

(I pospieszyć z przeprosinami. Nigdy więcej nie będę). Oto już miałem w uszach moją narzeczoną – Ty z tym swoim kwękaniem! Bolesne pożegnanie, sądząc z tego, co słyszę. Podaj mi swoje konto, to przekażę plasterek. Należy ci się przecież renta. Zaczynaj coś nowego. Pokarm swojego konika celtyckie ornamenty nagrobne.

(Przeskok od spluwaczki do kopalni bazaltu na Mayener Feld. Nie, ona pojawia się na cmentarzu w Kruft. A może to składowisko pumeksu i ona między pustakami).

–Bądź pożyteczny Załóżę się, że będzie z ciebie pierwszorzędny belfer.

(To nie pumeks Andernach. Wystawiona na wiatry Reńska Promenada. Liczenie przyciętych platanów między bastionem a promem samochodowym. Tam i z powrotem ze słowami rozrachunku).

–Ileż ty pedagogiki wysączyłeś na mnie? Nie obgryzaj paznokci. Czytaj powoli i systematycznie. Zrekapituluj, zanim zmienisz temat. Karmiłeś mnie Heglem i swoim Marksengelsem.

(Zastygła kozia twarz, z której dobywają się komiksowe baloniki, wypełnione po brzegi okruciami kamienia nazębnego żwirem pamięci szutrem nienawiści. Ach, Lois Lane!)

–Jestem dorosła. Rzucam cię. Nareszcie rzucam cię. Ty mięczaku fujaro supertchórzu!

(A za maszyną do mówienia ruch, w górę rzeki w dół rzeki Dychaji Dychaji).

–Byłeś dobrym, trochę mazgajowatym nauczycielem. (Na prawym brzegu Renu Leutesdorf z dwugarbną, brązowoczną w deszczu winnicą Pod Różami. Westchnij

Westchnij.)

–Zrób coś ze swoimi talentami. Połóż krzyżyk na pumeksie i cemencie, nim będzie za późno. Jak chcesz dostać te piętnaście tysięcy?

(U stóp winnicy pociągi towarowe i przemykanie samochodów. Ruch nasila się w tle Słowa, przelatujące obok mnie z lewej z prawej, wyplute na taras hotelu Pod Gronem Ple Ple)

–Na raty czy w jednym kawałku?

(Oto stoję w podszytym wiatrem trenczu zadatek supermana)

–No to już. Podaj mi swoje konto.

(W dawnych czasach bastion w Andernach był nadreńską strażnicą celną kolońskich elektorów).

–Potraktuj to jako odszkodowanie i przestań się mazgać.

(później stał się pomnikiem poległych między dziewięćset czternastym a dziewięćset osiemnastym. Kamera przesuwa się. Asystent reżysera namówił moją narzeczoną na karmienie mew. Krzycz! Krzycz!)

Spłaciła mnie. A ja zainwestowałem pieniądze z pełną świadomością. Spóźniony student przerzucił się na inny kierunek. Uniwersytet w Bonn – chciałem pozostać w jej bliskości – zamienił inżyniera z fabryki, specjalistę od odpylaczy cyklonowych, w referendarza, później w asesora, który od jesieni zeszłego roku jest gimnazjalnym profesorem niemieckiego i historii.

**–Czy przy pańskiej wiedzy fachowej – poddawano pod rozwagę amatorowi przekwalifikowania się – nie byłoby lepiej wybrać matematykę na przedmiot główny?
– A i ten w pantoflach z żaglowego płótna przerwał usuwanie mojego kamienia – Jak pan po skończonych studiach z mechaniki mógł wpaść na coś takiego? Przecież to trwa wieki.**

Popłukałem solidnie. Jak już się przekwalifikować, to na całego. Jej pieniądze nie powinny były pójść na marne. Zostało mi nawet około trzech tysięcy (które musiałem później przelać na jego konto, bo kasa chorych chciała pokryć tylko połowę). Tyle powinien być dla mnie być wart tnący zgryz. Siadałem za to w jego półautomatycznym fotelu, zwanym Ritterem, który podsuwał jego biegłym dłoniom mnóstwo instrumentów, ażeby on, podczas gdy ja, nie, my obaj w mojej głowie, która lubi przyjmować gości – Jak pan uważa, czy powinienem był zaszyć sobie kieszenie?

Moja narzeczona odwołała program z Andemach. – Widzieliśmy przed chwilą, jak zielony kryptonit niszcząco wpływa na szkliwo zębów supermana. A jak zęby supermana zareagują na czerwony kryptonit? – O tym przekonamy się w następnej rewii o supermanie. Tymczasem zajrzyjmy do warsztatu kryptoniciarza.

Pokazywała mi moje otoczenie – Ten kształtny ślinociąg z opuszczanym węzłem jest poruszany sprężarką wodną i na wszystkich targach dentystycznych przyciąga uwagę niezwykle wysoką wydajnością odsysania. – Takim głosikiem, jakby chciała zachwalić zabawki na choinkę, wysławiała splukiwanie spluwaczki i dwuprzegubowe ramię ślimociągowe Rittera – Za jego sprawą miska porusza się również w pionie – I obie, ona na ekranie, jego pomocnica zdrętwiałymi palcami, udzielały wskazówek za pomocą przycisku na przedniej stronie wiszącego stoliczka. Jak mnie obsługiwały. Jak wywabiały ślinociąg z zanurzenia. Bawiło mnie, jak mlaskał bulgotał udawał pragnienie, nim zawisał w mojej ślinie.

–I proszę rozluźnić język – Mój dentysta pochylił się nad moim zestawem, zasłonił cztery piąte ekranu, łokciem prawej ręki szukał oparcia między zębami a biodrem i dłubał pośród pokrytych kamieniem nazębnym szyjek moich górnych siekaczy – Nie połykać, to załatwi ślinociąg Odetchnąć głęboko, o tak. Może jednak powinienem – Nienienienie (Jeszcze dzisiaj nie). Chciałbym słyszeć, jak on zdziera z zębisk kamienisty osad.

Widzi pan, Scherbaum, także i to chce zostać opisane. Zbieram ślinę pianę krew ze wszystkimi trzeszczącymi ziarniście odpryskami, zbudziwszy ciekawość języka, napędziwszy mu stracha wywalam to bogactwo do spluwaczki, chwytam poręczną, meduzą szklankę -zęby nie kusiła pacjentów do kilkakrotnego płukania – płuczę, przyglądam się plwocinie, widzę więcej, niż w niej jest, żegnam się ze swoim rozkruszonym kamieniem nazębnym, odstawiam szklankę i obserwuję z rozbawieniem, jak samoczynnie napełnia się ciepłą wodą My, Ritter i ja, planowo współpracujemy ze sobą.

Bo widzi pan, Scherbaum, opisu domaga się równoczesność wielu czynności. Podczas gdy ja wystawiam się z otwartą gębą i w duchu cytuję lamentacje Jeremiasza, Ritter balansując podsuwa stoliczek z instrumentami, a ten w pantoflach z żaglowego płótna wprawia w płynny ruch dostarczyciela narzędzi, które czekają na zawołanie. Na przykład końcówka z prądem do mierzenia żywotności miazgi zębów, ładowana automatycznie i nie umiejscowiona na stałe, po naładowaniu mógłby on włożyć ją do kieszeni i pójść z nią na spacer po leśnych drózkach wokół Jeziora Grunewaldzkiego, nad kanałem Teltow, również odwiedzając doroczną wystawę rolniczą, gdziekolwiek taki dentysta podkrada się z nadzieją ustrzelenia zwierzyny – Czy mogę na króciutko? Oto moja wizytówka. Ma pan, szczerze mówiąc, przodożuchwie. Nadaje ono panu, przy wysuniętej dolnej szczęce, przesadnie

charakterystyczny wygląd. Narzuca się podejrzenie o brutalność. Zahamowania szukają kompensaty. Toteż należałoby panu zalecić założenie degudentowych mostów. Wystarczy telefon. Ustalimy termin dogodny dla obu stron. Tylko sześć do siedmiu posiedzeń, jeśli jakieś większe komplikacje nie przysporzą utrudnień. Proszę zaufać mnie i mojej dyskretnej pomocnicy. W dodatku telewizor zadba o odwrócenie uwagi. Ba, nawet ślepy ekran potrafi odtworzyć bieg pańskich myśli; tylko muszę prosić, żeby wraz ze mną uwierzył pan w moją wiertarkę Rittera z jej szybkobieżnymi przegubami – i w trzysta pięćdziesiąt tysięcy obrotów na minutę, które przy zmniejszonym hałasie gwarantuje głowica turbiny mojego airmatiku.

–Naprawdę?

–Z dziecinną łatwością wymieniam wiertła do borowania i szlifowania.

–A cały mój ból?

–Zostanie miejscowo znieczulony.

–Czy to konieczne?

–Kiedy na koniec jeszcze raz wypolerujemy, uzna pan, że odstępnie zapłacone przez pańską narzeczoną nie poszło na marne

–Byliśmy zaręczeni bądź co bądź dwa i pół roku.

–Niech pan wyłoży kawę na ławę, mój drogi, niech pan wyłoży.

–To było w roku pięćdziesiątym czwartym.

–Ładny początek...

Opowiadałem to mojemu dentyście – Ale ostrzegam pana, doktorciu, będzie tu mowa o trasie, pumeksie, wapniu, marglu i glinie, o łupku i klinkierze, o wsiach, które nazywają się Plaidt, Kretz i Kruft, o tufie ettońskim i wyrobach gotowych z kottenheimskiej lawy bazaltowej, o kopalniach pumeksu pod Korrelesbergiem i o subwulkanicznych złożach bazaltu na Mayener Feld, najpierw jednak -zanim będzie mowa o mnie, Lindzie i Heinzu Schlottau, o Matyldzie i Ferdynandzie Kringsach – mowa będzie, ostrzegam pana, doktorciu, o cemencie.

Mój dentysta powiedział – Nie tylko gips, także pewne rodzaje cementów stanowią podstawę materiałów, z których korzystam w mojej pracy, będziemy mieli z nimi do czynienia.

Zacząłem więc – Cement to uzyskiwany drogą przemysłową użytkowy proszek

Powstaje przez zmielenie mączki surowej i szlamu surowego z wapienia, marglu i gliny, przez zmielenie wypalonego klinkieru cementowego, przez nawilżanie i przez rozpylanie wody i szlamu surowego w piecu obrotowym.

(Jak dobrze jeszcze to wszystko pamiętałem. Już zaświtała myśl, zęby zaskoczyć moich uczniów tą szczegółową wiedzą. Z pewnością Scherbaum uważał mnie za nieżyciowego cudaka; a mojemu dentyście zaleciłem odsysanie pyłu zębowego wytwarzanego w trakcie jego pracy. On wskazał na to, że wskutek równoczesnego zaflegmiema przy szlifowaniu ilości pyłu utrzymują się na znośnym poziomie) – Być może. Ale celem jest całkowite odpylenie. Cementownię odpyła się przez komory pyłowe w piecach, przez odpylacze cyklonowe, przez filtry, kruszarki, urządzenia do granulacji i przez odprowadzanie i rozsiewanie pyłu cementowego nad Renem między Koblencją a Andernach.

–Znam Przednią Eifel. Księżycowy krajobraz.

–Ale, jak pan widzi, nadaje się do zdjęć plenerowych.

–Będąc na kongresie stomatologów w Koblencji zrobiłem z kolegami wycieczkę do Maria Laach.

–To było jeszcze w obrębie naszej strefy zapyłania, bo przed moim przybyciem oba kominy Kringsowych zakładów cementowo-trasowo-pumeksowych miały wysokość zaledwie trzydziestu ośmiu metrów. O ile wówczas emitowany pył rozchodził się tylko w bezpośredniej bliskości zakładów, o tyle dzisiaj, po podwyższeniu kominów, a zwłaszcza po przejściu na mielenie z równoczesnym suszeniem przy pomocy fluidyzatorów i okresowe włączanie chłodni kominowej, cementownia Kringsa może wykazać się zmniejszeniem emisji pyłu cementowego do 0,9% i równomiernym rozkładaniem się pyłu po drugiej stronie Renu na cały Neuwieder Becken.

–Jakież wzorowe poczucie społeczne odpowiedzialnych fabrykantów.

–Powiedzmy raczej zdrowe dążenie do zysku, bo odzyskiwane w systemie elektrofiltrów ilości pyłu wynoszą do 15 procent produkcji klinkieru cementowego

–A ja, szary, zdany na gazety dentysta, myślałem, że odpylanie zakładów przemysłowych ma na względzie dobro ogółu.

(Później zapoznałem moją 12a z problemami coraz większego zanieczyszczenia powietrza. Nawet Scherbaum był pod wrażeniem – Nie rozumiem, dlaczego został pan nauczycielem, skoro przecież przy odpylaniu mógł pan działać dużo więcej).

–Sądzę, doktorciu, że możemy mówić o dwojakim efekcie. Dzięki mojej wczesnej

inicjatywie w połowie lat pięćdziesiątych udało się przez wykorzystanie wysokowartościowego pyłu z jednej strony pracować bardziej racjonalnie, a z drugiej powstrzymać ową falę uzasadnionych zbiorowych protestów, które kierownictwu naszych zakładów przysparzały kłopotów. Z początku Krings odrzucał moje propozycje „Czym dla starożytności były wybuchy wulkanów, erozje i burze pyłowe, tym dla nas są dzisiaj emisje dymu i pyłu w skupiskach przemysłowych. Żyjemy z pumeksu, z trasy, z cementu, żyjemy więc także z pyłem”

–Nowoczesny stoik.

–Krings znał swojego Senekę.

–To filozof, który i dzisiaj niejedno miałby nam do powiedzenia.

Żeby moim opiniom nadać większą sugestywność – bo Kringsa można było przekonać tylko praktycznymi przykładami – w referacie o powietrzochłonnej gospodarce Republiki Federalnej zamieściłem następujące stwierdzenie „Jeśli atmosfera służy gospodarce głównie za kolektor zawieszonych, stałych i gazowych substancji i jeśli oddziaływanie na skład powietrza skupia się na owej bliskiej ziemi warstwie, która jednocześnie jest przestrzenią oddychania nie tylko ludzi i zwierząt, to pora wezwać naturę na świadka oskarżenia!”. Widzi pan tutaj, doktorciu, zrobione ręczną kamerą zdjęcia starego buka w parku Kringsów, nazywanym potocznie „Szarym Parkiem”. To szeroko rozgałęzione drzewo ma liście o powierzchni około stu pięćdziesięciu metrów kwadratowych. Jako że hektar lasu bukowego w ciągu roku, przy ciągłym osiadaniu, obciążony jest piętnastoma tonami drobnego pyłu, nietrudno na przykładzie tego jednego buka nieodparcie unaocznic obciążenie hektarowego parku, którego drzewostan składa się w połowie z drzew iglastych, zwłaszcza że hektar lasu świerkowego musi wytrzymać do czterdziestu dwóch ton drobnego pyłu. Przyznaję, że to pewnie mój referat nakłonił Kringsa do zgody na zainstalowanie elektrycznych odpylaczy piecowych.

–Wszystko razem wzięwszy odniósł pan sukces.

–Jednakże park Kringsów, z racji swego położenia w sąsiedztwie zakładów, pozostanie zawsze „Szarym Parkiem”, choć dzięki mojemu uporowi można było bukowej zieleni rokować większe nadzieje.

Dorzuconym zdaniem – Natura panu podziękuje – mój dentysta podał w wątpliwość swoje zainteresowanie. (Ten lęk, że nie potraktują mnie poważnie, towarzyszy mi również na lekcjach śmiech paru uczniów – albo kiedy Scherbaum, jakby zatroskany o mnie, przekrzywia głowę – sprawia, że zacinam się, odbiegam od tematu i dość często jeden z uczniów, dość często Scherbaum musi przywoływać mnie niedbałym – Stanęliśmy na Stressemanie – Jak mój dentysta zachęcającym pytaniem – I co się

stało z pańskim Kringsem? – pozwolił mi wrócić do sprawy) – Jeśli przedtem zechce pan jeszcze popłukać.

Wyszło już niewiele więcej Kamienny osad Szelest notatek Wyczytany przesył Potem próba przypomnienia krajobrazu wczesnego lata na blacie stoliczka na instrumenty między podgrzewaczem do ampulek a obrotowym palnikiem Bunsena. Nagromadzone skrupuły gimnazjalnego profesora. Daremne próby wzbudzenia w sobie smutku, gniewu, zaangażowania Szpary między szyjkami zębów. Dołeczki w policzkach Scherbauma.

–W każdym razie, doktorciu, tak to musiało się zacząć.

Widok ogólny krajobrazu Przedniej Eifel od strony Plaidt w kierunku Krufft. Tytuł „Przebrane bitwy” pojawia się na tle letnich formacji chmur. W trakcie powolnego przejazdu przez zryty, poprzerzynany i z grubsza zablizniony teren wydobywania pumeksu ku dwukominowym zakładom Kringsa dalsze napisy. Teraz mówię jakby zwracając się do zwiedzających.

–Zakłady Kringsa w służbie odrodzonej federalnej gospodarki budowlanej wytwarzają z obfitych i różnorodnych bogactw naturalnych wulkanicznej Eifel materiały dla budownictwa nadziemnego, podziemnego i drogownictwa. Rozkwit przemysłu cementowego przed ostatnią wojną i w czasie wojny – pozwolę sobie przypomnieć budowę autostrad, poza tym umocnienia na naszej zachodniej granicy, poza tym doskonalenie betonu na schrony przeciwlotnicze, a także wielkie budowle betonowe na atlantyckim wybrzeżu – oddziałył pomyślnie na pokojowy obecnie dalszy rozwój cementów trasowych i na budownictwo z kablobetonu. Ponieważ nakazem chwili jest inwestowanie, musi ono oznaczać modernizowanie. Również nasze zakłady, zakłady Kringsa, będą musiały poddać się temu procesowi Jeśli dziś jeszcze niezliczone tony wysokowartościowego pyłu cementowego ulatują przez komin i w ten sposób idą na straty, to już jutro elektryczne odpylacze piecowe.

Głos zakładowego inżyniera powoli zanika. Kamera podąża za dymem z komina Ogólne ujęcie wyziewów i ich kłębiastej dynamiki. Potem ujęty z góry zasnuty dymem widok Przedniej Eifel między Mayen a Andernach aż po Ren, zawężający się w locie nurkowym do Kringsowego parku obok krytej łupkiem, bazaltowoszarej willi Kringsów w zbliżeniu pył cementowy na bukowych liściach. Wypukłości i wgłębienia. Grząskie, porowate wysepki po ostatnim deszczu Przemieszanie się mżącego pyłu. Popękane cementowe struktury na skurczonych liściach. Osuwanie się wędrujących lawin pyłu przy akompaniamencie niefrasobliwego śmiechu młodych dziewczyn. Przeciążone liście uginają się. Śmiech kłęby dymu śmiech. I teraz dopiero grupka dziewczyn na leżakach pod dźwigającym cementowy pył bukiem. Nieruchoma, potem przesuwająca się kamera.

Inga i Hilda przykryły twarze gazetami. Sieglinda Krings, powszechnie zwana Lindą, siedzi na leżaku wyprostowana. Jej pociągła, zamknięta twarz, której wyraz nadaje kozia zawziętość, nie bierze udziału w dwugłosowym śmiechu pod gazetami Inga zdejmując gazetową płachtę z twarzy jest gładka mało wyrazista ładna Hilda idzie w jej ślady miękka i zdrowo zaspana ochoczo mruga oczyma. Na stoliku do szycia, między przykrytymi notatkami z wykładów szklankami coca-coli, leży trzecia gazetowa płachta, a na niej sterczy kupa cementowego pyłu, która mogłaby wypełnić filiżankę. Kamera zatrzymuje się na tej martwej naturze. Naddarte nagłówki skracają nazwiska Ollenhauera, Adenauera i termin „remilitaryzacja”. Przyjaciółki Lindy chichoczą zsypując z gazetowych płacht cementowy pył na kupkę.

Hilda – Niedługo uratujemy funt cementu Kringsa.

Inga – Damy go Hardy'emu w prezencie urodzinowym.

Teraz paplają o wakacyjnych planach. Inga i Hilda jeszcze się nie zdecydowały, czy przedłożyć Positano nad Adriatyk.

Hilda – A dokąd się wybiera nasz mały Hardy?

Inga – Czyżby interesował się ostatnio malarstwem jaskiniowym? – Śmiech.

Hilda – A ty? – Pauza

Linda – Zostaję tutaj – Pauza i mżenie cementowego pyłu.

Inga – Bo twój ojciec przyjeżdża? – Pauza cementowy pył.

Linda – Tak.

Inga – Właściwie jak długo go tam trzymali?

Linda – Prawie dziesięć lat. Najpierw w Krasnogorsku, potem w izolacji w więzieniach na Łubiance i na Butyrkach, na koniec w obozie we Włodzimierzu, na wschód od Moskwy

Hilda – Myślisz, że to go złamało? – Pauza i cementowy pył.

Linda – Ja go nie znam – Wstaje i prosto jak strzała odchodzi w stronę willi. Kamera przygląda się, jak ona maleje.

Pomnik. Dopiero w gabinecie mojego dentysty udało mi się rozmontować moją posagową narzeczoną między jednym cięciem a drugim zmieniała spódnice, rzadko pulower, chciała, zęby ją pokazywać, samą lub z jej Hardym, a to pośród janowca w

opuszczonej kopalni bazaltu, a to w gospodzie „Pod Satyrem”, tuż za groblą w Neuwied, a to na Reńskiej Promenadzie w Andernach, także pośród pumeksowych pól w dolinie Nette i raz za razem w składowisku pustaków, podczas gdy Hardy domagał się ujęć, które ukazywały go jako odczytującego ślady historyka sztuki i wiodły między rzymskie i wczesnochrześcijańskie bazaltowe odłamki, albo na sporządzonym własnoręcznie modelu objaśniał Lindzie swój ulubiony projekt, elektryczny odpylacz pieca cementowego. Cięcie oboje hen daleko na przeciwległym brzegu jeziora Laach. Cięcie deszcz zapędza oboje do opuszczonej budy kamieniarza na Bellfeld. (Kłótnia, która prowadzi do rypaniny na chybotliwym drewnianym stole). Cięcie ona w na połę odbudowanej Moguncji po wykładzie. Cięcie Hardy fotografuje krzyż Gerolda.

–Kto to jest Hardy? – zapytał mój dentysta. Również jego pomoc uciskiem wilgotno-zimnych palców zdradza zaciekawienie. – Ów czterdziestoletni profesor gimnazjalny, którego uczniowie i uczennice z dobrodusznym lekceważeniem nazywają „Old Hardy”, ów Old Hardy, któremu pan, wspierany trjpalcym zdrętwiałym chwytem swojej pomocy, warstwa po warstwie usuwa kamień nazębny. Ów Hardy.

Ja z przerwanyimi w porę studiami w dziedzinie germanistyki i historii sztuki, ze zdobytym w Akwizgranie tytułem inżyniera mechanika, ze swoimi wówczas dwudziestu ośmiu latami, z minionymi miłostkami i niemal harmonijnym narzeczeństwem święcący sukcesy młody mężczyzna pośród święcących sukcesy młodych powojennych mężczyzn. Po nie rozumianych w pełni doświadczeniach frontowych osiemnastoletni Hardy w Bad Aibling, u stóp wciąż zasnutych deszczem gór, zostaje w sierpniu czterdziestego piątego wypuszczony z amerykańskiej niewoli – odtąd wołają na niego krótko Hardy, uchodźca ze Wschodu. Hardy, z legitymacją uchodźczą kategorii A, gnieździ się u ciotki w kolońskim Nippes i pośpiesznie robi opóźnioną maturę, student pracujący przypomina sobie na pierwszym semestrze powiedzenia ojca „Przyszłość ludzkości to budowanie mostów!”. Zatem w Akwizgranie trzyma się ojcowskich słów wkuwa statykę, niedbale podtrzymuje zmieniające się znajomości, na krótko przed końcowym egzaminem wstępnie do studenckiej korporacji i zostaje przedstawiony tak zwanym starszym panom inżynier mechanicznym Eberhard Starusch, w wyniku wojny osierociał i z tego powodu podwójnie pracowity, zaraz po dyplomie dostaje się do Dyckerhoffa-Lengencha, do zakładów, które produkują klinkier cementowy metodą mokrą, tak to Hardy, który nie wyrzekł się swego zamiłowania do historii sztuki, ogląda skaliste Externsteine w pobliskim Lesie Teutoburskim, tak to poznaje metodę rusztową Lepola, bo u Dyckerhoffa wcześniej pomyślano o przestawieniu całej produkcji z metody mokrej na suchą Hardy zyskuje poparcie, Hardy opracowuje studium na temat doświadczeń z cementami wiertniczymi i trasowymi przy budowie bunkrów dla u-bootów w Breście, Hardy ma możliwość na zjeździe cementowników przedłożyć rozbudowane studium szerszej opinii, to znaczy kadrze kierowniczej federalnego przemysłu produkującego

cement, bardzo jak na swój wiek uczony, przystojny i odnoszący sukcesy Hardy poznaje w Düsseldorfie, z okazji historycznego już zjazdu cementowników, dwudziestodwuletnią Sieglindę Krings, a następnego dnia – przy herbacie, podczas przerwy w obradach – ciotkę Matyldę Krings, ową odzianą w czerń i małomównie sprawującą rządy szefową zakładów Kringsa. Hardy jakby przypadkiem nawiązuje rozmowę z obydwoma paniami. Jeden ze starszych panów z akwizgrańskiej korporacji pochwalnie wspomina szefowej od Kringsa o Hardym. Hardy uczestniczy w końcowym balu w hotelu Rheinischer Hof kilkakrotnie, ale nie za często tańczy z Sieglindą Krings. Hardy potrafi rozmawiać nie tylko o odpylaczach cyklonowych, ale też o pięknie romańskiej architektury bazaltowej między Mayen a Andernach. Po północy, kiedy cemenciarze wokół są już mocno podochoceni, Hardy dopuszcza tylko do jednego jedynego całusa (Sieglinda Krings wypowiada doniosłe zdanie – Panie, jeśli zadurzę się w panu, to będzie to pana drogo kosztowało). W każdym razie Hardy robi wrażenie i wkrótce potem z jak najlepszymi referencjami opuszcza Dyckerhoffa-Lengencha z rozmachem, to znaczy z powodzeniem zżywa się z zakładami Kringsa bo jak szybko i roztropnie wrasta w największy w Europie zamknięty krąg użytkowników cementu, tak wiosną pięćdziesiątego czwartego, postępując z podobnym wyczuciem, doprowadza do uroczystości zaręczynowej, przez wzgląd na wciąż jeszcze przebywającego w niewoli przyszłego teścia odbywa się ona na ustroniu w dolinie Ahr, w Lochmühle na szaro wycieniowanym ekranie Sieglindą prezentuje się w łupkowoszarym kostiumie, a Hardy w bazaltowoszarej jednorzędówce, otwarta na świat, może trochę nazbyt gładka para, zdolna do szybkich, upewniających się spojrzeń kątem oka, przypisywana sceptycznemu pokoleniu i budząca coraz silniejsze podejrzenie o coraz większe osiągnięcia, bo Sieglinda, pod moim wpływem, wzięła się w Moguncji poważnie do rzeczy systematycznie i bez zapału studiowała medycynę – podczas gdy ja gruntownie, pilnie i również bez zapału zaznajamiałem się z trasem z doliny Nette, z Kringsową produkcją trasowego cementu, a zwłaszcza z naszymi przestarzałymi automatami do pustaków, a więc z pumeksem.

Gdy mój dentysta raz jeszcze wezwał mnie do płukania – A potem weźmiemy się do szlifowania, zęby kamień nazębny tak szybko znów się nie nagromadził – skorzystałem z pauzy, by wygłosić najpierw krótki referat o wydobywaniu tufu przez Rzymian między pięćdziesiątym a setnym rokiem przed Chrystusem – Po dziś dzień między Plaidt a Kretz znajdują się podziemne sztolnie z łacińskimi gryzmołami rzymskich górników – a potem, kiedy on szlifował, mówić o pumeksie – Pod względem geologicznym pumeks zalicza się do tufów trachitowych z Laach.

On powiedział – Staranne doszlifowanie daje gwarancję, że powierzchnia szkliwa będzie gładka.

Ja opowiadałem o środkowym aluwium, o białych tufach trachitowych i

przedzielających je warstwach wulkanitu, on jeszcze raz wskazał na moje odsłonięte szyjki i powiedział – I po balu, mój drogi. Spojrzymy jeszcze w lusterko.

Na pytanie mojego dentysty – I co pan teraz powie? – mogłem odrzec tylko – Nadzwyczajnie, po prostu nadzwyczajnie!

On ratował się wywołanymi tymczasem zdjęciami rentgenowskimi, które jego pomoc, jakby chcąc urządzić wieczór przeźroczy, odbijała jedno po drugim. Rentgen ukazywał gmatwaninę przezroczystych, widmowych zębów. Tylko luki w okolicy trzonowców, z lewej i z prawej, na górze i na dole, stanowiły dla mnie dowód, że to moje uzębienie było wystawiane na pokaz. Przystąpiłem do przeciwdziałania – Już pod metrem próchnicy występuje pumeks – ale mój dentysta nie dał się zbić z tropu – Co prawda nasze zdjęcia wykazują, że zęby pod mosty są zdrowe, ale muszę powiedzieć ma pan autentyczną, a autentyczna znaczy wrodzona, progenię, czyli przodożuchwie -(Poprosiłem mojego dentystę o zwyczajny program telewizyjny).

Leciała reklama i zajmowała ułamek spojrzenia. On smarował moje schorzone dziąsła i nadal oceniał – Przy normalnym zwarciu żuchwa pozostaje od jednego do półtora milimetra za górnymi siekaczami. Natomiast u pana...

(Odtąd wiem, że mój zły zgryz, który on uznał za autentyczny, bo wrodzony, można poznać po horyzontalnym dwuipółmilimetrowym rozstępie mój wyrazisty profil).

Czy ten zębodłub wie właściwie, że składnikiem jego środków do szlifowania i polerowania jest pumeks w sproszkowanej postaci? I czy ta koza od reklamy, która wydaje mi się znajoma, podejrzenie znajoma, wie, że jej czyścidla i sznurowadła zawierają pumeks, nasz pumeks z Przedniej Eifel?

Mój dentysta pozostał przy mojej progenn – Prowadzi to, jak wyraźnie wykazuje nasz rentgen, do zaniku kości szczękowej lub wyrostka zębodołowego

Ona chciała mi sprzedać zamrażarkę. Podczas gdy mój dentysta proponował rozwiązanie chirurgiczne – przepiłowując po prostu i przesuając w tył wznoszącą się gałąź kości szczękowej możemy usunąć pańskie przodożuchwie – Linda wyśpiewywała swój refren – Zawsze świeże i zachowują w pełni wszystkie witaminy – i doradzała splotę na raty. Potem otwierała zamrażarkę, w której pośród fasolki szparagowej, cynadłów cielęcych i kalifornijskich truskawek spoczywały oszronione moje mleczone zęby i szkolne wypracowania, moja legitymacja uchodźcza kategorii A i moje studium o tufowych i wiertniczych cementach, moje zagęszczone pragnienia i moje butelkowane klęski, a na samym spodzie, między filetem z karmazyna a żelazistym szpinakiem, leżała naga i powleczone mrozem ta, co jeszcze przed chwilą reklamowała w spódnicy i pulowerze. Och Lindalmdalindalinda. (Jutro zadam mojej 12a wypracowanie na ten temat Sens główny i sens poboczny zamrażarki). Ach,

jakże ona trwa w zimnym dymie. Ach, jakże mocno zamrożony ból zachowuje świeżość Ach, jakże złoto szerniało.

Mój dentysta zaofiarował się, że wyłączy telewizor (Irmgarda Seifert poleciła mi go jako człowieka subtelnego)

Skinąłem głową. A gdy on wrócił do mojej progenu – „Ale odradzałbym interwencję chirurgiczną” – skinąłem głową ponownie. (A jego wilgotna i zimna pomoc też skinęła głową).

–Mogę już iść?

–Radzę za to założenie koron na zęby trzonowe.

–Zaraz?

–Kamień zajął nam dosyć czasu.

–Więc pojutrze, na krótko przed wieczornym dziennikiem?

–I niech pan jeszcze weźmie na drogę dwa arantile.

–Przecież prawie nie bolało, doktorciu.

(To jego pomoc – nie moja narzeczona – podała mi tabletki, szklanekę)

Kiedy przyszedłem do domu i mój język szukał na tylnej powierzchni zębów utraconej szorstkości, zobaczyłem na biurku obok popielniczki poprawione zeszyty z wypracowaniami 12a, parę niedoczytanych książek, swój rozpoczęty memoriał w sprawie uczniowskiej współodpowiedzialności z polemicznym rozdziałem „Gdzie i kiedy uczniowi wolno palić?”, nie opodal, między drukami, wytyczne reformy starszych klas gimnazjalnych i koło pustych ramek, zasłoniętą gazetowymi wycinkami i fotokopiami, intrygująco cienką teczkę z wypisanym dużymi literami roboczym tytułem. Pod kawałkami rzymskiego bazaltu – były to przeważnie fragmenty mózdzierza – których używałem jako przycisku do listów, zobaczyłem papier.

Ojej, mój ząb. Ojej, moje włosy na grzebieniu. Ojej, moja idea króciutka jak palec. Ach – i wiele przegranych bitew. To, co najbliższe, zawsze boli głośniej. Albo co odbija się i przypomina o sobie to jest karp z zeszłego roku, sylwester. Ojej, cienie, ojej Krzemień, ojej. Ojej, jak boli ząb, ojej.

Tymczasem ja chciałem tylko pozbyć się kamienia nazębnego, chociaż przeczuwałem. Ten to na pewno coś znajdzie. Oni przecież zawsze coś znajdują Wie

się, jak to jest.

Gdy wkrótce po moim powrocie zadzwoniła Irmgarda Seifert – No, jak było? Nie taki diabeł straszny, prawda? – mogłem jej potwierdzić. To nie sadysta. Nawet zajmujący, a przy tym dyskretny. Dostyc odcytany (Zna swojego Senekę) Ledwie pojawi się ból, on natychmiast przerywa. Trochę naiwnie wierzy w postęp – wiąże nadzieje z leczniczą pastą do zębów – ale można z nim wytrzymać. A telewizor rzeczywiście jest nadzwyczajny, aczkolwiek dziwaczny.

Wobec Irmgardy Seifert, z którą odtąd dzielę dentystę, chwaliłem go przez telefon – Ma łagodny głos i tylko wpadając w ton mentorski nadaje mu pedagogiczną stanowczość

Jak to on powiedział -Wrogiem numer jeden jest kamień nazębny. Podczas gdy my sobie chodzimy, ociągamy się, śpimy, ziewamy, wiążemy krawat i modlimy się, ślina nieustannie go wspiera. Tworzy się osad i wabi język. Ten, stale szukając wapiennego nalotu, lubi chropowatość i dostarcza pożywki, która wzmacnia naszego wroga, kamień nazębny. On skorupiasto ściska szyjki zębów. Ślepo nienawidzi szkliwa Bo mnie pan nie zmyli. Wystarczy jeden rzut oka kamień na pańskich zębach to pańska skamieniała nienawiść. Nie tylko mikroflora w pańskiej jamie ustnej, także pańskie skłębione myśli, pańskie usilne oglądanie się wstecz, które wciąż rozlicza, a chciało tylko policzyć, zatem skłonność pańskich zanikających dziąseł do tworzenia bakteriochłonnych kieszeni, wszystko to – suma uzębienia i psychiki – zdradza pana zmagazynowana przemoc, zabójstwa na zapas Tylko niech pan płucze! Tylko niech pan płucze. Kamienia zostało jeszcze pod dostatkiem.

Ja temu wszystkiemu zaprzeczam. Jako profesor gimnazjalny od niemieckiego, a zatem i od historii nienawidzę przemocy, nienawidzę do głębi. A mojej uczennicy Wero Lewand, która zeszłego roku w dzielnicach Zehlendorf i Dahlem uprawiała tak zwane zrywanie gwiazdek, po czym urządziła w klasie wystawę swojej kolekcji odpiłowanych gwiazd mercedesa, powiedziałem – Pani wandalizm stanowi zwyczajnie cel sam dla siebie.

Scherbaum objaśnił mnie, że jego przyjaciółka chciała postarać się o współczesne ozdoby choinkowe. Na szkolną uroczystość w auli.

Już wkrótce po Bożym Narodzeniu piłka do metalu Wero Lewand wyszła z mody (Później Scherbaum napisał song i akompaniował sobie na gitarze „Kiedy szliśmy gwiazdki zrywać, gwiazdki zrywać, gwiazdki zrywać”)

Nie przywołując patronki wszystkich cierpiących na ból zęba przystąpiłem wszak do rzeczy dobrze przyszykowany mając w zanadrzu gotowe zdania do wkładania mu w usta Skoro ja poddawałem się zabiegowi, to i on musiał przystać na korektury –

Prawda, doktorciu, że interesuje się pan pumeksem? – Tak jak pan interesuje się wzmożonym występowaniem próchnicy w wieku szkolnym

Przed południem musiałem odpowiadać na pytania mojej 12a (Wero Lewand – Ile on ich panu wyrwał?) Odpowiedziałem – Co by wam przychodziło do głowy, gdybyście musieli siedzieć u dentysty z rozdziawioną gębą naprzeciwko telewizora, a na ekranie leci reklama i oferuje wam, powiedzmy, zamrażarkę.

Odpowiedzi wypadły jałowo Zrezygnowałem z wypracowania na ten temat, chociaż wysunięty przez Scherbauma pomysł zamrażania pewnych idei i planów, które są jeszcze niegotowe, aby któregoś dnia można je było odmrozić, domyśleć do końca i przekuć w czyn, byłby stosownym punktem wyjścia.

–Jaki plan ma pan na myśli, Scherbaum?

–Przecież powiedziałem jeszcze o nim nie można mowie

Na moje pytanie, czy ów jeszcze w tej chwili zamrożony plan zmierza do objęcia stanowiska redaktora naczelnego uczniowskiej gazety, machnął ręką – To jest pańskie piwo. Może się dalej mrozić.

Kiedy pod koniec lekcji rozwodziłem się na temat próchnicy – jej istotą jest nieodwracalne zniszczenie zębiny – klasa zgodnie z obietnicą słuchała wyrozumiale. Scherbaum drwiąco przekrzywił głowę.

Mój dentysta był mniej powściągliwy – Zrobimy to za jednym zamachem, cztery zęby trzonowe w żuchwie dolne ósemki i szóstki.

(To skrzętne pobrzękiwanie wysterylizowanymi instrumentami, jak gdyby ani przez moment nie wątpił, że wrócę – Niech pan zasuwa, doktorciu, ja ani pisnę) Jego pomoc już napełniła strzykawkę – No to ciach. Drobnutkie, niemile ukłucie Prawie nie bolało, prawda?

(Gdybym, obwieszony ślinociągiem, z policzkami wypchanymi ligniną i rozdziawionymi od trójpalcowego chwytu ustami, miał z nim rozmawiać – O pańskim ukłuciu to nie ma co mowie. Ale ci w Bonn. Czytał pan bryndza, zaciskanie pasa, na dobre i na złe. A studenci, znowu ci studenci na walnym zgromadzeniu).

Jego wzmianka o czekającym mnie ukłuciu stała się drugim stereotypem – Jeszcze raz wstrzykniemy to samo. Nic pan nie poczuje.

(No to już rób swoje, rób. I włącz obraz, ale bez dźwięku).

–Musimy zaczekać dwie, trzy minuty, aż dźwięki panu zdrętwieją i język

skołowacieje.

–On puchnie!

–To złudzenie.

(Nabrzmiała nerka wieprzowa. Co z nią zrobić?).

Obraz bez dźwięku ukazywał pana o wyglądzie duchownego, który – jako że to była sobota – wygłaszał pewnie słowo na niedzielę, choć ten program bywa nadawany po dwudziestej drugiej i nigdy przed berlińskim dziennikiem – A jakże, mój synu, wiem, że to boli. Ale nawet cały ból tego świata nie zdoła.

(Jego kształtne palce. Kiedy kpiąco unosił brew. Albo jego spowolnione potrząsanie głową Scherbaum nazywa go Srebrnoustym).

Potem rozzwoniły się dzwony na niedzielę Bim! – i spłoszyły gołębie. Bam! – Ach, i małe blaszane satelity w mojej głowinie, która wszystko wie lepiej, podzwaniały pumeksowato.

Podczas gdy skrzywiona kozia twarz zapowiadała reportaż Pumeks – złoto Przedniej Eifel, mój dentysta zaczął doszlifowywać dolną ósemkę – Proszę zupełnie się rozluźnić Zaczniemy od powierzchni żującej, a potem wokół niej będziemy zwęzać ku górze

Mój film o pumeksie pokazywał, jak transportowało się surowiec z kopalń do płuczkowi, uwalniało od ciężkich składników, przechowywało w dużych ilościach, łączyło uniwersalnym spoiwem Unispo, sporządzało w betoniarkach pumeksowo-betonową mieszankę i wyrabiało w automatach ceramicznych pumeksowe elementy budowlane.

Mój dentysta powiedział – No i widzi pan. Dolną ósemkę mamy z głowy. (Zanim wezwał mnie do płukania, udało się, aczkolwiek w pośpiechu, pokazać najpierw składownie uformowanych pumeksowych elementów budowlanych w halach magazynów, potem na podporach pod gołym niebem).

–I tutaj, doktorciu, pośród naszych znormalizowanych pustaków ściennych, stropów z pumeksowego betonu, wydrążonych brył i pustaków wypełniających, pośród naszych zbrojonych żelazem kasetonowych płyt dachowych, które prócz niewielkiego ciężaru odznaczają się następującymi zaletami wysoką izolacyjnością, ścianami przepuszczającymi powietrze, antygrzybiczością, ogniotrwałością, łatwością wbijania gwoździ i chropowatą powierzchnią, która stanowi twarde podłoże dla zaprawy tynkarskiej i zaprawy do spoin, pośród tych nowoczesnych materiałów

budowlanych, które gwarantują gładkie zintegrowanie późniejszych użytkowników pomieszczeń mieszkalnych z pluralistycznym społeczeństwem, ściślej mówiąc pośród naszych ciasno poustawianych znormalizowanych elementów, nazywanych też czterocalowcami, spotkali się Linda Krings i elektryk zakładowy Schlottau.

Mój dentysta powiedział – Widzę – a ja byłem gruntownie przygotowany widziane z lotu ptaka składowisko wyrobów z pumeksu rozciąga się między zakładami a willą oraz parkiem Kringsów. Na pograniczu zakładów i parku grupa ubranych po cywilnemu gości tworzy luźne półkole Inżynier zakładowy Eberhard Starusch, w białym fartuchu i kasku, objaśnia proces produkcji pumeksowych materiałów budowlanych. Od strony Szarego Parku zbliża się Sieglinda Krings. Jej letnia sukienka w drobne kwiaty zdradza, że poza parkiem wieje wiatr. Od strony zakładów do składowiska wyrobów z pumeksu wkracza elektryk Heinz Schlottau. Podczas gdy Sieglinda przemierza drogi dojazdowe bez celu, Schlottau nadchodzi z pełną świadomością, jakby jej szukał.

Ponad tym powolnym i odwlekany przez przypadki zbliżaniem unosi się, rozciągany przez wiatr, tekst inżyniera – Kiedy ponad sześć tysięcy lat temu doszło do wybuchu wulkanów. Eifel, musiały dąć zachodnio-północnozachodnie wichury, bo w przeciwnym razie na wschód i południowy wschód od miejsca wybuchu nie powstałyby pokłady pumeksu. Podczas gdy dawniej chłopcy z Przedniej Eifel byli jednocześnie producentami pumeksu, to dzisiaj firma Kringsa dzierżawi okoliczne tereny eksploatacji Znajdujemy się tutaj na skraju naszego rozległego składowiska pumeksowych wyrobów.

Plan ogólny zacieśnia się teraz do miejsca spotkania Sieglinda-Schlottau między poustawianymi ciasno znormalizowanymi elementami. Oboje zachowują dystans Taksują się nawzajem nie patrząc na siebie. Zakłopotanie Schlottaua szczyrzy zęby. Dłonie Sieglindy szukają za plecami pumeksowej powierzchni. Słabo i z coraz większego oddalenia dochodzi głos inżyniera Staruscha, który chętnie i często rozpoczyna oprowadzanie wycieczek improwizowanym wykładem, to echo jego czasów w bandzie młodzieżowej, kiedy nosił przydomek Stortebeker i nawijał ile wlezie, antycypując swą późniejszą działalność w charakterze profesora gimnazjalnego od niemieckiego i historii

–A jaki temat przerabia pan obecnie ze swoim uczennicami i uczniami?

–Próbujemy uzmysłwić sobie społeczne tło Schillerowskiej sztuki o zbójcach .

–A więc wciąż jeszcze reminiscencje pańskiej przeszłości w roli przywódcy bandy.

–Przyznaję, że nie uwolniłem się od wszystkich wpływów z czasów mojej młodości

–A pańscy uczniowie?

–Scherbaum wraz ze swoją przyjaciółką chce przerobić „Zbójców” na komiks Rzecz idzie o gwiazdy mercedesa, które są odpilowywane w całym kraju. Mary Lane ma objąć rolę Amal, a tymczasem Superman.

–Ciekawa próba.

–Ale Scherbaum nie ma cierpliwości Tylko pomysły Tylko pomysły – (które chce zamrozić, aby któregoś dnia móc je odmrozić, domyśleć do końca i wprowadzić w czyn) – jak ten Schlottau w składowisku wyrobów z pumeksu...

Linda – Pan jest u nas zatrudniony?

Schlottau – Elektryk zakładowy od pięćdziesiątego pierwszego. Kiedyś w pewnym sensie pracowałem u ojca pani.

Linda – Może pan z łaski swojej wyrażać się jaśniej?

Schlottau – Ależ chętnie, panienko Odcinek środkowy w czterdziestym piątym. I ojciec pani mówił Wrocław trzeba utrzymać. Słyszała pani coś o Zamordziaku, panienko?

Linda – Czego pan chce?

Schlottau – No, na przykład pójść z panią do kina. I dowiedzieć się pokrótce, kiedy to pan feldmarszałek w końcu przyjedzie.

Linda – Niech pan sobie oszczędzi pieniędzy na kino. Transport jest spodziewany pod koniec tygodnia w obozie Friedland. Co pan zamierza?

Schlottau – Och, nic wielkiego My, paru kumpli i ja, cieszymy się na spotkanie.

Linda – Chcę wiedzieć, co pan zamierza.

Schlottau -Może jednak powinniśmy wybrać się do kina w Andernach.

Linda – Nie ma powodu.

Schlottau – Pani w ogóle zna swego ojca?

Linda – Ostatni urlop miał w czterdziestym czwartym.

Schlottau – Działał wtedy w Kurlandii.

Linda – Był w domu tylko trzy dni i przeważnie spał.

Schlottau – Ja w tym czasie służyłem w Łosich Łbach. Jedenasta dywizja piechoty. Sami wschodni Prusacy. Mogę pani powiedzieć ma pani niesamowitego tatusia, panienko.

Linda – Teraz go chyba poznam.

Schlottau – Mógłbym pani masę naopowiadać. Także zabawne kawałki.

Linda zostawia Schlotta – To już później, gdybym kiedyś nabrała ochoty na pójście do kina.

(- Jak pan uważa, doktorciu czy elektryk zakładowy, zostawiony samotnie wśród pumeksowych wyrobów, może lub powinien zakończyć scenę słowami „Poszła w starego”?)

Mój dentysta powiedział – Dzielnie się wytrzymało. Z lewym dołem już się załatwiliśmy.

–I co? Podoba się panu zakończenie sceny czy nie?

–A teraz zrobimy pierwsze wstrzyknięcie w prawy dół. Mało co pan poczuje, bo poprzednie zastrzyki rozeszły się szeroko. No to ciach.

–A może ten dialog wymaga podniosłego tonu? Oskarżenia. Zapiękła nienawiść, która chce zemsty.

–Niech pan powie, ten Schlottau, o którym opowiada mi pan z podejrzeniem dużym przejęciem, wydaje się mieć zadatki na rewolucjonistę.

–Skoro pan stosuje tradycyjne kryteria...

–A więc to raczej rewolucjonista kieszonkowego formatu.

–Istniał tylko dlatego, że istniał Krings.

(Podczas gdy zastrzyki zaczęły działać i w pierwszym programie znów szedł film o pumeksie, mój dentysta poprosił mnie o zwięzły podwójny portret obu zdanych na siebie bohaterów – ja tymczasem miedzianym pierścieniem zrobię wycisk oszlifowanych zębów, który zapewnia nam kontrolę nad techniką szlifowania.

Popłukałem starannie i miałem kłopoty ze szklanką wody, ponieważ uczucie opuchnięcia i zdrętwienia dolnej wargi powodowało fałszywą ocenę odległości

między szklanką a ustami rozlewałem wodę. Pomoc mojego dentysty musiała wycierać mnie papierową serwetką. Przykre).

–Heinz Schlottau urodził się w roku 1920 na Warmii, będącej katolickim klinem wbitym w protestanckie Prusy Wschodnie, późniejszy feldmarszałek Ferdynand Krings ujrzał światło dzienne Przedniej Eifel w Mayen w roku 1892 jako syn kamieniarza, do którego należało kilka złóż bazaltu na Bellfeld. Obaj dorastali nie budząc w swoim otoczeniu szczególnego zainteresowania. Także nasze zainteresowanie musi zbudzić się później, chyba że chcielibyśmy opowiadać o terminowaniu Schlottaui w Fromborku, o przerwanych studiach filozoficznych Kringsa, o poczynaniach Schlottaui w Olsztynie w charakterze elektryka i zamiłowanego w fokstrocie tancerza albo o sukcesach podporucznika rezerwy Kringsa w pierwszej wojnie światowej, na przykład w toku dwunastej bitwy nad Isonzo. Ponieważ jednak do oszlifowania obu zębów na dole po prawej mamy bardzo niewiele czasu, przeskakujemy parę szczebli Kringsowej kariery w Reichswehrze oraz Schlottauowej w zawodzie elektryka i mówimy w czasach pokojowych garnizonami sławnej jedenastej dywizji piechoty, zwanej też dywizją Łosich Łbów, były wschodniopruskie miasta Olsztyn, Szczytno, Biskupin, Rastembork, Lec i Barsztyn*. I do 44 pułku piechoty, który stał garnizonem w Barsztynie, powołano rekruta Heinza Schlottaui jesienią trzydziestego ósmego, a tymczasem podpułkownik i dowódca pułku strzelców górskich, który bez strat poradził sobie z anszlusem Austrii i zajęciem protektoratu Czech i Moraw, stacjonował w Memmingen.

* Rastembork to dzisiejszy Kętrzyn, Lec – Olecko, Barsztyn – Bartoszyce (przyp tłum)

Obaj, Schlottau i Krings, przygotowywali się. Jeden na piaszczystym poligonie w Stablawkach, drugi, wedle rozkazu, nad mapami sztabowymi, które miały go zaznajomić z warunkami drogowymi i fortyfikacjami karpackich przełęczy.

Obaj, Schlottau i Krings, 1 września przy ładnej pogodzie kończącego się lata wyruszyli równocześnie. Podczas gdy piechur uczestniczył w przełamaniu umocnień granicznych pod Mławą, w bojach o przeprawy na Narwi i pościgu przez wschodnią Polskę aż do kapitulacji Modlina, drugi szykował się do szturm na Lwów na wzgórzach otaczających miasto, odpierając ataki pułków polskiej kawalerii, miał po raz pierwszy okazję dowieść słuszności swej późniejszej renomy generała Nie-do-przejścia. Schlottau, średnio ostrożny zawadiaka, w walce o twierdzę Modlin dorobił się lekkiego zranienia – było to draśnięcie w ramię – i Krzyża Żelaznego II klasy; bohater spod Lwowa został wymieniony w komunikacie Wehrmachtu, nie odniósł żadnych ran i na rozległej piersi, obok odznaczeń z pierwszej wojny światowej, mógł użyć miejsca świeżo przyznanemu Krzyżowi Żelaznemu I klasy.

Obaj, Schlottau i Krings, pisali do domu listy i kartki poczty polowej. Jeszcze nie pojawiły się powody, dla których piechur i późniejszy elektryk zakładowy Heinz Schlottau w czerwcu roku 1955 pragnął powitać pułkownika i późniejszego feldmarszałka Ferdynanda Kringsa na Dworcu Głównym w Koblencji.

Mój dentysta zdawał się zadowolony z podwójnego portretu, natomiast swojej pracy odmawiał aprobaty – Z wycisków miedzianym pierścieniem wynika jasno, że przy szlifowaniu powstało trochę nierówności. Będziemy musieli te drobiazgi doszlifować, uwiniemy się raz-dwa...

–Jak pan uważa, doktorciu Czy Dworzec Główny w Koblencji i sceny masowe powinniśmy włączyć do filmu o pumeksie, który jeszcze leci.

–Proszę się całkowicie rozluźnić. I nie wysuwać języka.

Plan ogólny fasady Dworca Głównego w Koblencji. Poczerniały piaskowiec. Ponad granitowym cokołem pękaty czub. Dworcowe rzeźby. Uszkodzenia wojenne, wciąż jeszcze (Na kryte papą dachy napiera, będąc nazbyt bliskim tłem, kartuzja, fragment koblenckiej twierdzy) Niepokój na placu przed dworcem nakazuje kamerze spokój. Oto co ona utrwała spontaniczne zbieranie się w grupki, przecinanie się równoczesnych ruchów, transparenty, które tu trzyma się w górze, tam rozwija, ówdzie znowu zwija (Gołębie, które widzą, że ich plac jest zajęty przez kogoś innego, i na gzymsach fasady przekrzywiają głowy). Do tego zgiełk niezrozumiałe skandowanie, okrzyki („Pokaz się, Żorz”), zbiorowy śmiech, bulgotanie piwa z butelek, które przechodzą z rąk do rąk (Gruchanie gołębi). Policjanci stoją w pogotowiu niedaleko miejskiej kasy oszczędności. Tylko dwie policyjne suki. Panie domu po zakupach. Wyrostki z prowadzonymi obok siebie rowerami (Sprzedawca losów z dwudziestomarkowymi banknotami pod wstążką kapelusza). Prasa. Na podeście ze skrzyń kronika filmowa instaluje swoją kamerę. Podobne do komend nawoływania. Spotęgowany ruch teraz czytelnie rozpościera się transparenty „Arktyki to nie ma!” – „Siła przez terror!”

–„Pozdrowienia z Kurlandii!“ – „Krings-Nie-do-przejęcia!” Chóralne okrzyki znajdują swój rytm – Nigdy więcej zamordziaków! Nigdy więcej zamordziaków. Nigdy więcej zamordziaków – Bez nas! Bez nas! – (Rozczarowanie niektórych, ponieważ kronika filmowa nie nakręca Wymyślanie – No to fora ze dwora, głupki! – Przyloty i odloty gołębi) W bliższym planie widać grupę, której przewodzi elektryk zakładowy Schlottau. Dyryguje – Krings na Sybir! Krings na Sybir!

Na rogu Markenbildchenweg, pomiędzy paniami domu, stoi Sieglinda Krings Jest w ciemnych okularach Powoli przeciska się przez ciżbę w większości okaleczonych wskutek wojny mężczyzn (Kule, szklane oczy, puste rękawy, zeszpecone twarze). Poruszenie i okrzyki u wejścia na dworzec. Tłum wdziera się do hali. Tworzą się wiry.

Wyzwiska. Poszturchiwanie. Zaczątki bójki. Śmiech przy okienkach kas kupowanie i rozdzielanie peronówek (Metody przekupniów „Ktojeszczenie-maktojeszczechce!”)

Policjanci nie interweniują i podążają za tłumem przez przepust biletowy, przy którym znów robi się ścisk. Jeden z policjantów reguluje ruch – Tylko spokojnie, panowie, wasz Krings wam nie ucieknie.

–Bieg, a także spieszne kuśtykanie głównym tunelem, z którego odchodzą schody na perony, aż do peronu czwartego. W trakcie przechodzenia z placu przed dworcem na dworzec mieszają się fragmenty zdań – Że też Ruscy takiego puszczają – Ilu kamratów zgnoił – Człowieku, on bez mrugnięcia okiem posyłał ludzi na miny.

–W enerdownie to by go – Powinien z Nuschkem w jednym pociągu – Przez remilitaryzację – Mówię ci, salonką – Niech tamtym organizuje armię, skoro u nas – Beze mnie! – Znajdzie się dosyć głupców – Znam drania z frontu polarnego. – Straż tylna w Nikopolu – Mnie świnia urządził w Kurlandii – Kiedy wreszcie przyjedzie – Przyłożyć mu protezę – Nas to on w Pradze – Jedzie! – Czuj duch, koledzy! – Wjeżdża pociąg

Zgromadzeni czekają w milczeniu, aż pociąg stanie. Spojrzenia mkną do przodu, pędzą w tył, znowu do przodu Wysiadają nieliczni podróżni. Przymrużone oczy tropią podobieństwo. Kilku mężczyzn przeszukuje przedziały. Konduktor, który towarzyszy pociągowi, woła ze stopni odjeżdżającego wagonu – Nie denerwujcie się, ludzie. Wasz Krings ze swoją tekturową walizką wysiadł już w Andernach.

Kolejowe hałasy zagłuszają pojedyncze gwizdy protestu. (Przytłumiły wysoki ton airstara, którym została oszlifowana powierzchnia żująca mojej dolnej ósemki. Wystarczający powód, zęby popłukać. Również mój dentysta był przeciwny wykorzystywaniu długiego jak peron rozczarowania)

–Jednym słowem demonstracja protestacyjna rozeszła się, jak w zeszłym tygodniu rozeszła się demonstracja protestacyjna przeciwko Kiesingerowi bez incydentów. Byłem tam z kilkoma uczniami i z koleżanką. Też takie uderzenie w próżnię, bo ten pan złożył swój wianuszek nie, jak zapowiadano, pod pomnikiem na Steinplatz, tylko cichaczem w Plötzensee. Irmgarda Seifert była mimo to zadowolona „Nasz protest nie przejdzie bez echa”. Scherbaum zachował trzeźwość „Przecież to tylko wypuszczenie pary”. A gdy nazajutrz chciałem przed 12a bronić moralnego gestu protestu, także na pozór bezskutecznego, Wero Lewand powstrzymała mnie cytatem z Marksengelsa (zawsze ma przy sobie karteluszek) „Drobnomieszczkańcy rewolucjoniści biorą poszczególne etapy procesu rewolucyjnego za cel ostateczny, dla którego uczestniczą w rewolucji”. Drobnomieszczczaninem jestem ja. A i pan, doktorciu, musiałby zgodzić się na to zaszeregowanie, gdyby przed moją klasą

wyjechał pan być może ze swoim Seneką.

–Swojej wyposażonej w karteluszkę uczennicy powinien pan być odpowiedzieć słowami Nietzschego „Przewartościowanie wartości następuje tylko wtedy, kiedy pojawia się napięcie nowych potrzeb, nowych potrzebujących”.

–Cokolwiek przywiodło ludzi na ulicę czy to przed tygodniem przeciwko Kiesingerowi, czy to latem pięćdziesiątego piątego przeciwko Kringsowi, nie pozostaje nic prócz słownych baloników.

–My bądź co bądź oszlifowaliśmy pańską dolną ósemkę zwężoną ku powierzchni żującej.

–A w gazetach było napisane „Feldmarszałek Krings robi unik przed protestem wojakowi” Także drwiąco „Krings powiedział Beze mnie!”. I lakonicznie „Koblenckiej balladzie zbójeckiej zabrakło głównego wykonawcy”. „Generalanzeiger” stwierdzał rzeczowo „Pociąg wjechał zgodnie z rozkładem, ale bez feldmarszałka; jeszcze jeden protest spełznął na niczym”.

–A pański kumpel Schlottau?

W trakcie doszlifowywania powierzchni żującej dolnej szóstki zdecydowałem się na wstawkę. Dawni wojacy opuszczają peron czwarty. W ciżbie przy schodach prowadzących do głównego tunelu wpadają na siebie Linda i Schlottau.

Linda – Zabrać pana?

Schlottau – Szlag by to trafił!

Linda – Mój wóz jest zaparkowany na tyłach hotelu Hohmana.

Schlottau – Waszym samochodzikiem to niech sobie jedzie, kto ma na to ochotę.

Linda – Myślałam, że chciał pan pójść ze mną do kina.

Schlottau – To do niego podobne wywinąć się w ostatniej chwili.

Już teraz cięcie, podczas gdy oboje schodząc po schodach znikają w tunelu.

Bo naturalnie jadą razem. I to borgwardem, którego dziś bodaj się już nie uświadczy. Co prawda na placu przed dworcem on raptownie ją zostawił, nie, spłynął bez słowa (między gołębiami) i pozwolił jej samotnie pokonywać prostą jak strzelił drogę, ale tego nie ma co pokazywać. Również krótkie zdania wymieniane przez Schlottaua i jego dawnych kamratów – „Stary wystawił nas do wiatru”, „Ja go jeszcze dopadnę” –

stanowią pospolitą mieszankę (Nawiasem mówiąc na placu przed dworcem Schlottau kupił sobie los pusty).

Oto szosa z Andernach do Mayen, po której porusza się borgward z Sieglindą Krings przy kierownicy i Schlottauem w charakterze pasażera. Za plecami jadących podąża nieruchoma kamera.

Linda – Mogłam była się domyślić, że nie będzie na mnie czekał w Andernach – Pauza na rozmyślania o wypadzie do Andernach i bankructwie zakładów borgwarda w roku już nie pamiętam którym.

Schlottau – Może został w enerdowie. Ruscy na pewno chcieli go zwerbować. Szukają teraz ludzi z doświadczeniem. Paulus też jest po tamtej stronie. – Pauza, w której mogłaby się pojawić w postaci komikowego balonika kontrrewolucyjna teża Tenga T!o „Pozdrawiamy różnobarwnych uczonych”, a do tego scenka wysocy enerdowscy funkcjonariusze witają Kringsa na berlińskim Dworcu Wschodnim. Linda – Kiedy nastąpi pańskie zaproszenie do kina? Schlottau – Przypuśćmy, że Krings stworzy im armię Linda – Chcę wiedzieć, kiedy nastąpi pańskie zaproszenie Szaleję za kinem i w ogóle – Pauza wypełniona przypominaniem sobie, jakie to filmy grano w połowie lat pięćdziesiątych „Sissi”, „Leśniczy w Silberwaldzie”

Schlottau – A pani narzeczony, panienko, chodzi mi o to Linda – Będzie wdzięczny za każdą wyrękę – Pauza, w której sprawą Schlottaua jest dosłuchanie się aluzji w stwierdzeniu Lindy Płuczę, ponieważ prosi mnie o to mój dentysta kredowa piana, ani śladu krwi, za to wtrącenie mojego ucznia Scherbauma „Wszystko to skapowałem NSKK, BDM, RAD, HKL*, ale co się dzieje w delcie Mekongu” – „Z pewnością, Scherbaum. Z pewnością. Ale dopiero kiedy pojmiemy, dlaczego zamach w kwaterze głównej führera, zwanej w skrócie KGF”

Schlottau – Nawiasem mówiąc, panienko, czy zna pani kawał o chłopie w Prusach Wschodnich, który poszedł z krową do byka i kiedy żona go zapytała

Linda – Poza tym mój narzeczony interesuje się już tylko obróbką bazaltu i tufu w czasach rzymskich – Pauza, która nie pozostawia miejsca na refleksje o wysoko rozwiniętej u Rzymian produkcji kamieni młyńskich, szczególnie po nieudanym powstaniu trewirzan, ponieważ borgward wyprzedza rowerzystę Schlottau ogląda się. W jego twarzy odbija się zdumienie zaniepokojenie nienawiść Po dłuższej pauzie, którą wypełnia zastanawianie się nad zakończeniem kawału z krową, Schlottau mówi bez specjalnego zaakcentowania: – To był on. Niech pani stanie Chcę wysiąść.

Linda hamuje – Może mnie pan przedstawi mojemu ojcu.

Schlottau – Ma się pietra przed starym, co?

*** NSKK – National-Sozialistisches Kraftfahrer-Korps – Narodowosocjalistyczny Korpus Kierowców, BDM – Bund Deutscher Mädel – Związek Dziewcząt Niemieckich, RAD – Reichsarbeitsdienst – Służba Pracy Rzeszy, HKL – Hauptkampflinie – linia frontu (przyp tłum)**

Linda -Tak Mam stracha Całkiem jak pan No to już, niech pan się zabiera.

Schlottau niespiesznie wysiada – Gdyby pani wybrała się jeszcze raz do składowiska pumeksu Ja o drugiej wracam z kontrolnego obchodu i mogę wtedy pół godziny – Z resztą zdania odchodzi w stronę Plaidt

Podczas gdy Schlottau odchodził, ja nie kwapiłem się, żeby iść za nim, a mój dentysta wyłączył airstara, jako że wezwała go do telefonu prywatna pacjentka Linda włączyła wycieraczki, jakby chcąc wymazać Schlottaua. Przy tym utkwiała wzrok w lusterku wstecznym, i w tym lusterku kamera chwyta pedałującego na łagodnym zakręcie rowerzystę. Jedzie on pod wiatr. Wiatr, oddech Lindy i terminowe kłopoty mojego dentysty przy telefonie to trzy dźwięki, które pozostają ze sobą w zgodzie.

Licząc wstecz od dzisiaj blisko dwadzieścia dwa lata temu, wówczas z górą dziesięć lat temu, 8 maja 1945 roku, na kilka godzin przed kapitulacją wielkoniemieckiego Wehrmachtu, feldmarszałek Krings w szarym cywilnym ubraniu opuścił swoje wciąż jeszcze walczące armie i kwaterę główną w Rudawach i ostatnim płatowcem, jaki pozostawał do dyspozycji, poleciał do Mittensill w Tyrolu, aby tam – jak zeznał później przed sądem – z rozkazu führera objąć dowództwo twierdzy alpejskiej, której wszakże, co potwierdziły zeznania świadków, nie ujrzał ani jako umocnień, ani w postaci zdolnych do boju dywizji, wobec czego zamienił szare cywilne ubranie na strój ludowy, krótkie spodnie i tak dalej, i schronił się w pasterskim szałasie czekając tam na cud lub na naturalne – tak to przed sądem określił – zbratanie armii amerykańskiej z resztkami wojsk niemieckich, aby w końcu, 15 maja, skoro ani drogą naturalną, ani za sprawą cudu nie doszło do takiego aliansu przeciwko armiom sowieckim, zarekwirować chłopu rower, na którym w tyrolskim stroju, bez armii i orderów, popedałował do St Johann, do amerykańskiej niewoli, jak w dziesięć lat później na rowerze, wypożyczonym bez trudu w Andernach, pedałował pod wiatr ku domowi w kierunku Mayen widzimy go w lusterku wstecznym borgwarda, jak kręcąc mocno i równomiernie powiększa się coraz bardziej.

(- Jak pan uważa, czy Linda, pozostawiona w borgwardzie samej sobie i zdana na lusterko wsteczne, mogłaby powinna byłaby teraz coś wymamrotać. „Mam rzucić mu się na szyję? Czy po prostu się rozbeczeć“).

Tymczasem mój dentysta przy pomocy telefonu ustalił termin. Film o pumeksie upajał się krajobrazami Przedniej Eifel obaj z rowerzystą, który z opóźnieniem wracał z wojny, święciliśmy ponowne spotkanie z Korrelesbergiem. Gdy Linda opuszczała

wóz, airstar mojego dentysty ponownie oszlifowywał moją dolną szóstkę Linda otworzyła bagażnik. Przesunęła koło zapasowe. Obróciła się w stronę coraz bardziej powiększającego się rowerzysty. Działa się historia Heglowski duch świata jechał na przełaj przez pola, pod którymi czekał na wydobyć pumeks.

(- Doktorciu, teraz! Doktorciu, teraz!).

Rowerzysta hamuje Linda ani się ruszy. On zsiada ciężko i pozwala sobie i jej na dwa kroki dystansu (Wiatr, mrużenie oczu, pauza i przeskok w myślach z powrotem do gabinetu dentystycznego, a stamtąd do mojej 12a, bo całkiem niedawno mówiliśmy o archetypie powracającego z wojny – Mojemu pokoleniu nadał piętno Borchertowski Beckmann. Jaki jest pański stosunek do Beckmanna, Scherbaum? Czy dzisiaj Beckmann jeszcze panu coś mówi?).

Ten powracający z wojny też nosi okulary. Stoi w szarym, przyciasnym ubraniu, bez nakrycia głowy, w ciężkich, sznurowanych butach z cholewką. Klamry do nogawek pożyczyl pewnie w Andernach. Od całości odbiega nowy i zbyt elegancki krawat Tekturowa walizka jest przytroczona do tylnego siodełka postrzępionym sznurkiem. Jego wyrazista twarz nie mówi nic.

Linda – Rower możemy włożyć do bagażnika Jestem pańską córką Sieglindą.

Krings – To uprzejme, że ktoś wyszedł po mnie.

Linda – Musieliśmy minąć się w Andernach. Przedtem byłam.

Krings – Nie chciałem pokazywać się bez krawata – Wskazuje podbródkiem nowy nabytek.

Linda – Ładny – Ale nie uśmiecha się.

Krings – Moja siostra pisała że masz długie włosy, splecione w warkocz.

Linda – Obcięłam je przed zaręczynami. Można?

Krings – Proszę – Linda praktycznymi ruchami umieszcza rower i walizkę w bagażniku Pokrywa się nie domyka Krings spogląda na Korrelesberg. Bawi go coś, prawdopodobnie fakt, że góra wciąż jeszcze istnieje. Tymczasem widz może się zastanawiać nad zawartością walizki, ma też prawo martwić się o niedomkniętą pokrywę bagażnika, którą Linda przywiązuje postrzępionym sznurkiem do tylnego zderzaka (Nawiasem mówiąc, kiedy poznałem Linde, miała Mozartowski warkocz Ścięła go na moje życzenie).

Linda – Tych parę kilometrów jakoś to wytrzyma Dużo rzeczy wyda się panu

zmienionych.

Krings – Cementowy pył na naci ziemniaczanej pozostał taki sam.

Linda – To też niedługo może się zmienić.

Krings – Twój narzeczony -to prawda, że przyszedł od Dyckerhoffa? – chce odpylić zakłady.

Linda – Najpierw ma nastąpić przejście na metodę suchą, a potem

Krings – Najpierw zajedźmy na miejsce. I przeprowadźmy wizję lokalną. Może nie? Moja córka powinna mówić mi „ty”. Tak trudno to przychodzi?

Linda – Mam zamiar spróbować.

Krings – Więc zrób to.

Linda – Dobrze, ojciec – Oboje wsiadają do samochodu

Czy tę scenę, bez roweru, krajobrazu i auta, dałoby się przenieść do Szarego Parku?

–Jak pan uważa, doktorciu? Krings przychodzi z walizką – może też prowadzić rower – pod bukiem obsypanym cementowym pyłem natyka się na Linde i od razu znajduje pierwsze zdanie „Jakie to uprzejme, że nikt po mnie nie wyszedł”. Na to Linda „Byłam w Koblencji. Powstało tam zbiegowisko. Zanosiło się na awanturę”.

Krings „Policja tego dziwnego państwa prosiła mnie, żebym wysiadł już w Andernach”.

Linda „Ucieszyłam się, że pociąg przyjechał bez pana, bo niektóre typy“.

Krings „Moja siostra pisała, że masz długie włosy, splecione w warkocz.“ – Mój dentysta był przeciwny Szaremu Parkowi, bo w rzeczywistości Linda wypatrzyła go po drodze.

Oboje odjeżdżają w kierunku Plaidt. Kamera spogląda za nimi, aż już tylko Korrelesberg i zakłady Kringsa z obydwojoma czynnymi kominami dominują w planie ogólnym krajobrazu Przedniej Eifel.

–I po bólu, mój drogi. Teraz jeszcze wyciski miedzianym pierścieniem dla kontroli. Potem wypełnimy ruwareksem i uzyskamy w ten sposób oryginalne modele naszych pieńków pod korony.

Staralem się być zadowolony. Krings dotarł na miejsce. Płukanie sprawiało niemal przyjemność. Za oknem, widziałem, biegła Hohenzollerndamm od Roseneck po Bundesallee. I jeden ze zwyczajowych okrzyków mojego ucznia Scherbauma – Dlaczego właściwie pan uczy? – wsparty przez Wero Lewand słowami – A skąd on ma wiedzieć! – nie skusił mnie do szukania bezradnych odpowiedzi.

Potem jeden ząb po drugim był izolowany przyjaznym dla tkanek płynem tektor. Podczas gdy on cynowymi kapturkami osłaniał wszystkie cztery oszlifowane zęby od wpływu czynników zewnętrznych – „Z początku wyda się to panu obcym ciałem, kiedy znieczulenie minie i pański język odkryje obecność metalu” – ona już reklamowała trzymając się ściśle wyznaczonych przez prawo minut. Zaczęła od szamponów, później wystąpiła ze świerkowymi igłami i na koniec natarła się kremem na noc. Widziałem ją z profilu pod prysznicem, z główką w pianie. Na gołej skórze mogło się odbywać masowanie, łaskotanie i rozchodzenie się lekkiej przyjemności. Zgłaszam sprzeciwi. Dlaczego tylko przy pielęgnacji ciała? – Dlaczego, doktorciu, przy pomocy gołego ciała nie wolno reklamować wszystkiego? Choćby tak oto nagi dentysta oszlifowuje trzydziestodziewięcioletniej profesorce gimnazjum – koleżance Seifert – z obu stron na dole po dwa zęby trzonowe, które później przed wpływami zewnętrznymi zostają osłonięte cynowymi kapturkami Oto reklama firmy pogrzebowej Grienersena odziani tylko w pasy do noszenia karawaniarze taszczą otwartą jeszcze trumnę, w której leży nareszcie spokojnie udekorowany wysokimi odznaczeniami feldmarszałek A tutaj reklamuję reformę starszych klas berlińskich gimnazjów nagi i mocno owłosiony profesor gimnazjalny uczy ubrane podług indywidualnego gustu uczennice i uczniów historii Niemiec, raptem zaś podrywa się jego uczennica Wero Lewand w kolorowej wełnie – Pańskie wyliczanie znamion totalitaryzmu pasuje jak ulał do autorytarnego systemu szkolnego, w którym my – A tak reklamuję Osrama nagi elektryk zakładowy Schlottau stojąc na krześle wkręca sześćdziesięciowatową żarówkę, czemu przygląda się ubrana sportowo panna – Lindalindalinda. Albo arantil nadzy kochankowie siedzą na tapczanie i mają przed oczami ekran telewizora, na którym ludzie w ubraniach rozwiązują sprawę kryminalną osławiony morderca narzeczonej ucieka, wpada do stodoły, w ubraniu wije się na słomie, jęczy, ponieważ bołą go zęby i nie ma arantilu, a tymczasem na zewnątrz – widzi to przez dziurę po sęku – naga dziewczka zdecydowanym krokiem idzie przez podwórze doić czarno-białe krowy. W ogóle zwierzęta. Pytam pana, doktorciu, dlaczego zoo nie reklamuje się pokazując spęd nie ubranych rodzin przed klatką małp szeroko- i wąskonosych, zwierzakokształtnych i człowiekowatych.

–No i trzymają się. Wielkość cynowych kapturków ustaliło się już przedtem (Moje osłonięte pieńki).

–A teraz niech pan zagryzie. Jeszcze raz Dziękuję – Jego pomoc (w białym fartuszk) w porę wyjęła swoje marchewkowe palce.

–Ale czy nie mam wykrzywionej opuchniętej obrzmiałej twarzy? – Wszystko to złudzenie Fikcja, którą obali lusterko -Mój dentysta pożegnał mnie radą, żebym w odpowiednim czasie brał arantil

–W przeciwnym razie będzie pan miał niemiły weekend i niedzielę z pobołowaniem.

(Jego pomoc, ot tak, na korytarzu, podając mi płaszcz i rzeczowym, przyciszonym głosem prosząc mnie, żebym nie jadł zbyt gorących potraw i nie pił zbyt zimnych napoi, ponieważ metal przewodzi czynniki zewnętrzne – jego pomoc bardziej mi się teraz podobała, bądź co bądź trochę bardziej).

Po powrocie do domu ze swoimi czterema obcymi ciałami ogoliłem się, przebrałem, jedwabną wstążką przewiązałem prezent (secesyjne szkło z roślinnym motywem), udałem się na urodziny dojeżdżając dziewiętnastką do Lehniner Platz, zabawiałem się z początku w towarzystwie kolegów (uwagi o polityce kulturalnej), powiedziałem gospodynie (solenizantce) coś żartobliwego na temat jej akwarium i jego melancholijnie żarłocznej zawartości – ale Irmgarda Seifert nie chciała się śmiać – wytrzymałem, z pomocą arantilu, do północy, zastałem swoje biurko na czatach, napisałem na karteczce. Zobaczymy, co milczy w walizce, zasnąłem od razu, zbudziłem się wcześniej przy słabnącym działaniu, obie tabletki wziąłem jednak dopiero po śniadaniu (herbata, jogurt z płatkami owsianymi) i już przy lekturze niedzielnych gazet zacząłem kontynuować swoje biadanie. Ach, ta niedziela. Ach, te tapety. Ach, to poranne piwko.

Przeczytałem o tym w „Welt am Sonntag”. Złapali go. Nie. Sam się zgłosił. Bo nigdy, nawet rozsyłając listy gończe na kredowym papierze, nie dopadliby go, dusiciela swej cieszącej się życiem i tylko przy zachodnim wietrze kapryśnej narzeczonej. Udusił – i na zdjęciu było widać ten przedmiot – łańcuchem od roweru. Jego niedoszły teść, według zeznań, wypożyczył ów rower w Andernach wracając wreszcie z dziesięcioletniej niewoli i na ostatni odcinek drogi nie znajdując innego środka lokomocji. Łańcuch od roweru, wielocłonowy jak różaniec, znaleziono dwanaście lat temu na miejscu zbrodni (w składowisku pustaków), bo on przez dwanaście lat żył z włamań, których dokonywał bez specjalnych narzędzi, jednakże perfekcyjnie, aczkolwiek z niechęcią. (Świat zapomniał o nim – ale wydział zabójstw w Koblencji nie mógł o nim zapomnieć). W trakcie ucieczki starzał się, jego czyn popełniony w kilka sekund mimo upływu lat nie chciał się przedawnić. Jako że brakowało mu nie tylko żywności, sięgał po lekturę filozoficzną szczególnie wgłębiał się w doktrynę stoicyzmu (i mógłby dzisiaj uchodzić za specjalistę od Seneki). Zaszyty w ukryciu, a przecież gotów w każdej chwili dać drapaka, czytał i sypiał w stodołach i domkach weekendowych, w których dość często, przeważnie za książkami swych ulubionych autorów, znajdował gotówkę w banknotach i bilonie. Podróżował więc koleją, podczas gdy policja przypuszczała, że jeździ autostopem.

Starannie ubrany i pogrążony w lekturze, z oparciem pierwszej klasy za plecami, poznawał Niemcy Zachodnie pomiędzy Passau a Flensburgiem, Coburgiem i Völklingen .Ilekroć zmieniał miejsce pobytu, tylekroć zmieniał strój gdyż owe kradzieże, dokonywane nadzwyczaj niechętnie, bo wbrew naturze sprawcy, musiały nie tylko dostarczać ziemiopłodów, książek, pieniędzy na podróż i kieszonkowe, miały też rozwiązywać kwestię ubioru jego postura – również starzejąc się mógłby był bez problemu kupować sobie ubrania gotowe – ułatwiała wyszukiwanie odpowiednich rozmiarów konfekcji. Często zaopatrywał się w nową walizkę. Ponieważ jednak nie bardzo mu zależało na własności – koszule i bielizna na zmianę, między nimi książki – podróżował zawsze z lekkim bagażem.

Czy strzygł się co trzy tygodnie? Robił to na lotniskach i dworcach głównych, gdzie mógł być pewien, że w lustrze zobaczy włoskiego fryzjera. (Zainteresowanie listami gończymi jest narodowo ograniczone). Modelowaną fryzurę wypierało modne strzyżenie brzytwą, na koniec wolał czesać się bez przedziałka, na amerykańskiego jeża.

A mimo to – czytałem o tym przed kilku miesiącami w „Welt am Sonntag”, widziałem jego zdjęcie zadbany mężczyzna pod czterdziestkę, który mógłby się ubiegać o kierownicze stanowisko w przemyśle cementowym – mimo to sam się zgłosił

–Przez dziesięć lat mogłem znosić niedogodności ucieczki, pokrzepiony doktryną stoicyzmu, ale od dwóch i pół roku przesładuje mnie ból zęba

(- Prawda, doktorciu, że w ośrodku nerwowym są receptory, które trzeba neutralizować). Jako że arantil sprzedają tylko na receptę, morderca narzeczonej zdany był na słabsze, po krótkim czasie nieskuteczne środki. Nie miał odwagi pójść do dentystry. Dentyści czytują pisma ilustrowane. Dentyści są na bieżąco i znają każdego poszukiwanego mordercę, a więc także jego, uhonorowanego zdjęciami przez „Quicka” i „Sterna”, „Bunte” i „Neue”. Ten rodzaj czasopism występuje stadami jak wilki wszystkie seryjnie ścigały po terenie polowania z nagonką grona prenumeratorów „W swoim domku”. Rotograwiurów zdjęcia z podpisami. On i jego narzeczone, kiedy na szyi miała jeszcze sztuczne perły, nie łańcuch od roweru. On i ona na cienistym brzegu jeziora Laach. Oboje na Reńskiej Promenadzie w Andernach pod przyciętymi platanami. Również ze swoim przyszłym teściem – na krótko przed morderstwem – koło modelu elektronicznego odpylacza cyklonowego. I solowe obrazki ze szczęśliwych czasów Morderca narzeczonej bez kapelusza, w kapeluszu, z profilu, z półprofilu. Raz śmieje się, odsłania zęby. (To przecież musiało rzucić się w oczy każdemu dentyście – To by i panu pozostało w pamięci na lata ta luka między górnymi siekaczami i to przodożuchwie, ta – każdy to przecież widzi – autentyczna, bo wrodzona progenia).

Bez dentystrycznego leczenia musiał dwa i pół roku żyć z bólem, który kochał powtórzenia, który w powtórzeniach potrafił się wzmacniać, który nawet złote myśli Seneki – „Tylko biedak liczy swoje bytło”.

–mogły co najwyżej osłabić, który przesłaniał i zagłuszał inny, pierwotny ból z powodu uduszonej narzeczonej. Pozbawiony arantilu i – jako że Seneka czasem zawodził – pocieszany cynicznie przez późnego Nietzschego – „Z moralnego punktu widzenia świat jest fałszywy. Ale o ile sama moralność stanowi część tego świata, o tyle i ona jest fałszywa” – włókł się od jednego domku weekendowego do drugiego, szukał i znajdował w domowych apteczkach pocziwe remedia, ale nigdy nie znalazł sprzedawanego tylko na receptę arantilu. (Zatem tarzałem się, jak gdyby ból był rozkoszą, w opuszczonych szopach kamieniarzy na Mayener Feld, w wystawionych na przeciągi stodołach Przedniej Eifel i trzymałem w ramionach moją narzeczoną, wiązkę trzeszczącej słomy – Och Lindalindalinda! – i słyszałem też jej syczenie. Ty się wyłącz! To sprawa między ojcem a mną. Ja mu to udowodnię. Ciebie to nic nie obchodzi I choćbym z tym Schlottauem dziesięć razy. Przestań grozić tym śmiesznym łańcuchem od roweru).

Aż tu zjawił się w koblenckim wydziale zabójstw i powiedział – To ja! – Morderca narzeczonej, urodzony w Prusach Zachodnich, przedłożył, jak się należy, przeterminowaną już z biegiem czasu legitymację uchodźcy kategorii A

Policjanci nie chcieli wierzyć. Dopiero gdy się zaśmiał, zaśmiał mimo całego bólu i odsłonił lukę między górnymi siekaczami, a także charakterystyczną progenię, zrobili się mili do granic dobroduszości.

–Był już czas, stary byku

Nie chcę tu opowiadać o zasługach tak zwanego mordercy narzeczonej. (Przekazał on policji powstały w ciągu dwunastu lat rękopis znacznych rozmiarów „Wczesny Seneka jako wychowawca późniejszego cesarza Nerona – Filozoficzne uwagi zbiegłego mordercy”). Niech do głosu dojdzie jedynie jego zaprotokołowane strapienie: „Niniejszym wnoszę o doprowadzenie mnie jako tymczasowo aresztowanego do lekarza więziennego. Wskazany jest zabieg, w razie czego ekstrakcja bolących zębów. Gdyby zabieg miał się odwlec, proszę najuprzejmiej o arantil. Bo arantil sprzedają tylko na receptę”

Dzięki arantilowi – dwadzieścia drażetek za dwie marki trzydzieści – pisałem wolny od bólu i uskrzydłony ubocznym działaniem. Koniec z porażkami. Oto zastanawiamy się i wygrywamy.

Na krótko przed „Porannym piwkiem” w telewizji jeszcze podobałem się sobie w lamentacyjnym nastroju – Ach, ta niedziela. Ach, ta tapeta – rozpamiętywałem stare

historyjki, ciągle szepty na ardenaskiej promenadzie, aż tu dwie tabletki pomogły mi skupić coniedzielne wypatrywanie samego siebie na prywatnej sprawie pewnej koleżanki. (Ach, jak my się przyłapujemy. Ach, jak to się odbija) – bo gdyby Irmgarda Seifert nie znalazła listów, byłaby szczęśliwa i nie wiedziałaby prawie nic o sobie, ale znalazła i odtąd wie co i jak.

Weekendowa wizyta u matki w Hanowerze, przymusowe zajadanie raz za razem i wychwalanie ulubionej potrawy, pieczeni na dziko z kluskami ziemniaczanymi – No, dołóż sobie jeszcze trochę, dziecko. Dawniej wciąż ci było mało – popołudniowy sen matki (jakby przez godzinkę była nieżywa), nagłe osamotnienie pośród mebli i tapet, które właściwie powinny byłyby jej być znajome, zalegający wszędzie, od lat nieporuszony zapach pasty do podłogi, raptowna kłótnia wróbli w zaroślach ogródka przed domem, a jeszcze przy obiedzie, kiedy to marynowane gruszki pozostawiały już słodkawy posmak, wzmianka matki o świadectwach szkolnych, fotografiach całej klasy, zeszytach z wypracowaniami i listach córki, rupieciach, które znajdowały się powiązane w walizce na strychu, w sumie to splot przypadków kazał Irmgardzie Seifert, która jak ja uczy niemieckiego i historii (oraz dodatkowo muzyki), wspiąć się na poddasze jednorodzinnej domu, przedtem ze względu na kurz włożyć matczyne fartuch, a następnie otworzyć dużą, nawet nie zamkniętą na kluczyk fibrową walizkę.

Na moim karteluszkę następują po sobie wypisane hasła. Promienie słońca wpadające ukosem przez dymnik Zardzewiałe płozy jej dziecięcych sanek Ze spraw rodzinnych zmarły ojciec Seifert był kierownikiem działu wysyłkowego u Günthera Wagnera (Ona jeszcze dziś dostaje ołówki po tańszej cenie) Akwarium Irmgardy żaglowce, welony i gupiki, które pożerają swoje młode.

Irmgarda Seifert i ja jesteśmy z tego samego rocznika. Pod koniec wojny mieliśmy siedemnaście lat, byliśmy jednak dorośli. Aczkolwiek to i owo nie pozwala nam zbliżyć się na płaszczyźnie pozazawodowej, jesteśmy zgodni w ocenie najnowszej historii Niemiec i jej oddziaływania po dziś dzień. Tylko na wielką koalicję i na kanclerstwo Kiesingera reagujemy w różnej tonacji ja bardziej cynicznie, bardziej na zimno, Irmgarda Seifert skłania się do protestu.

Określone wypowiedzi w telewizji, nagłówki w prasie codziennej spotykają się z jej niezmiennym komentarzem – Przeciwno temu należałoby zaprotestować, zaprotestować ostro i jednoznacznie.

Jej i moi uczniowie – Irmgarda Seifert sprawuje pieczę nad moją 12a od strony muzycznej – nazywają ją dobrodusznie „Archanielicą”, jej mowa często jest podobna do płomienistego miecza (I tylko karmiąc swoje rybki sprawia wrażenie osoby z wdziękiem)

Stanować znak. Dawać przykład. Jeszcze dwa lata temu brała udział w marszach

wielkanocnych. Ponieważ w Berlinie Zachodnim DFU* nie wystawia swojej listy, ona na znak protestu przy okazji wyborów lokalnych wstrzymała się od głosu. Przed swoją klasą, ale również przed moją 12a powoływała się niekiedy na Marksengelsa i zaskakiwała wzburzonych uczniów ostrą krytyką Ulbrichta, którego nazywała starym, biurokratycznym stalinowcem. Przez długi czas wywierała wpływ co prawda nie na mojego ucznia Scherbauma, ale na jego przyjaciółkę, małą Lewand.

W owym czasie Irmgarda Seifert lubiła toczyć spory. Wdawała się w bezowocne dysputy na temat planów reformy szkolnej z konserwatywnymi kolegami, ba, z naszym dyrektorem, który uważa się za liberała, bo wszelkim sporom z „Archanielicą” położył on kres wypowiadając zdanie, które stało się porzekadłem – Cokolwiek pani myśli o hamburskim modelu szkoły całodziennej, tym, co nas łączy, droga koleżanko, jest bezkompromisowy antyfasyzm.

* DFU – Deutsche Friedensunion – Niemiecka Unia Pokoju, powstała w roku 1960 partia radykalnej lewicy (przyp tłum)

Wśród błahych wypracowań i zwyczajowych fotografii całej klasy Irmgarda Seifert znalazła przewiązany na krzyż plik listów, które napisała w lutym i marcu roku czterdziestego piątego jako drużynowa BDM i zastępczyni komendantki obozu dla dzieci ewakuowanych z miast. Jej myśli wyrażane pismem Sütterlina na liniowanym papierze krążyły wokół postaci führera, nazywanej przez nią kilkakrotnie „majestatyczną”. Bolszewizm uchodził w jej oczach za żydowsko-słowiańską zmowę, której chciała się przeciwstawić występując z płomiennym protestem (już wtedy „Archanielica”). A znany cytat z Baumanna – „Głód w oczach się maluje zdobywać chcemy, zdobywać chcemy sobie nowe ziemie” – posłużył za motto jednego z listów napisanych w marcu, kiedy to armie sowieckie stały nad Odrą. (Jak w ogóle skrajnie prawicowe kwiatki późnego ekspresjonizmu kształtowały jej styl; do dzisiejszego dnia koleżanka Seifert jest mocna w napuszonych, obecnie wspierających lewicę przymiotnikach „Zwycięstwo socjalizmu zrzucające jarzmo ucisku stanowi jasno wytknięty na przyszłość cel wszystkich niewzruszonych miłośników pokoju”) „Moja jasnowłosa nienawiść”, pisała wówczas szpakowata już dziś panna Seifert, „nie ma granic i w śpiewie sięga gwiazd!”.

Próbowałem śmiać się, gdy wkrótce po weekendowej wizycie w Hanowerze, wciąż jeszcze wzburzona, cytowała mi te niedorzeczności, lecz ona z wytrzeszczonymi oczyma powiedziała – W tych listach są miejsca, których nie chciałabym wyjawiać nawet panu

(- Jednym słowem, doktorciu Irmgarda Seifert doznała wstrząsu). Na pewno nie zapomniała, że była drużynową w BDM Czas spędzony w Harzu pozostał dla niej w wielu szczegółach wyraźny i sposobny do opowiedzenia opiekowanie się

wielkomięskimi dziećmi ewakuowanymi z Brunzswiku i Hanoweru, zbyt duża odpowiedzialność przy coraz to trudniejszej sytuacji żywnościowej, codzienne naloty myśliwców bombardujących na pobliską wieś, kopanie rowów przeciwodłamkowych i jej oburzenie na Ortsgruppenleitera, który na początku kwietnia chciał zabrać z obozu i wcielić do Volksschule 13- i 14-letnich uczniów.

Często na wspólnych spacerach wokół Jeziora Grunewaldzkiego albo u mnie w domu, przy szklaneczce mozelskiego, bardziej gadaliśmy niż rozmawialiśmy o tym epizodzie z jej młodości – jak o moich czasach w bandzie Wyciskaczy Przypominało się jej, że dobitnie protestowała przeciwko niewłaściwemu wykorzystywaniu dzieci przez Ortsgruppenleitera – Wystąpiłam z płomiennym protestem – Powtarzała mi słowo w słowo ówczesną mowę obrończą – W końcu facet się zmył. Jeden z tych obrzydliwych partyjnych ważniaków. Pamiętaj pan ten typ, drogi kolego.

Przymusową sytuację, w jakiej znalazła się przed laty, Irmgarda Seifert wykorzystywała nawet jako materiał lekcyjny wobec swoich, a także (na lekcjach muzyki) moich uczniów mówiła o „odwadze jako przełamaniu tchórzostwa”.

Raz po raz wywracała zawartość walizki, a jednak nie znajdowała tego, czego szukała dawnych wojowniczych, jak mówiła „antyfaszystowskich” wypowiedzi, które rzekomo nie tylko wygłaszała, ale i notowała. Znalazły się tylko te listy. I w ostatnim liście wyczytała swój triumf, że oto, na własne życzenie, po przeszkoleniu w posługiwaniu się pancernicą, została instruktorką. Było tam napisane „Nasza gotowość jest niezachwiana. Wszyscy chłopcy, których wspólnie z Ortsgruppenleiterem przeszkoliłam w obchodzeniu się pancernicą, będą ze mną bronić obozu do ostatka. Wytrwają albo padną. Nic innego nie wchodzi w rachubę”.

–Ale przecież pani wcale nie broniła obozu.

–Naturalnie, że nie. Nie mieliśmy już po temu okazji. Zmieniłem temat, mówiłem o swojej przynależności do Wyciskaczy – Niech pani to sobie wyobrazi, droga koleżanko ja szefem bandy. Pośród tak gruntownie zorganizowanej wspólnoty narodowej nie pozostawało nam nic innego jak aspołeczność, często na granicy przestępstwa.

Nic nie mogło powstrzymać załamania się mojej koleżanki – Są jeszcze inne, gorsze listy.

Opowiadała o chłopie, który nie zgodził się, żeby na jego polu, przylegającym do dziecięcego obozu, wykopać rów przeciwodłamkowy – Tego chłopca zadenuncjowałam, na piśmie, w kierownictwie powiatowym w Clausthal-Zellerfeld.

–Miało to skutki? Chodzi mi o to, czy jego.

–Nie, co to to nie.

–No więc! – usłyszałem swój głos (Ta rozmowa odbywała się u mnie. Dołałem mozelskiego. Puściłem płytę). Ale również Telemann nie zdołał przeszkodzić Irmgardzie Seifert w dokonaniu słowa po słowie samooceny – Pamiętam, że byłam rozczarowana, ba, oburzona, gdy moja denuncjacja pozostała bez echa.

–Czysta spekulacja!

–Podziękuję za pracę w szkole.

–Nie robi pani tego.

–Już nie mam prawa uczyć.

A ja zacząłem układać słowa na niedzielę – Właśnie pani współwina, droga koleżanko, uprawnia panią dzisiaj do wskazywania drogi młodzieży. Niejeden przez całe życie chodzi z egzystencjalnym kłamstwem i nie ma pojęcia. Przy okazji opowiem pani o sobie i o wstrząsie, którego skutki mogę ogarnąć dopiero dzisiaj. Raptem takie słowo jak tras albo pumeks, albo tuf. Albo dzieci bawiące się łańcuchem od roweru. I już cały układ bierze w łeb. Nadzy jesteśmy i łatwo nas zranić.

Wtedy ona się rozplakała. A ponieważ sądziłem, że znam opanowanie Irmgardy Seifert, odważyłem się mieć nadzieję łączy też są arantilem.

–Ach, doktorciu, cóż to za nazwa (Wezmę jeszcze dwie). Arantil mogłaby być siostrą etruskiej księżniczki Tanaquil. Jako młodzianka narzeczona młodsza Arantil została znienawidzona przez starszą Tanaquil i z tego powodu – a także dlatego, że narzeczony Arantil nagle stracił głowę dla Tanaquil – strącona z murów miejskich Perugii. Później jej imię przybrała pewna śpiewaczka. Pamięta pan, Arantil jak Tebaldi, jak Callas podbiła śpiewem wiele serc i dyskotek Ale stało się to raczej za sprawą jej twarzy. (A więc nie jest ładna, ale za to piękna). Czy polegało to na rozstawieniu oczu, na rozstrzelonym spojrzeniu? Któż z nas mógłby sobie przypomnieć jej ciało? Jej talentem była twarz. W powiększeniu, na wysokich jak kościoły płaszczyznach reklam, składała się już tylko z kropek, które nasze oko, nabierając dystansu, usiłowało zebrać w całość. W prowincjonalnej mieścinie, w Fürth, widziałem ją na słupie ogłoszeniowym zmoczoną deszczem naddartą zdezaktualizowaną, bo w trzy tygodnie po przedstawieniu. (Ktoś wydrapał plakatowi oboje oczu). I czego to nie wyprawiano z jej fotografią! Znajdowała się w książeczkach do nabożeństwa. Oprawiona w ramki stała na biurkach wielce wpływowych dyrektorów. Pluskiewki przymocowywały ją do szafek naszej Bundeswehry. Była obecna w pocztówkowym formacie i na szerokim ekranie.

Patrzyła na nas, nie, przez nas na wskroś. Patrzyła ponad wszelkim bólem pusto, zniewalająco i kojąco. (I pewnie to uśmierzające ból działanie skłoniło później firmę farmaceutyczną do rzucenia na rynek nazwanego jej imieniem specyfiku znieczulającego bóle zębów i szczęki, podwójne opakowanie arantilu) – przy tym jej oblicze było straszne, a koniec tragiczny.

Nawiasem mówiąc o młodym człowieku, którego prasa bulwarowa nazwała jej mordercą, dawno się już nie słyszało. Podobno był z nią zaręczony. Przy tym to gazety wieczorne i pisma ilustrowane, zwłaszcza „Quick”, raz po raz „Quick”, udostępniały szerokiej publiczności migawkę fotografa. I ona, prasa, winna jej śmierci, nazwała go teraz mordercą. Niby jakiego przestępstwa on się dopuścił? Fotograf walczący o przetrwanie w swoim zawodzie jak my wszyscy.

Mimo trudności dostał się do jej hotelowego apartamentu. Tam ukrył się ze swoim sprzętem pod łóżkiem, aby w niewygodnej pozycji czekać na jej powrót. Mało tego zaczekał, aż ona przebierze się na noc i w końcu – ufał swemu słuchowi – zaśnie. Dopiero teraz opuściłem kryjówkę. (Ona zawsze miała dobry sen). Zbliżyłem się ze swoim arrrfleksem na małą odległość i strzeliłem jedno, tylko jedno jedyne zdjęcie błyskowe. Nieboga zadzwoniła (a pewno i krzyknęła) dopiero wtedy, gdy ja zjeżdżałem już windą podążając do swojej ciemni. O ile mi wiadomo – a znałem ją dobrze, nazbyt dobrze – już teraz była martwa. Bo moje pstryknięcie nie tylko przyniosło mi sumę z wieloma zerami (która dzisiaj pomaga mi sfinansować nasze degudentowe mosty), moje pstryknięcie kosztowało ją życie. Od tego czasu już nie zaznała snu. (Ja go spłoszyłem na dobre). Jako narzeczonemu dane mi było przejrzeć historię jej choroby w siedem miesięcy, dwa tygodnie i cztery dni po tym, jak w berlińskim hotelu Hilton sfotografowałem śpiące oblicze mojej narzeczonej Arantil, ona zgasła, stopniała w Zurychu czterdzieści jeden kilogramów.

Przy tym jej śpiące oblicze było piękne, chociaż inaczej piękne niż na jawie Ofiarowywało się każdemu do dowolnego użytku, i to dziecinnie krnąbrne rozluźnienie udawało się też, mimo dominacji koziej sztywności jej twarzy na jawie, mojej narzeczonej Sieglindzie Krings, kiedy zastałem ją śpiącą w Szarym Parku, pomiędzy jej wojskowymi książczyskami. Ale nigdy nie sfotografowałem jej snu. Nie mam nawet zdjęcia przebudzonej Lindy, zawsze wpatrującej się z uporem w jakiś cel. Bo i po co To już przeszłość. Życie toczy się dalej Irmgarda Seifert uczy jak przedtem. Trudno było jej wyperswadować planowaną publiczną spowiedź – Czemu chce pani obciążyć tym chłopaków i dziewczyny? Każdy musi zdobyć swoje własne doświadczenia – W końcu ustąpiła – W tej chwili brak mi też odwagi, żeby się tak odsłonić przed całą klasą.

Moja niedziela skończyła się, kiedy u Reimanna próbowałem wypić piwo przy szynkwasio. Jego pomocnica, która ostrzegała przed zbyt gorącymi potrawami i zbyt

zimnymi napojami, miała rację metalowe obce ciała – cztery cynowe kapturki na moich oszlifowanych pniakach – przewodziły, zapłaciłem wypić szklankę ledwie do połowy.

Mój dentysta, który jest moim przyjacielem, objaśniał mi ból – Nie wiedział pan tego? W każdym zębie znajduje się nerw, tętnica i żyła.

Jego głos brzmiał donośnie i dokonywał pomiaru gabinetu – pięć na siedem, przy wysokości trzy trzydzieści – Powinien pan wiedzieć również i to przy zębieniu, pod szkliwem, które nie jest wrażliwe, w kanalikach zębowych są owe odnogi nerwów, które przy borowaniu lub oszlifowywaniu nacina się ukosem (Po wlokącym się ponad miarę weekendzie wyobrażałem sobie mojego dentystę jako faceta bez wyrazu, a jeszcze przed południem moją próbę wytłumaczenia 12a, że nie ma nic bardziej bezosobowego niż uprzejmy dentysta, który ledwie się wejdzie, pyta człowieka o samopoczucie, skwitowano zgodnym śmiechem, uznano, że jestem stuknięty).

Prawie nie zareagował na moje dzień dobry. Znad stoliczka z instrumentami oznajmił prosto z mostu – Bolał pana szyjki oszlifowanych zębów, ponieważ skupiają się w nich kanaliki zębowe.

Powinienem zastosować na lekcjach jego metodę unaoczniania czegoś (choćby bólu) – O, niech pan spojrzy nerw rozgałęzia się w koronie zęba i przechodzi w wypustkę miazgi.

Gdy mimochodem wspomniałem o Przedniej Eifel i wiosce Krufft w pumekсовym zagłębiu, porzucił nerw zębowy, ażeby Krings mógł wreszcie powrócić z wojny.

–Jednym słowem, doktorciu, zajął willę za Szarym Parkiem i zebrał rodzinę – ciotkę Matyldę, Sieglindę i mnie – w swoim gabinecie, który był dotychczas zamknięty na cztery spusty, ale znany mi jako „ojcowska Sparta” łóżko polowe, półki z książkami, zwinięte mapy stolikowe. Na blacie ustawionym na kozłach łuk Wisły przed przełamaniem frontu pod Baranowem. A mapa rozwieszona na ścianie, naprzeciw okien, ukazuje kocioł kurlandzki z wytoczonym szpilkami przebiegiem frontu w czasie, gdy objął go Krings.

Mój dentysta od razu poznał sytuację – To tam! Październik czterdziestego czwartego. Na południowy wschód od Preekuln. Tam stałem.

–Ani odrobiny kurzu Ciotka Matylda wypastowała, wywietrzyła pokój na powrót Kringsa. On mając za plecami Kurlandię, a między sobą a nami rozłożony na kozłach odcinek środkowy wyprasza sobie rodzinne czułości. Siostrze, która wyraża swą radość z powodu bynajmniej nie wycieńczonego, lecz w sumie krzepkiego wyglądu feldmarszałka – „Cieszę się, Ferdynandzie, że ten długi straszny czas nie zdołał ci

zaszkodzić.” – przerywa słowami „Nie było mnie. A teraz wróciłem”. Linda nic nie mówi, pozostaje jednak milcząco obecna. Ja ryzykuję pytanie, czy odludność rosyjskiego krajobrazu zmienia człowieka, zwłaszcza człowieka w niewoli. Z początku wygląda na to, że nie dostanę odpowiedzi Krings sprawdza cyrklem położenie w łuku Wisły, wskazuje na Baranów – „To nie miało prawa się zdarzyć!” – i spogląda teraz na mnie „Seneka powiada !Wszystkie dobrodziejstwa życia należą do innych – tylko czas jest naszą własnością! Ja zaprzątałem sobie głowę ożywianiem, przyznaję, monotonnego terenu na południowy wschód od Moskwy manewrami ofensywnymi“. Mógł być też powiedzieć „Samotności to nie mai”, jak powiedział „Arktyki to nie ma!“

Mój dentysta bawił się koło stoliczka z instrumentami czterema napełnionymi strzykawkami Jego wzmianka – Jak panu wiadomo, za rządów Klaudiusza Seneka został deportowany na Korsykę, dopiero matka Nerona, Agrypina, położyła kres ośmioletniemu wygnaniu – miała mi przypomnieć, że doktryna stoicyzmu mogła przede wszystkim w niewoli nabierać dojrzałości i pozyskiwać uczniów. (Mojego dentystę wypuścili dopiero w połowie czterdziestego dziewiątego). Na fotelu Rittersa czekałem na drobne, nieprzyjemne ukłucie i bałem się, że miejscowe znieczulenie mogłoby go skusić do wariacji na temat Kringsa – Bólu to nie ma! – ale on zachował rzeczowość i pochwalił mnie w obecności pomocnicy – Należy pan do nielicznych pacjentów, którzy wytrwale interesują się przyczynami i drogą bólów nerw zębowy wiedzie do nerwu żuchwowego, a więc do trzeciej gałęzi nerwu trójdzielnego, wreszcie do kory kresomózgowia, która niekiedy przesyła ból do potylicy.

Ekran błyszczał matowo. Czy powinienem był przywołać mordercę narzeczonej albo koleżankę Seifert, jak w poszukiwaniu starych listów pogrąża się w fibrowej walizce matki. Albo bezsenną śpiewaczkę Arantil. Albo podróż borgwardem, w czwórkę, do Normandii.

–Bo widzi pan, doktorciu, o ile nasze plany urlopowe przed przyjazdem feldmarszałka były niewyraźne – ja chciałem jechać do Irlandii, Linda mówiła „Zostaję tutaj” – o tyle Krings, zajmąwszy swoją Sparte i rozwinąwszy na mapie odcinka środkowego mapę frontu inwazyjnego, zaraz udzielił wszystkim dokładnych wskazówek. „Jak tylko dostanę paszport, jedziemy. Chciałbym sobie obejrzeć odcinek między Arromanche a Cabourgiem i popatrzeć na palce temu panu Speidlowi, który znów jest na fali”. Pojechaliśmy z nowiutkim Kringsowym paszportem Francuzi nie robili trudności, bo w czasie kampanii francuskiej odgrywał podrzędną rolę.

–W każdym razie przekraczamy granicę normalnie, z Lindą przy kierownicy. W półtora dnia później jesteśmy u celu. Wobec nakazanego przez Kiregsa pośpiechu rzadko mam okazję dać wyraz swoim zainteresowaniom historią sztuki, siedząc obok Lindy nie mogę się powstrzymać od skomentowania tej czy innej katedry, mnogości

francuskich zamków, a później normandzkich osobliwości; gorliwość, którą Krings (a z nim ciotka Matylda) cierpliwie znosi Linda z dezaprobatą macha ręką. Zna mój nieodparty pęd do wygłaszania improwizowanych wykładów „Skończcie wreszcie z tym swoim nędznym pouczeniem!”.

(Ona jeszcze teraz ma rację. Dopiero na wybrzeżu powinienem był puścić film i pokazać świadectwa niemieckiego przemysłu cementowego. Musiałoby to zainteresować również moją 12a – Niech mi pan wierzy, Scherbaum, one tam stały i nadal stoją wielkie bunkry, po ostrzeliwaniu przez artylerię okrętową przewrócone i niekiedy przebite na wylot. Betonowe budowle, które stały się częścią krajobrazu. Dla każdego operatora filmowego wystarczający powód, żeby popuścić cugli optyce spokojne, szare, samopotwierdzające się powierzchwnie. Zdecydowane cienie. Soczyste głębie. W świetle niespłowiałe struktury szalunku. To, co nazywamy dzisiaj betonem elewacyjnym. Być może odrzuci pan moje obserwacje dopatrując się w nich wyłącznie estetycznego sposobu widzenia, ja wszakże jestem skłonny mówić o stoickim spokoju betonowych konturów. Ba, czy betonowy bunkier to nie przyrodzona siedziba stoika?)

Krings wysłuchał z zainteresowaniem mojego wykładu na temat rozwoju produkcji niemieckich cementów trasowych w czasie ostatniej wojny, a ja zaproponowałem mu na serio, żeby nasz nowy gatunek, przygotowany z myślą o wielokondygnacyjnych budowlach żelbetonowych, nazwać imieniem późnorzymskiego filozofa Seneki. Nie przystał na to. (Być może wyczuł drwinę) Bo kiedy zacząłem – staliśmy na prawym brzegu u ujścia Orne – wychwalać bryłę wielkiego bunkra jako jedyną artystyczną formę architektoniczną dwudziestego wieku, kiedy zaintonowałem hymn na cześć rzetelności betonu elewacyjnego i prawdy bezornamentowych form obronnych, przywołał mnie do porządku słowami „Niechże pan mówi do rzeczy!”.

Później mój dentysta powiedział – Opowiada pan o swoim Kringsie z zachwytem podszytym na siłę ironią.

Podczas gdy my przeprowadzaliśmy inspekcję klifowego wybrzeża pod Arromanche, on rozmawiał przez telefon z kolegą o cyklu wykładów na temat próchnicy, które zaczął wygłaszać na uniwersytecie ludowym w Tempelhofie – Przy bardzo skromnej frekwencji, niestety bardzo skromnej.

Opuściłem bunkrowy krajobraz Normandii i pod bukiem dźwigającym brzemie cementowego pyłu spotkałem się z Hildą i Ingą. Dziewczyny paplały o włoskich wakacjach.

–A nasz Harduś?

–Jak to było na surowej północy?

Opisałem pobyt w Cabourgu i wypadki do betonowych świadków dawnych działań wojennych.

–I stoją tam jeszcze prawdziwe bunkry, do których można wejść, jak się chce?

Powiedziałem, że można nie tylko oglądać zabrudzone przez miłosne pary wnętrza, ale i wspinać się na bunkry, choćby po to, żeby wygłosić mowę

–Pokaz, jak tata Krings ze szczytu bunkra.

Uznałem krzesło ogrodowe za bunkier, wspiąłem się na rozchwiany mebel i całkiem dobrze odstawiłem Kringsa – Do morza bym ich wpędził. Co tu znaczy panowanie w powietrzu. Czy w Kurlandii panowaliśmy w powietrzu? Poderwałbym sztaby i płatników, całe tyły. Ten Speidel ze swoim pięknoduchowskim sztabem generalnym. Zawsze z dala od niebezpieczeństwa. Degradacja i na pierwszą linię. Jak na północ od koła podbiegunowego, jak w dolnym biegu Dniestru, jak w trakcie trzeciej bitwy kurlandzkiej, jak nad Odrą nie zdobyliby ani metra ziemi.

Teraz dopiero pojawia się Linda. Jeśli podczas urlopowej podróży moja narzeczona zachowywała milczenie (Krings – Co tam, Sieglindo? Inaczej widzisz sytuację?), to teraz odzywa się, nie, włącza się do gry – Jeśli dobrze pamiętam, to opuściłeś przyczółek mostowy Nikopol. Twoje działania w kotle kurlandzkim zaczęły się od wycofania grupy armii Narwa. Nie ma żadnego dowodu na to, że zdołałbyś zapobiec inwazji, bo środkowego odcinka frontu wschodniego też nie utrzymałeś. Przypominam przebieg Koniewa między Muskau a Cuben Dopiero wtedy możliwe stało się natarcie przez Spremberg i Cottbus na Berlin. Same przegrane bitwy Powinieneś dać sobie spokój, ojciec.

Ani ja, ani dziewczyny w Szarym Parku nie znamy tej Lindy (Sieglindy). Ja schodzę z krzesła i przerywam parodiowanie Kringsa. Hilda i Inga gapią się, chichoczą i dostają dreszczy. Zbierają swoje żurnale. Ale Linda nie pozwala nam na zakłopotane odejście – Czemu tu się dziwić? Mój ojciec chce wygrywać bitwy, które inni przegrali. Ponieważ nasz znający się na sztuce przyjaciel Eberhard postanowił podziwiać go jak skamielinę historii, mnie przypada zadanie pokonania mojego ojca, i to na wszystkich frontach, jakie mu przyjdą do głowy.

Zatrzymałem ten obraz (Linda, lekko spięta, milczy rozpamiętując podjętą decyzję Mrugające oczami przyjaciółki. Mżenie cementowego pyłu pozostawiam w domyśle). – Pan zrozumie, doktorciu, że decyzja Lindy ułatwiła mi bolesne poznanie.

–Nie powinien pan tak lekkomyślnie obchodzić się ze słowem „ból”.

–Ale przemiana mojej narzeczonej, to nagle, zamierzone przez nią oddalenie się –

bo ja jej od tej pory zawadzałem – stały się dla mnie źródłem nieustającego bólu.

–Trzymajmy się przykładu nerwów zębowych.

–Kto tutaj opowiada, doktorciu

–Na ogół pacjent, ale kiedy wskazane jest sprostowanie.

–Jak z kryzysem pańskiego narzeczeństwa, tak i z zagrożonymi nerwami zębowymi kiedy miazga jest zakażona, za sprawą bakterii tworzą się gazy, które znajdują ujście tylko dzięki borowaniu. Jeśli jednak wizytę u dentysty odkłada się raz za razem, to gazy szukają dla siebie drogi ujścia w kierunku szczytu korzenia. Wywierają ucisk, wspomagane przez płyn ropny, rozkładają kość szczękową. Efektem tego jest tak zwany nabrzmiały policzek, z którego wywiązuje się ropień albo – żeby powrócić do pańskiego narzeczeństwa – uwarunkowany kompleksem przerosła nienawiści. Często uaktywnia się ona po latach (działanie zastępcze), to znaczy rozrasta się dalej, bo panu przecież sprawia przyjemność, prawda? to samowładne manipulowanie łańcuchami od roweru i lampami błyskowymi. Przyczyna zawód sprawiony dawno temu. Zwyczajne kuku. Dlatego proszę o powściągliwość w posługiwaniu się słowem „ból” Prawdziwie bolesnych zabiegów pan by nie wytrzymał. Niech pan tylko pomyśli o rodzajowych scenach holenderskich małych mistrzów. Na przykład Adnaena Brouwera. Obcęgami, których my dzisiaj nie chcielibyśmy nawet trzymać w skrzynce z narzędziami, cyrulik – tak w średniowieczu nazywali się dentyści – sięga na jego obrazach do jamy ustnej chłopca, aby wyłamać ząb trzonowy. Wówczas nie wrywało się zębów, tylko się je wyłamywało. Korzeń gnił długo, o ile nie powodował wcześniej groźnej dla życia infekcji. Mamy podstawy przypuszczać, że śmierć wywołana przez gnijące korzenie zębów była przed trzystu laty częsta. Ba, jeszcze sto lat temu ekstrakcja zęba trzonowego stanowiła nie lada przedsięwzięcie. Tutaj, w berlińskiej Chante, trzeba było czterech mężczyzn, żeby piątemu bez miejscowego znieczulenia – w najlepszym razie pędzlowało się kokainą – wyrwać ząb trzonowy. Pamiętam opowieści mojego promotora- jeden trzymał lewą rękę, drugi przyciskał kolanem dołek pacjenta, trzeci dociągał prawą dłoń nieszczęśnika nad odsłonięty płomień świecy, żeby podzielić ból, a czwarty operował instrumentami, których ryciny przy okazji chętnie panu pokażę. W naszym oświeconym stuleciu, dzięki wysoko rozwiniętej technice anestezji, nie jesteśmy już zdani na takie akty przemocy. Nasz pierwszy zastrzyk już czeka. Podstawą każdego miejscowego znieczulenia jest płynna nowokaina, pochodna alkoholu. Ale żeby pan za bardzo nie poczuł nieprzyjemnego ukłucia, mogę poprosić o pomoc nasz telewizor.

(W pierwszym programie szedł film, w którym sławny pies obwąchiwał przemierzane baraki) – To przecież obojętne, kogo szuka Obojętnie, co w barakach się znajduje. Bo następny jest, jak na życzenie, pusty I w takim to opróżnionym baraku Krings kazał

ustawić stół plastyczny, wystarczająco długi na front polarny, wystarczająco szeroki na odcinek środkowy, i z pomocą elektryka wyposażyć dość skomplikowanie – jak jedną z tych labiryntowych kolejek elektrycznych, które obłąkańczo kosztują i wymagają szalonej cierpliwości, a więc w elektromechaniczne nastawnie, czwórnikowe przełączniki główne, przełączniki grupowe i urządzenia kontrolne lamp głównych, bo cały przebieg frontu, wszystkie ataki i kontrataki, cofnięcia i wyrównania, przełamania, pozycje odwodowe i zabezpieczające zostały zaznaczone różnokolorowymi sygnałami świetlnymi, obie strony dysponowały możliwościami kierowania systemem światełek. Imponujący wysiłek. I niech pan zgadnie, doktorem, jak się nazywa elektryk, który dopiero co przepędził z baraku telewizyjnego psa i montuje Kringsową zabawkę? Ni mniej, ni więcej tylko Schlottau Krings wezwał zakładowego elektryka i zapytał „Potrafi pan to zrobić?” A Schlottau, człowiek z niewyrwanym rachunkiem, poderwał się na baczność „Tak jest, panie feldmarszałku!”

Mój dentysta powiedział – Zrobimy teraz znieczulenie przewodowe w pańskiej żuchwie, to znaczy, że nerw u wejścia zostanie przejściowo zablokowany.

(Jeszcze dziś jestem dumny, że nie dopuściłem, by nieprzyjemne ukłucie zakłóciło obraz u boku Kringsa stała Linda, jak ja u boku Lindy, która ustawiła się naprzeciwko Schlottaua. To ona poleciła go ojcu – Wziąłbyś sobie zakładowego elektryka Facet zna się na rzeczy).

–Dodatkowo, żeby znieczulić dziąsło, trzeba jeszcze zastosować znieczulenie miejscowe.

(Dla wprawy zajęli się linią Metaxasa, którą Krings ze swoją szóstą dywizją górską przełamał szóstego kwietnia czterdziestego pierwszego atakując dwoma klinami, na sposób oddziałów szturmowych)

–A teraz ta sama procedura na lewym dole.

(Schlottau zamontował staremu pierwszą i drugą linię, ażeby Krings mógł je przełamać. To po prostu nadzwyczajne, jak on używając bombowców nurkujących korpusu lotniczego von Richthofena pokrył pozycje wyjściowe greckich lekkich brygad, a potem, przy zielonym świetle, rzucił do natarcia sto czterdziesty pierwszy pułk strzelców górskich).

–Dobra robota, Schlottau. A teraz bierzemy się do Demiańska. Schlottau odparł. – Ale do tego potrzeba nam instalacji rozdzielczej dla – A mój dentysta poprosił mnie, żebym posiedział w poczekalni, póki nie zacznie działać znieczulenie.

–Zaraz, doktorciu, zaraz! Położenie bazy wypadowej Demiańsk jest wiadome i po

zwycięskich operacjach „Pomost” i „Trap”.

–Ale teraz proszę przejść do poczekalni

–Linda pierwszy raz obsługiwała drugą rozdzielnię Schlottaua. Odcięła szpice ojca i przerwała front na szerokość sześciu kilometrów.

–Ale ja poważnie muszę prosić pana, drogi przyjacielu.

–Już przecież idę, już idę.

–Znajdzie pan tam coś do czytania.

(A ja chciałem już tylko powiedzieć, że Krings wyczuł wolę córki. Z trudem – po przeczesaniu tyłów i rzuceniu do walki nawet kuchen polowych – zdołał odtworzyć przerwana linię frontu. Mimo to nie chciał opuścić Demiańska. Ale kogo jeszcze dzisiaj interesuje Demiańsk? Może moją 12a?). Kiedy opuszczałem gabinet, telewizyjny pies Lassie znów obwąchiwał przemierzany barak i szukał – no, kogóż to?

„Quick”, „Stern”, „Bunte”, „Neue”. (Naprędce, wyprzedzając samego siebie, bo na coś czekając, przeglądałem pisma z klubu czytelniczego „W swoim domu”. Lekki bądź suchy szelest papieru i lakoniczne pluskanie, jakby on chciał wywołać parcie na pęcherz. Jego pośrednio oświetlona fontanna, która ma uspokajać pacjentów. Nie chcę teraz zawęzić tego do klaustrofobii, nawet jeśli papier coraz głośniej walczył z fontanną. Słuch mi jeszcze dopisywał. Tylko podniebienie, język aż po gardło, cała gęba powleczone baranym łojem). Czytanie tłustego druku. Za czy przeciw pigułce. Rak jest uleczalny jeszcze jedna wersja zabójstwa Kennedy'ego. Siedzieć w poczekalni i z całym światem drzeć z niepokoju, czy ona, Loren, znów poroni To nas obchodzi, jak nawet najbardziej zawiła pomyłka sprawiedliwości – to był, no, któż to? – zostaje po dwunastu latach wyjaśniona. Krzywda sfotografowana woła o pomstę do nieba i zostaje pośpiesznie przekartkowana. Katastrofalny wyciek ropy przekartkowany. Południowy Sudan przekartkowany. Ale ten nie przestaje istnieć i wywołuje pomruk pamięci. Schirach mówi, że był otumaniony, żałuje i ostrzega, kłamie jak najęty, prostuje. Kiedy to on pierwszy raz w Weimarze. Pięciodaniowe menu w Kaiserhofie Frakowe gorsy i jarzące się światła Bayreuth. Tkliwa rodzinność Krótkie spodenki – Tak, Scherbaum, wyglądał mój reichsjugendführer – Krągłe łydki w białych podkolanówkach. I dopiero w Spandau stał się stoikiem. (Bo czy już Seneka nie radzi swemu uczniowi Lucyluszowi, by porzucił służbę państwową „Z ciężarem na plecach nikt nie zdoła popłynąć ku wolności”). Zatem pisząc nieprzerwanie pozbywa się balastu, Krings też by to potrafił zawsze na pierwszej linii, zaczynając od trudnych młodzieńczych czasów. Znany feldmarszałek już jako gimnazjalista. – „W pańskim wieku, Scherbaum!” – musiał bronić kamieniarskiej firmy, doprowadzonej przez ojca do ruiny, przed naporem wierzycieli. Pozostało mu defensywne nastawienie. Dzięki temu zyskał sobie miano generała-nie-do-przejścia. Od kamieniołomów bazaltu na Mayener Feld przez front polarny po barierę na Odrze defensywa. Nigdy, oprócz przełamania linii Metaxasa, nie udawały mu się ofensywy Biedny Krings! Tak mniej więcej, gdybym chciał pisać dla „Quicka” czy „Sterna”, dałoby się przedstawić w odcinkach kompleks Kringsa Powinno się też porównać inne przypadki (Napoleoński kompleks Józefa) i zadać sobie pytanie. Co by zostało oszczędzone światu, gdyby c k komisja egzaminacyjna wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych nie oblała kandydata Hitlera, który właściwie chciał zostać artystą malarzem, lecz. Bo nasz lud tego nie znosi odrzuconych przegranych niewydarzonych. Siedzą oni wszędzie i czyhają na zemstę. Wymyślają sobie wrogów i historyjki, w których ci wymyśleni wrogowie rzeczywiście występują i zostają zlikwidowani Myślą bardzo prosto, posiłkując się karabinem maszynowym Obmyślają coraz to nowe sposoby uśmiercania wciąż tego samego przeciwnika. Zamalowują lusterko do golenia słowem „rewolucja” W książkach zawsze wyczytują tylko siebie. I na okrągło zajadają zupy I nie zapominają małego, zamierzchniego „nie”. I pielęgnują swoje mroczne chęci. I chcą pozbywać się usuwać

wykańczać. I nie czując przytłumionego bólu zęba pospiesznie i łapczywie kartkują
ilustrowane magazyny

To on! To jest on i chce kończyć sprawę wojskowym rewolwerem, jakiego w ostatniej wojnie używał Wehrmacht do walki z bliska i wymachiwania. Z nią, sławną ósemką, która jeszcze dzisiaj znajduje zastosowanie w państwach Bliskiego Wschodu i Ameryce Łacińskiej, z poczciwą starą sześciostrzałówką, którą kupiłem sobie za drogie pieniądze, kiedy to w Hamburgu doszło do trzeciego w ciągu miesiąca zabójstwa taksówkarza, z tym nielegalnym narzędziem samoobrony – bo na pistoletach gazowych nie było i nie ma co polegać, a o szybach oddzielających nigdy nie miałem wysokiego mniemania – z normalną spluwą krótko po siedemnastej wyszedłem w piżamie z naszej sypialni (przedtem sięgnąłem pod poduszkę i ona zaraz wskoczyła mi w rękę) i na bosaka, w piżamie, zastrzeliłem najpierw mojego trzyletniego syna Klause, którego umyślne narzekania i krzyki o szesnastej kilkakrotnie przerywały, a potem uniemożliwiały mi sen, rozpoczęty dopiero co po dwudziestogodzinnej zmianie. Trafiłem dziecko koło prawego ucha, po czym ono przekręciło się padając i ukazało mi miejsce wylotu kuli za lewym uchem wielkości pingpongowej piłeczki, natychmiast zalane krwią. Dopiero teraz trzema strzałami oddanymi szybko jeden po drugim zabiłem moją dwudziestotrzyletnią narzeczoną Sieglindę, na którą jednak i ja, i wszyscy nasi przyjaciele mówili Linda. Po strzale do dziecka zerwała się i została trafiona w brzuch, w brzuch, w pierś, po czym osunęła się na owo krzesło, na którym siedziała przed zerwaniem się i czytała magazyny ilustrowane „Quick”, „Stern”, „Bunte” i „Neue” z klubu czytelniczego „W swoim domku”, nie próbując półgłosem uspokoić małego Klause, aż ja musiałem sięgnąć pod poduszkę, wyjść na bosaka z naszej sypialni i zastrzelić dziecko, a potem ją, narzeczoną, która zerwała się z krzesła. Teraz krzyczała nie tylko moja niedoszła teściowa, ja też krzyczałem – Dajcie spać! Zrozumiano!? Dajcie spać!

–Po czym dwoma ostatnimi strzałami (dla mnie nic już nie zostało) bardzo niebezpiecznie zraniłem mamusię, postrzeliłem ją w lewe ramię, a potem w szyję, nie naruszając tętnicy szyjnej pięćdziesięciosiedmioletniej wdowy, która siedziała przy stoliku do szycia obok maszyny, bo po strzałach głowa mamusi w papilotach uderzyła najpierw w pokrywę maszyny do szycia i potem dopiero o dywanik. Spadła bokiem z krzesła, pociągnęła za sobą przybory do szycia i wydawała (przedtem, po strzale do Klause i przed strzałami do Lindy, zawołała kilkakrotnie „Hardy!”) bulgoczące i świszczące dźwięki, które ja usiłowałem zagłuszyć powtarzając – Dajcie spać! Zrozumiano! Dajcie spać! – Zdarzyło się to w nowym bloku, w Berlinie Spandau, na drugim piętrze. Czynnosc za dwupokojowe mieszkanie wynosi 163,50 marki bez ogrzewania. Od trzech i pół lat jestem zaręczony z Lindą Mieszkanie należy właściwie do mamusi i Lindy z dzieckiem (Mnie traktowały i wyłączały jak sublokatora). Z początku pracowałem u Siemensa, aby potem się przenieść, ponieważ miałem nadzieję, że jako taksówkarz więcej zarobię i będę mógł się ożenić, bo jestem przywiązany do dziecka. Pokoje są dość jasne. I nieraz w lecie siedzieliśmy na balkonie i ponad dachami nowego osiedla widzieliśmy race wystrzeliwane we wschodnim sektorze, tak to jest blisko. Mam zupełnie czyste konto. Linde poznałem u Siemensa. Przez krótki czas nawijała tam uzwojenia, musiała jednak rzucić robotę, ponieważ wyuczyła się na

fryzjerkę i od trwałej ondulacji zawsze trochę jej wilgotnieją ręce. Do awantur, prawdziwych awantur, rzadko między nami dochodziło. A jeśli już, to tylko z powodu mieszkania, ponieważ takie jest akustyczne (Ale ja zawsze brałem się w garść. Tylko jako siedemnastolatek byłem agresywny. Ale wtedy była wojna i młodzież wszędzie zdeprawowana). Kiedy jeszcze byłem u Siemens, Linda powiedziała – Ty im tylko na wszystko nie pozwalaj – Miała rację. Ja jestem w gruncie rzeczy powściągliwy i oszczędny. Na przykład czytam tylko gazety, które klienci zostawiają w wozie (I nie ma dwóch, trzech piw po fajerancie jak u moich kolegów). Najchętniej jeżdżę po Spandau i okolicy, ale też, odkąd gotowa jest miejska autostrada, do centrum. I to bez wypadku. Właściwie chciałem się dokszałcać, nic jednak z tego nie wyszło. Warunki mieszkaniowe i wiecznie mazgający się chłopak. Od dwóch lat nie miałem też porządnego urlopu. Tylko raz, wkrótce po naszych zaręczynach, pojechaliśmy do Andernach w zachodnich Niemczech, ponieważ mamusia знаła to miejsce i uważała, że jest piękne. Staliśmy tam na Reńskiej Promenadzie i obserwowaliśmy statki. Było to niedługo przed narodzinami chłopaka. Zaczęły mnie boleć zęby, bo na promenadzie wiało. Ale Linda koniecznie chciała mieć dziecko. Po wojnie chciałem właściwie pójść do cła. Ale mnie odrzucili. Potem wszystko potoczyło się całkiem prosto. Z kluczykiem od wozu, ale wciąż jeszcze w piżamie (w korytarzu znalazłem tylko ranne pantofle), z ósemką opróżnioną do ostatniego naboju wyszedłem z mieszkania i z bloku, nie natykając się na sąsiadów. Wóz miałem na dole, co jednak nie było zamierzone, bo właściwie powinienem był jechać na przegląd. Jeździłem do północy i jeszcze trochę dłużej najpierw do Neu-Staaken, potem przez Pichelsdorf i Heerstrasse na Westend, a z Charlottenburga górą przez Jungfernheide, Reinickendorf, Wittenau aż po Hermsdorf i z powrotem. W każdym razie z miejsca nastawiłem na odbiór, bo już od dwudziestej pierwszej wzywała mnie centrala. A i koledzy próbowali perswazji. Radiowozy zatrzymały mnie, gdy chciałem z Theodor-Heuss-Platz dostać się do domu znów przez Heerstrasse i później przez Havel-Chaussee. Podobno powiedziałem – To nie byłem ja. Oni mi nie dawali. Moja narzeczona naumyślnie pozwoliła chłopakowi się mazgać. Chcieli mnie po prostu wykończyć, od samego początku.

Dlaczego nie wzięli mnie do cła? No i wysiadły mi nerwy. Poza tym bolą mnie zęby. Już od kilku dni. Z ósemki, tak jest. Musi być w Stossensee. Rzuciłem z mostu. Poszukajcie – Właściwie chciałem tego lata znów wybrać się do Andernach. Podobało się nam wtedy. Jestem jeszcze winien firmie za jazdę na pusto. Niech sobie potracą i zostawią mnie w spokoju. Przy tym za te pieniądze (i proszę mnie nie pytać, ile kosztowała ósemka) poszedłbym też do dentysty. Mój ma telewizję dla odwracania uwagi. Powinni to kiedyś spokojnie pokazać, w „Panoramie” na przykład, budownictwo komunalne i skutki. Ja im zademonstruję, jakżem sięgnął pod poduszkę. Albo dla „Quicka” czy „Sterna”. Oni zamieszczają takie kawałki. Można wtedy wszędzie zobaczyć, nawet w poczekalni u dentysty, kiedy człowiek koło fontanny, która pluskaniem ma uspokajać, musi ciągle kartkować i kartkować, aż zadziałają zastrzyki, język opuchnie i w poczekalni stanie asystentka – No, to jedziemy dalej.

Mój dentysta pochwalił mnie – Trafnie pan zauważył. Przy znieczuleniu przewodowym znieczuliła się i język, skoro tylko przy nakłuciu trafi się w okolice nervus lingualis.

(Wszystko słabło, malało, zacierało się w pamięci. Raz jeszcze zaćmiło – ale może to był refleks – umilkło). Za oknami z lewej do prawej padał śnieg na Hohenzollerndamm. (To nie była telewizja, tylko gabinet od ulicy) Bezludnie połyskiwał ekran. Jak i u mnie wszystko zdrętwiało i, powiedzmy, ogłuchło. (- Podobno zdarzało się, że niedowierzający pacjenci nagryzając na próbę okaleczali sobie znieczulone języki). Jego głos pozostawał spowity folią. (- A teraz zdejmujemy cynowe kapturki). Również moje dodatkowe pytanie. – Co to znaczy zdejmujemy? – dobyło się z głębi podniebienia i wypełniło bulgoczące pęcherzyki. Dopiero gdy on tchnął na mnie z bliska, ze zbyt bliska – Wyciągnie się je pincetą. Proszę otworzyć szeroko – skapitulowałem i zdobyłem się na swoje wielkie „tak”

Oto znów się pojawiły marchewkowe palce. Zawiesiły ślinociąg, popchnęły język do tyłu. (Chcieć ugryźć. Przejść do czynu. Albo szukać wytchnienia u Seneki – Jak pan uważa, doktorem, czy pewne historyczne rozstrzygnięcia nie mogły zapadać pod wpływem bólu zębów; bo jeśli jest dowiedzione, że bitwę pod Koniggrätz wygrał mocno przeziębiony Moltke, to należałoby zbadać, w jakiej mierze gościec hamował lub uskrzydlał Fryderyka II pod koniec wojny siedmioletniej, zwłaszcza iż wiemy, że dla Wallensteina gościec był stymulatorem. A o Kringsie wiadomo, że tego na oko postawnego mężczyznę do nieustępliwości pobudzały wrzody żołądka. Co prawda wiem, że ta interpretacja kłóci się z powszechnie przyjętym pojmowaniem historii, bo nawet moi uczniowie, zwłaszcza mała Lewand, wszelkie penetrowanie prywatnego tła nazywają nienaukową personalizacją dziejów – „Znowu uprawia pan kult jednostki!! – mimo to jednak zadaję sobie pytanie, czy bólu zębów w szczególności i bólu w ogólności nie można uznać za motor.

–Może powinniśmy włączyć telewizję?

Nie tylko za oknami, również na ekranie śnieg padał łagodnie z lewej do prawej. (Ach, dzieci nie chcą iść spać. Stale przychodzi im do głowy coś nowego. Popatrzeć na Piaskowego Dziadka! Popatrzeć na Piaskowego Dziadka! W pociesznym krajobrazie z waty pasły się nie znające bólu zwierzęta. Śnieżyło watą. Nie trzeba było słyszeć dzwoneczków. Bez dźwięku obraz wciąż przeskakiwał (Piaskowy Dziadek z Zachodu i Piaskowy Dziadek ze Wschodu przebywają w sekundę dwadzieścia pięć faz ruchu i nie chcą nawzajem się uznać). Piaskowy Dziadek jest małą skromną pomocą życiową. Piaskowy Dziadek chce tylko uszczęśliwić. Ocierał watą opuszczone przez boi oblicze mojej biednej narzeczonej która po trzykroć śmiertelnie trafiona leżała na katafalku. (Żeby ją zbudzić pocałunkiem! Żeby ją zbudzić). I gdy mój dentysta powiedział – Proszę teraz popłukać, porządnie popłukać – ja nie chciałem płukać, chciałem tylko patrzeć na Piaskowego Dziadka, patrzeć na Piaskowego Dziadka.

Tak to widziadło zostało strącone do spluwaczki – Nie, Linda. Nie miałaś prawa tego zrobić.

–Czego nie miałam prawa?

–Zadawać się z tym elektrykiem, żeby ci zdradzał, jakie ofensywne ruchy szykuje tata na stole plastycznym.

–Chodzi o informacje.

–I po to kładziesz się na workach cementu.

–Jak mu nie dam, to nie powie ani słówka.

–Ja to nazywam sprzedajnością.

–Ach, co tam. Myślę wtedy o czymkolwiek o Petsamo albo o przełamaniu frontu pod Tuła przez Okę po Onechowo.

–Obrzydliwe!

–Wszystko to jest czysto zewnętrzne.

(W tym momencie mój dentysta obwieścił koniec płukania – Tu jeszcze okruszyna. I tam. A teraz wypróbujemy surowe platynowo-złote korony Niech pan weźmie w rękę).

Miało to swoją wagę i dobrze przeszło próbę. Linda (na workach cementu) nie pokazywała się dopóki podrzucałem platynowe korony na prawej (nie znieczulonej) dłoni. (- Widzi pan, Scherbaum, w pańskim wieku nie ma się jeszcze pojęcia, ile mogą ważyć sztuczne zęby na dłoni czterdziestoletniego profesora) – Niezły ciężar, doktorciu.

Kiedy mój dentysta zapowiedział, że chce zaraz sporządzić wycisk zębów (i pieńków) zuchwy specjalnym różowym gipsem. – Po stwardnieniu w ustach gips się połamie i poza jamą ustną na powrót złoży – uczepliłem się jednego jedynego słowa – Powiedział pan połamie?

–Niestety nie możemy sobie oszczędzić tej procedury.

–Co to znaczy połamie? Tak po prostu?

–Nie da się tego nazwać inaczej -A ja?

–My przecież nic nie pocujemy Tylko pewien ucisk i nieprzyjemne, ale mylące wrażenie, że wraz z gipsem wyłamuje się uzębienie.

–Nie Ja już me chcę –

(- Ma pan rację, Scherbaum. To nie dla mnie. Niech klasa zagłosuje, czy mogę się wycofać).

–Moja asystentka już rozrabia gips.

–Dość się wycierpiałem – (Ale moja 12a załatwiła mnie odmownie. A Wero Lewand liczyła głosy) – Gdyby pan znał moją narzeczoną – (Tylko Scherbaum głosował za mną) – Niech

pan spokojnie się wypowie.

–Zadała się z zakładowym elektrykiem

–Czy nie nazywał się Schlottau?

–Jak w prawdziwym filmie szpiegowskim zaspokojenie cielesnej żądzy w zamian za tajemnice wojskowe. O, doktorciu! Niech pan przestanie mieszać ten gips. Ona go zaciąga do składowiska trasy. Między stopy. On spuszcza spodnie, ona majtki. Tylko na stojaka wolno mu ją rypać. Ona spogląda ponad jego ramieniem i widzi oba kominy zakładów Kringsa i wydobywające się z nich tumany cementowego pyłu. On kończy. Skończył! – (Mój dentysta robił rzeczowe wtręty. Prosił, żebym otworzył usta jak najszerzej i oddychał przez nos, podczas gdy on kształtną łopatką układał specjalny różowy gips wokół zębów i pieńków w mojej żuchwie. – I proszę nie łykać. Gips szybko tężeje)

Biedny Schlottau Ledwie skończy, musi gadać – Gdzie pod Tuła? Którymi dywizjami? Kto ubezpiecza skrzydła? – Linda notuje (A również mój dentysta wycofał się do swojej kartoteki – Dwie, trzy minuty musimy poczekać. Chyba nie czuje pan ciepła tężejącego gipsu. Odprężyć się i nadal oddychać przez nos).

Tymczasem leciała reklama, i Linda mówi między stosami trasy.

–Żarówka Osrama – jasne jak biały dzień! – Wyciska z niego, ile się da.

–Skąd on ma zimowy ekwipunek dla czwartej armii? Gdzie stoi dwieście trzydziesta dziewięć syberyjska dywizja strzelców?

–I Schlottau przy akompaniamencie słów Lindy – Dippily-Du, Dippily-Du, nowy lakier do włosów – rozpościera Kringsowy szkic oskrzydlającego natarcia z rejonu Tuły. Palcami elektryka wśród reklamy kas mieszkaniowych objaśnia drogę Kringsowych szpic szurmowych przez Kaszire w kierunku Moskwy. Linda śmieje się, ssie słomkę i woła radośnie i ofensywnie dźwięcznie – Spróbuj Fantę, spróbuj Fantę, spróbuj Fantę chociaż raz. – Teraz nie reklamuje żadnego z tradycyjnych proszków do prania – Przyjacielu, pierz w Arielu! – Teraz oznajmia – Nie dam przejść linii Tuła – Moskwa!

–Teraz pokazuje odcinek linii kolejowej na szkicu i radzi – Przymierzcie państwo buty Medica i sami powiecie Tylko Medica! – Teraz fotografuje swoją Leicą (Jak gdyby chciał reklamować także Leicę) tajny dokument Kringsa – A ja myślałam, że pan chce porachować się z moim ojcem – Schlottau szczyrzy zęby i robi propozycję – Myślę, że mogę znowu – Ale Linda zdobyła już konieczne informacje Ściera Schlottaui z ekranu – Margaryna, cenna jak powszedni chleb! – przed kamerę wsuwa zamrażarkę i układa się pomiędzy szpinakiem, kurczakami i mlekiem w foliowych torbach.

Jak ona się zakonserwowała. Jaka pozostała wierna sobie i świeża. I jak reklamowała to, co zamrożone, a więc samą siebie – co prawda wciąż jeszcze drogie, na przykład świeże

jarzyny, ale jeśli się zważy, że w sfiletowanym mięsie nie ma ani okrawków, ani kości i że w dużej mierze odpada uciążliwe czyszczenie – wystarczy tylko pomyśleć o przyrządzeniu czerwonej kapusty – to nawet nasze gotowe potrawy, które nasza zamrażarka w szronie i dymie trzyma w pogotowiu dla pani domu, są stosunkowo tanie, powinniście też państwo skorzystać z okazji i osobiście odwiedzić – choćby tylko na parę godzin – nasz zachowujący świeżość aparat i wykorzystać jako źródło młodości

Z gracją sportsmenki wydostała się z zamrażarki i zaczęła wypakowywać zamrożone produkty – Oto na przykład pokazuję państwu mojego dawnego narzeczonego. Położyłam go na samym dole, przykrywszy mięsem siekanym, fasolką w strączkach i filetem z karmazyna. Jeszcze wydaje się trochę oblodzony i leciwy, ale jak pozwolimy mu odtajać, to szybko państwo zauważycie, jak dobrze się czterdziestolatek zachował. Wkrótce będzie paplać o datach i traktach znamionach stylu i sprawach zasadniczych. Bo nie zatracił bożego daru wygłaszania improwizowanych wykładów na temat historycznych punktów zwrotnych i sztuki samej w sobie, pedagogiki i absolutu, Archimboldiego i Marksengelsa, także na temat cementu trasowego i odpylacza cyklonowego, jak nie zatracił parszywego wdzięku i z lekka załganego umiłowania prawdy. Tylko stan uzębienia powinien dać mu do myślenia. Jego tak zwane przodożuchwie zakonserwowało się przez te wszystkie lata. Musi chodzić do dentysty i poddawać się zabiegowi. Również jego uczniowie – bo jest profesorem gimnazjalnym, typowym profesorem gimnazjalnym – są mojego zdania i głosowali przeciw niemu. Teraz musi siedzieć nieruchomo i oddychać przez nos. Gdyby tylko nie był taki tchórzliwy i mazgajowaty.

Mój dentysta swoją oddychającą spokojnie klatką piersiową zasłonił ekran, powiedział – No to jazda – i wpakował mi obie dłonie w rozdziawioną gębę. (Dlaczego mnie nie przywiązał?) Teraz jego pomoc musiała wciskać mnie w fotel Rittera Dawaj, chłopie, dawaj (Nic już nie zostało z automatyki i ciepłej wody w sprayu, oczywiście średniowiecze uczyniło z lekarza i pacjenta zmagającą się parę). Ponieważ przebiegało to bez bólu, zacząłem sobie wymyślać bóle poród miednicowy przez gębę, oni chcą wyciągnąć gipsowego embriona. Moja siedmiomiesięczna tajemnica ma zostać połamana i wyjawiona. (Dobra jest, doktorciu!). Przyznaję się i mówię wszystko podczas gdy Linda kombinowała z tym Schlottauem, ja bez zapału kładłem się na zmieniających się posłaniach z jej przyjaciółkami, najpierw z Ingą, nie, z Hildą i dopiero potem z Ingą, ale to nie pomogło, bo gdy powiedziałem Lindzie – Jak ty mnie, tak ja tobie – ona w pełni mnie rozumiała – Cieszę się, że nareszcie znalazłeś rozrywkę i nie będziesz się wtrącał między ojca a mnie. To ciebie nic nie obchodzi. To sprawa rodzinna. Ty i tak nie masz pojęcia, kiedy on mówi o Tereku, gdzie płynie ten Terek, który on, ruszając z przyczółka mostowego w Mozdoku, chce zostawić za sobą, aby podążyć starymi gruzińskimi drogami wojskowymi i zająć Tyflis i Baku. Chce ropy Kaukaskiej ropy. Ty się wyłącz. Albo lepiej sphywaj. Ja dobrze ci życzę Potrzebujesz pieniędzy?

Oto dłoń jego pomocy przylgnęła mi do czoła to nie diabelski płód, tylko dający się zrekonstruować wycisk moich dolnych, oszlifowanych i nie oszlifowanych zębów leżał na szklanej płycie stolika na instrumenty i prezentował duchowe bogactwo, gdyż pełen był

sprzeczności.

–Niech pan powie, doktorciu, co pan właściwie sądzi o systemie rad?

–Czego nam brakuje, to obejmującej cały świat i społecznie integrującej opieki nad chorymi... Proszę nie zapominać o płukaniu.

–Ale w którym systemie pańska międzynarodowa opieka nad chorymi powinna...

–Ma ona zastąpić wszystkie dotychczasowe systemy...

–Ale czy pańska opieka nad chorymi, którą przymierzam do mojego projektu obejmującej cały świat prowincji pedagogicznej, nie jest też systemem?

–Globalna opieka nad chorymi, niezależna od wszelkich ideologii, to baza i nadbudowa naszej ludzkiej społeczności.

–Ale moja prowincja pedagogiczna, w której są tylko uczący się i nie ma uczących...

–Bez problemu włączy się w nową terapię...

–Ale opieka nad chorymi obejmuje ludzi chorych...

–Proszę co jakiś czas płukać... Wszyscy są chorzy, byli chorzy, będą chorzy, umrą.

–Ale po co to wszystko, skoro żaden system nie wychowuje człowieka do tego, by wyrastał ponad siebie?

–Po co systemy, które utrudniają człowiekowi odnalezienie swojej choroby, ponieważ każdy system stawia na zdrowie jako miarę i cel.

–Ale jeśli chcemy likwidować ludzkie błędy...

–To likwidujemy ludzi... Ale na nas znowu czas...

–Ja już nie chcę płukać.

–Niech pan pomyśli o cynowych kapturkach.

–Ale jakże bez systemu zmienimy świat?

–Znieśmy systemy, to on się zmieni.

–Kto ma je znieść?

–Chorzy. Żeby zrobiło się wreszcie miejsce dla wielkiej, obejmującej wszystko światowej

opieki nad chorymi, która nie rządzi nami, tylko nas dogląda, która nie chce nas zmieniać, tylko będzie pomagać, która daje nam, jak mówi Seneka, spokój i czas na nasze słabości...

–A więc świat jako szpital...

–... w którym nie ma już zdrowych i nie ma przymusu zdrowia.

–A co z moją zasadą pedagogiczną?

–Jak pan chce usunąć różnicę między uczącymi się a uczącymi, tak my będziemy do końca usuwać różnicę między lekarzem a pacjentem – i to systematycznie.

–I to systematycznie.

–Ale teraz założymy z powrotem cynowe kapturki.

–Założymy kapturki.

–Pański język przyzwyczai się do obcych ciał.

–Przyzwyczai.

(Zdrętwiały kluch. Jego opieka nad chorymi powinna mi podać jabłko). Ale nawet delikatne, karmione szalwią jagnię byłoby dla mojego na poły martwego podniebienia jak guma. Ja, który czuję smak, przedsmak i posmak wszystkiego, nie czułem, jak smakuje gips. (- Ach, doktorciu! Pożerać, gryźć trzeszczącego boskopa, być młodym, ciekawym i mieć hałaśliwe podniebienie...)

Zamiast tego oglądałem telewizyjnego kucharza, który opalał cielęce cynadry. Dwuznaczna paplanina na temat przepisu – Któż by się bał podrobów? – przeplatała się z objaśnieniami ochronnej funkcji moich cynowych kapturek: – I nie zapominajmy. Ani zimnego, ani gorącego. I w żadnym wypadku owoców, bo kwas owocowy...

Naprzeciw mego nieobecnego podniebienia kucharz telewizyjny napoczął cielęce cynadry. Próbował kawałek po kawałku; i gdyby mój dentysta nie zakończył zabiegu i naciśnięciem klawisza nie wyeliminował kucharza, nabrałbym do cielęcych cynadrów obrzydzenia po wsze czasy. Czując podwójną ulgę próbowałem wygłosić końcowe słowo: – W każdym razie Krings zaczął na stole plastycznym staczać bitwę za bitwą. Córka stała się dla niego naturalnym przeciwnikiem...

Potem dałem za wygraną (na razie) i szukając ratunku chwyciłem się prawa do bólu, które przysługuje każdemu pacjentowi: – Ómi, doktorciu. W każdym razie czuję coś...

Mój dentysta (który nadal jest moim przyjacielem) ofiarował arantil: – Żeby pan był zabezpieczony, mój drogi. Ale zanim pana wypuszczę, raz-dwa, z pomocą kolornika,

wyberzemy barwę porcelany dla naszych degudentowych mostów. Myślę, że ta żółtawa biel przechodząca w ciepłą szarość byłaby odpowiednia, może nie?

Jako że jego pomoc (która musiała mnie znać) potwierdziła wybór barwy kiwnięciem głowy, okazałem zadowolenie: – Dobra, bierzemy.

Mój dentysta pożegnał mnie (troskliwymi) słowami: – I na dworze mocno zamykać usta.

Złożyłem ukłon rzeczywistości: – Ach tak. Przecież wciąż jeszcze pada śnieg.

Duże jasne, panie kelner, duże jasne! – i myśl nie rozpuszczalną, taką, której niebieskie światełko zapewnia pierwszeństwo przejazdu, nowusieńką myśl, która gruntownie podzieli skłębiony zaduch, żebyśmy wszyscy – Panie kelner, moje jasne! – wszyscy, co zezują w tył i beltają męty, mogli szlakiem przez spiętrzone z obu stron Morze Czerwone – Panie kelner, moje jasne! – wrócić do domu...

–Bo czego, doktorciu, i ile możemy nauczyć się z historii? Dobra, przyznaję: byłem nieposłuszny, nie skorzystałem z przekazanych mi doświadczeń, jeszcze w drodze do domu, ponieważ na dworze padał śnieg i ponieważ ja pozostawiałem ślady na śniegu, wypilem zimne piwo i musiałem letnią wodą popić dwa dalsze arantile. Niczego nie możemy się nauczyć. Nie ma żadnego postępu, co najwyżej są ślady na śniegu...

Mój dentysta pozostawał obecny również w moich czterech ścianach. Nawlekał sukcesy stomatologii, perełki, na sznurek. Moje drwiące wtrącenie – Kiedy pojawiła się na rynku pierwsza pasta do zębów? Przed czy po szczoteczce? – skwitował krytycznymi uwagami pod adresem chlorofilu: – Dobrze, odświeża. Ale na próchnicę?

Gdy opisał mi drogę od wolnoobrotowej wiertarki do szybkobieżnego airmatika -A niedługo Siemens pojawi się na targach stomatologii z pięciuset tysiącami obrotów. W porównaniu z tym mój Ritter to ociężała skamielina – gdy zrobił nadzieję na leczenie ultradźwiękami i ostateczne zwycięstwo nad próchnicą, przyznałem: – U pana może to posuwa się naprzód, ale historia – choć z absolutną konsekwencją rozwijała swoje systemy uzbrojenia – nie może udzielić nam żadnej lekcji. Absurdalna jak liczby w totku. Przyspieszony bezruch. Wszędzie nie wyrównane rachunki, ufryzowane klęski i dziecinne próby wygrywania poniewczasie przegranych bitew. Kiedy myślę na przykład o byłym feldmarszałku Kringsie i o tym, jak wytrwale jego córka...

Także za biurkiem, w otoczeniu prywatnych drobiazgów – fetyszy, które miały mnie chronić – skoro tylko powiedziałem: – Linda – chlapnął mi w gębę kilka łyżek różowego modelarskiego gipsu. (I nawet teraz prosi mnie, żebym nie łykał i nadal oddychał przez nos, dopóki gips wiąże się w mojej jamie ustnej...)

Oto płynie coś jakże równomiernego: ojciec Ren. Niesie statki w obu kierunkach. A my oboje w podszytych wiatrem jesionkach tam i z powrotem po Reńskiej Promenadzie. (Znów porządnie pogadać pod krótko przyciętymi platanami, na bastionie między tabliczkami

wotywnymi Matki Boskiej Nieustającej Pomocy).

–Coś ty powiedziała? Powiedz to jeszcze raz. Chciałbym to wyraźnie jeszcze raz usłyszeć.

Dwa profile, których podstawa znalazła ławkę. (Pogadać na siedząco). Zastygłe głowy. I tylko włosy udają ruch. Do tego statki towarowe, które przepływają na ekranie z lewej w prawo i z prawej w lewo.

–Nie masz co tak się denerwować. Jeśli chcesz to usłyszeć: ty jesteś lepszy. Zadowolony? No więc.

Teraz liczą statki. Cztery płyną z Holandii w górę. Trzy przebyły Binger Loch i podążają w dół. I pora roku: marzec. Brązowo-szaro skapuje cały urok. (Po drugiej stronie wciąż jeszcze Leutesdorf).

–Jak pan uważa, doktorciu, czy powinienem z moją 12a zaplanować wycieczkę szkolną do Bonn: Bundestag. Rozmowy z żywymi politykami. A potem dalej do Andernach...

(Teraz oboje milczą w górę w dół).

Ruch w obie strony był silniejszy niż moje zastrzeżenia: wydłużona stałość z bielizną trzepoczącą na rufie i twardniejący powoli gips na oszlifowanych pieńkach, w których nerwy milczały. To, co właściwie zamierzałem powiedzieć – Schlottau chciał porachować się z Kringsem, ponieważ Krings w Kurlandii zdegradował go z feldfebla do szeregowca – popłynęło z kadru wraz z berlinkami. Zawsze łatwo było odwrócić moją uwagę. (Dowolne wcięcia: Irmgarda Seifert karmi akwariowe rybki). Na długo przed narzeczoną... (Kłopoty z nabyciem pomocy naukowych). Zanim poszedłem do Dyckerhoffa-Lengericha... (Okrzyki mojej uczennicy Weroniki Lewand: – To jest subiektywizm!). Jako student w Akwizgranie zarabiałem na życie roznosząc kartki żywnościowe po schodach w górę i w dół. Moim rejonem była Venloer Strasse...

Był sobie kiedyś student, który za opłatą roznosił kartki żywnościowe. Półkała go dziewięćmieszkaniowa czynszówka, która zachowała się pośród przerw w zabudowie. Lewą ręką student politechniki ścisnął ceratową teczkę z kuponami na chleb, mięso, tłuszcz i inne artykuły spożywcze, z listą do pokwitowania i paroma książkami o statyce; do kciuka prawej należało naciskanie dzwonka. – Niech pan na chwilę wejdzie.

U jednej wdowy student pierwszego semestru pozbył się częściowo swojej nieśmiałości i nawyku załatwiania sprawy migiem. Z tego okresu pozostał mu w pamięci bądź co bądź – bo od czasu do czasu mógł się swobodnie rozejrzeć – wizerunek niefrasobliwie uśmiechającego się starszego feldfebla na nocnym stoliku w ramce stojącej obok różnych drobiazków.

Wdowa nazywała się, nie, nie Lówith, to była lokatorka z naprzeciwka, która gdy prawy kciuk studenta dotknął guzika dzwonka, powiedziała – Niech no pan wejdzie, młody

człowieku, moja siostra poszła do urzędu gospodarczego w sprawie talonów, ale ja chyba też mogę – Wkrótce – a z każdym tygodniem szło to coraz lepiej – student nauczył się wyplątywać papiloty z jej włosów, które były prawie rude

Nie, rudawa to była córeczka z pierwszego piętra po lewej, której student musiał pomagać w odrabianiu lekcji, aż szczęśliwie dostała promocję. Córeczka z naprzeciwka została na drugi rok, bo studentowi nie wolno było jej pomagać. Musiał układać się z matką, aż wmieszał się syn i poddał pod dyskusję swoje – Poczekaj, kiedy ojciec wróci z niewoli

Ale ja już jako student lubiłem toczyć spory, zwłaszcza że pani Podzum zawsze miała prawdziwą kawę, a także inne smakołyki, jak smalec wieprzowy ze skwarkami i jabłkiem. Dobry kilogram tego specjału nie zwracając uwagi Podzumki – a może ona mądrze nie zwracała uwagi – student wyniósł po trochu na drugie piętro czynszówki

Tam mieszkająca kątem studentka, której smalec wieprzowy nie służył, dostawała pryszczki od tego wiana. Była też poza tym zakompleksiona, wstydziała się bez powodu i prowadziła dziennik, który student czytał bezceremonialnie i tak długo zapewniał, że można z niego „uśmieć się do łez”, aż studentka zaczęła płakać

Za to Heide Schmittchen, z naprzeciwka po prawej, była zupełnie inna. Miała maszynę do pisania i pozwalała studentowi stukać na niej, ile razy zechciał. Ledwie o parę lat starsza od niego miała już coś macierzyńskiego, może dlatego że była bezdzietna, a jej mąż (którego jeszcze dziś widzę, jak akurat wychodzi, kiedy ja wchodzę) był na wszystkie te sprawy obojętny

Na trzecim piętrze natomiast – słyszało się to już na drugim – roilo się od dzieci i pachniało brukselką. Tam dwie różnie zniszczone kobiety w szlafrokach różniących się wzorem mówiły – Niech pan spokojnie wejdzie, młody człowieku – I student uczył się i uczył, mówić „tak”, mówić „nie”, pozorować, nie patrzeć, myśleć o czymś innym. Czas upływał pod wiszącym zegarem albo koło stojącego zegara, które obydwa przetrwały wojnę. Gdzie były lepsze przysmażane ziemniaki? Gdzie trzymało się papużkę falistą? (Ja twierdzę, że po lewej, pod stojącym zegarem, bo po prawej prócz wiszącego zegara pojawia mi się na ekranie tylko surowa twarz czterdziestokilkulatki w okularach). Student musiał dość długo mitrężyć czas u pani Schimanskiej, bo, po pierwsze, papużka była z początku zdrowa (teraz widzę ją chorą, siedzi na drążku markotna i nastroszona), a po drugie, gdy po długiej pielęgnacji papużka zamieszkiwała swoją klatkę znowu rześka i pięknie upierzona, pani Schimanska chciała, żeby student u niej zamieszkał, ale on musiał jeszcze zanieść kartki żywnościowe na poddasze po lewej. Komu? Jak tam pachniało? A tapety?

(- Przyzna pan, doktorciu, że nadarzały mi się okazje, z których wypadało skorzystać) Na ekranie bezdźwięcznie otwierają się drzwi. Dłoń z trzema nader okazałymi pierścieniami znużonym ruchem przywołuje studenta do środka. Jak on się nauczył zręcznie zwlekać. Wącha dłoń. Ściąga najmniejszy pierścionek swoją zapłatę. Dłoni wolno pełzać po jego karku. Wolno jej bawić się teraz jego kręconymi, zawsze trochę splątanymi włosami. Teraz rozpina

go Teraz coś nalewa Teraz drze papier Teraz policzkuje studenta dwoma pozostałymi pierścionkami Teraz masturbuje pierścionkiem A on ściąga drugi pierścionek swoją zapłatę Teraz ona znów coś nalewa Teraz przychodzi sen I czas mija Teraz ona nastawia wodę na kawę Teraz płacze przed lustrem i ma popękana twarz Znowu czas upływa Teraz ona kręci gałką radia Teraz kładzie trzeci pierścionek, teraz podpisuje (a ja odfajkowuję kupony na chleb, mięso, tłuszcz i inne artykuły żywnościowe) Teraz otwiera drzwi i wypycha studenta on jest dorosły i zna różnice oraz odmiany Wie wszystko przedtem i czuje smak trudu potem Może porównywać i nie jest już nowy Schodami w dół z poddasza przez kolejne piętra student opuszcza czynszówkę (Sprawdziłem jeszcze raz, bo zacząłem już zapominać charakterystyczne szczegóły, na przykład wzór na firankach i uszkodzenia tynku)

–Już nie student, nie, doktorciu, skończony inżynier mechanik Eberhard Starusch jest zdumiony, ile to nowych budynków wyrosło przy jeszcze niedawno w połowie zniszczonej bombami Venloer Strasse Również po obu stronach jego czynszówki wypełniły się przerwy w zabudowie Na wystawach cisną się oferowane towary na krótko przed wyprzedają Ludzie konsumują, (A także moja ceratowa teczka, którą na początku tej baśni nosiłem w lewej ręce pełną kartek żywnościowych, jest obecnie, kiedy to pan chce jeszcze raz i jeszcze łamać gips w moich ustach, z nowej świńskiej skóry i jest wypchana moją, uznaną za dobrą, pracą dyplomową o odpylaniu w cementowniach, bo zaopatrując dziewięciomieszkaniową czynszówkę w kartki żywnościowe i czekając, aż gips się zwiąże, byłem pilny, zdałem wszystkie egzaminy, stałem się mężczyzną, mimo że później moja narzeczona powiedziała Ty wciąż jeszcze chodzisz w krótkich spodenkach.

–Jak pan uważa, czy to nie byłby temat na wypracowanie? – Niech mój uczeń Scherbaum wyobrazi sobie, że jest studentem w roku czterdziestym siódmym i musi roznosić kartki żywnościowe po czynszówce w Neukölnie.

(Gdy ja w roku pięćdziesiątym pierwszym opuściłem swoją czynszówkę, Scherbaum był w wieku, w którym zaczynają wyrzynać się mleczne zęby). A może wezmę jeszcze dwa arantile – to była lekkomyślność, że napiłem się zimnego piwa – i zadzwonię do Irmgardy Seifert, ale zanim będę z nią przeżuwać jej listy, wymykam się do Kretz, Plaidt i Kruft, wędrując z Lindą po dolinie Nette, wspinam się z nią (jeszcze zakochany) na Korrelsberg, idę rakiem dalej (bo zawsze coś było przedtem) i wygłaszam swój referat o trasach na zjeździe cementowników w Düsseldorfie, jeszcze raz zaczynam u Dyckerhoffa-Lengencha, przeskakuję Akwizgran (czynszówkę), póki arantil pomaga (a Irmgarda Seifert nie dzwoni i nie zali się), nie przestaję się cofać jako osiemnastolatek byłem w posypanym chlorem amerykańskim obozie, niedaleko Bad Aibling w Allgäu, krótko ostrzyżonym jeńcem wojennym, który przy dziewięciuset pięćdziesięciu kaloriach dziennie i z kompletnym uzębieniem (ach, doktorciu, jakie ja miałem zęby!) wyzbył się wszelkiego strachu przed rozminowywaniem bez osłony ogniowej! i pilnie uczęszczał na kursy.

Bo my, Niemcy, potrafimy nawet najbardziej monotonne życie obozowe zorganizować pożytecznie.

Jeńcy ścieśniali się, ażeby barak oświatowy dawał miejsce i sposobność do stłumienia pospolitego głodu głodem wiedzy kursy językowe dla początkujących i zaawansowanych. Podwójna buchalteria. Niemieckie katedry. Ze Svenem Hedinem przez Tybet Późny Rilke - wczesny Schiller. Mała anatomia (Również pan w obozie Bad Aibling znalazłby więcej słuchaczy dla swego wykładu o próchnicy niż w dzisiejszych czasach na uniwersytecie ludowym w Tempelhofie). Jednocześnie powstał ruch „Pomóż sobie sam”. Jak z puszek po konserwach możemy sporządzić jeśli już nie pancierzownice, to odkurzacze? Pierwsze mobile (wycięte z amerykańskiej białej blachy) poruszały się w ciepłym powietrzu nad naszymi żelaznymi piecykami. Płatnicy wygłaszali odczyty na temat podstaw filozofii (Ma pan rację, doktorciu, zwłaszcza w niewoli Seneka potrafił przynosić pociechę). A w każdą środę i sobotę dawny kucharz hotelowy – którego dzisiaj każdy ceni jako kucharza telewizyjnego – prowadził kurs gotowania dla początkujących.

Brühsam utrzymywał, że nauczył się gotować u Sachera w Wiedniu. Brühsam pochodził z Siedmiogrodu. Jego nauki zaczynały się od słów -W mojej ojczyźnie, w pięknym Siedmiogrodzie, każda rozmiłowana w gotowaniu pani domu bierze.

Jako że niedostatek wytyczał granice programu, Brühsam uczył gotowania z przyprawami branymi z powietrza Wyczarowywał mostek wołowy, cynadry cielęce, pieczeń wieprzową. Słowa i gesty zapewniały soczystość baraniego udźca jego bażant w liściach winorośli i jego karp w sosie piwnym odbicia odbitych obrazów (Uczyłem się wyobrażania sobie).

Podczas gdy my robiąc wielkie oczy, uduchowieni i dzięki niedożywieniu wychudzeni, siedzieliśmy na zydelkach w baraku oświatowym i słuchaliśmy Brühsama, nasze zeszyty formatu ósemki – dar Amerykanów – wypełniały się przepisami, które w dziesięć lat później sprawiły, że obrośliśmy tłuszczem

–W mojej ojczyźnie – mówił Brühsam – w pięknym Siedmiogrodzie, każda rozmiłowana w gotowaniu pani domu przy kupnie bez trudu rozróżnia gęsi tuczone i gęsi karmione naturalnie.

Następowała pouczająca dygresja na temat naturalnej swobody co prawda lżejszych, ale mięsistych polskich i węgierskich gęsi i marnego losu tuczonych gęsi na Pomorzu – W pięknym Siedmiogrodzie, który był kiedyś moją ojczyzną, rozmiłowana w gotowaniu pani domu wybierała gęsi karmione naturalnie.

Potem Brühsam pokazywał, jak się bada gęsi chwytając kciukiem i palcem serdecznym najpierw za pierś, następnie za kuper – Mimo całego tłuszczu, jaki je otacza, gruczoły muszą być wyczuwalne.

(Zrozumie pan, że trójpalcy chwyt pańskiej pomocnicy, który nakazuje mi szeroko rozdziawić gębę, przywołuje na pamięć Brühsamowe chwytanie gęsi za kuper, albo w lustrzanym odwróceniu podczas gdy ja, nauczony przez Brühsama, znajduję gruczoły wyimaginowanej gęsi, palce pańskiej pomocy rozdziawiają mi usta).

–Po przyjsciu do domu – mówił BrühSAM – należy gęś wypatroszyć, aby można ją było nadziać.

I my swoimi ogryzkami – jeden ołówek na trzech, wszystkim trzeba było się dzielić - zapisywaliśmy „Czymkolwiek nadziewa rozmiłowana w gotowaniu pani domu, bez bylicy, bez trzech gałązek szeleszczącej, ostro pachnącej bylicy nie można gęsi nazwać nadzianą”.

Nam, którzy byliśmy szczęśliwi, kiedy pomiędzy barakami udało się wyrwać trochę mniszka na dodatkową zupkę, nam, pokornym wyskrobywaczom garnków, BrühSAM wyliczał nadzienia. Uczyliśmy się i notowaliśmy „Nadzienie jabłkowe Nadzienie kasztanowe”.

A ktoś z siedmioma kilogramami niedowagi zapytał – Co to za kasztany?

(Tak to powinien dzisiaj kucharz telewizyjny BrühSAM folgować sobie w pierwszym programie) – Glazurowane kasztany. Kandyzowane kasztany. Puree z kasztanów. Nie ma czerwonej kapusty bez kasztanów. W pięknym Siedmiogrodzie, mojej dawnej ojczyźnie, byli sprzedawcy kasztanów, którzy je piekli na węglu drzewnym. Kiedy zimą, na zimnych targowiskach, jadło się gorące kasztany. Kasztanowe historyjki. Kiedy mój wuj Ignazius Baltazar BrühSAM pociągnął ze swoimi kasztanami do Hermannstadt*, co leży w Siedmiogrodzie, mojej dawnej ojczyźnie. I dlatego w listopadzie, na świętego Marcina, nasza naturalnie karmiona gęś łaknie, ba, domaga się kasztanów, które glazurowane miodem z posypanymi cynamonem cząsteczkami jabłka, z szeleszczącą bylicą – bo nie ma gęsi bez bylicy! – i faszerowanym rodzynkami gęsim sercem sprężyście nadziewiają naszą naturalnie karmioną gęś, węgierską czy polską, i dają piersi to, czego przypiekanie od góry i od dołu wyśmienitej gęsiej skórce, przy całym chrupiącym zbrązowieniu, dać nie potrafi odcień łagodnej kasztanowej słodyczy.

(Ach, doktorciu, gdybyśmy to mieli pański ślinociąg w owych wychudłych czasach!) BrühSAM nie wypuszczał nas z uścisku, kontynuował tortury – A teraz co do nadzienia sytnego. Rozmiłowana w gotowaniu pani domu w mojej ojczyźnie bierze trzysta pięćdziesiąt gramów mielonej wieprzowiny, sieka dwie cebule, trzy jabłka, gęsie podroby – prócz wybornej wątróbki – posypuje liśćmi bylicy, dodaje trzy namoczone przedtem w ciepłym mleku bułeczki, uciera skórkę cytrynową i średniej wielkości ząbek czosnku, wbija dwa jajka, trzema pełnymi łyżkami mąki pszennej zagęszcza nadzienie, żeby dobrze wymieszane i bardzo lekko posolone dało się krajać, i nadziewa gęś, nadziewa gęś.

* Dzisiaj Sibiu (przyp tłum)

(Tak to zaczęła się reedukacja zbałamuconej młodzieży). Nie przestawaliśmy się uczyć Z ruin i biedy powstawali niedożywieni pedagodzy i oznajmiali – Musimy nauczyć się znów żyć, żyć prawdziwie. Na przykład gęsi nie nadziewa się pomarańczami. Pozostaje nam do wyboru klasyczne nadzienie jabłkowe, południowe nadzienie kasztanowe i tak zwane nadzienie sytne. Lecz w ciężkich czasach, kiedy podaż gęsi jest co prawda duża, ale świń mała, a zagranicznych kasztanów nie ma na krajowym rynku, nadzienie jabłkowe,

kasztanowe i sytne – tak mówił dawny kucharz hotelowy, później kucharz telewizyjny Albert Brühnsam – można w pełni zastąpić nadzieniem ziemniaczanym, zwłaszcza że ziemniaki, kiedy starta gałka muszkatołowa uszlachetni ich smak i bylica – nie ma gęsi bez bylicy! – udzieli błogosławieństwa, stają się nadzieniowym smakołykiem.

Gdy jesienią pięćdziesiątego piątego pojechałem z moją narzeczoną – była to nasza ostatnia wspólna podróż – do Poznania na jesienne targi, gdzie skorzystałem z okazji, żeby kilku polskim inżynierom z przemysłu cementowego opowiedzieć o opłacalności odpylaczy cyklonowych, zrobiliśmy po targach wypad do Rębiechowa w powiecie kartuskim, na południowy zachód od Gdańska, aby odwiedzić moją ciotkę Jadwigę, która po rozwlekłych rozmowach na temat rolnictwa na Kaszubach i po urządzeniu prawdziwej małej uroczystości rodzinnej, opowiadała mi o ziemniaczanym nadzieniu karmionych naturalnie polskich gęsi podobne rzeczy jak dziesięć lat przedtem Brühnsam, tylko moja ciotka niewiele wiedziała o muszkacie, ona doprawiała kminkiem.

Moja narzeczona obawiała się męczącej podróży i przełamywania poprzedzających ją biurokratycznych oporów, ale moje stwierdzenie – Skoro ja dopasowuję się do twojej bądź co bądź uciążliwej rodziny, możesz i ty okazać trochę dobrej woli – wymogło na niej mrukliwą zgodę odwiedziliśmy prostych i z wiejska gościnnych ludzi. (A jako że chodziło o moich ostatnich żyjących krewnych, wybrałem się w tę podróż nie bez wzruszeń byliśmy też w Nowym Porcie, portowym przedmieściu Gdańska, pamięta pan, doktorciu, tam, we wciąż jeszcze mętnej portowej brei, naprzeciw Ostrowa, zatopiłem kiedyś mleczny ząb)

–Aleś ty, syneczku, wyrósł! – powitała mnie moja ciotka, która właściwie jest moją cioteczną babką, siostrą mojej babki ze strony matki, będąc z domu Kurbjuhn wyszła za zmarłego tymczasem małorolnego chłopca Rippkę, podczas gdy jej siostra, moja babka, zawędrowała do miasta i poślubiła brygadzystę z tartaku nazwiskiem Behnke, bo moja matka wyrastała już w miejskim otoczeniu i wzięła sobie niejakiego Staruscha, którego rodzina była od trzech pokoleń osiadła w mieście, ale przecież, jak Kurbjuhnowie, pochodziła z Kaszub w początkach dziewiętnastego wieku Storoszowie mieszkali jeszcze niedaleko Tczewa.

–Gadaj, coś ty jest z zawodu? – zapytała moja cioteczna babka i wlepiła oczy w moją narzeczoną – Robisz w cemencie? To czemuś nam nie przywiózł, co my go tak potrzebujemy?

(Wbrew śmiesznym oporom, nie tylko z polskiej, także z zachodniemieckiej strony, udało mi się zaraz po naszym powrocie wysłać do Rębiechowa dziesięć worków cementu Był to pomysł Lindy).

Moja narzeczona obiecała ciotce Jadwidze cement niezbędny do odbudowy wciąż pogruchotanej od ostrzału stodoły, ale ciotka nie przestawała się użalać – Cały nasz majątek to ździebko żyta, krowa, cielak, kwaśne jabłka, jak byś miał ochotę, naturalnie bulwy, kurki i parę gąsek.

Gąsek jednak nie dostaliśmy. Na stole pojawiły się łykowane kury z weków, cioteczna babka Jadwiga uważała konserwowe za wytworniejsze od świeżo zaslachtowanych, których gdakanie na krótko przed zarżnięciem słyszałoby się za szopą z narzędziami. Może ciotka chciała mieć wzgląd na moją narzeczoną, bo później, w ogrodzie warzywnym pomiędzy jarmużem, powiedziała – Aleś se szykowną pannę przygadał.

Naturalnie robiło się dużo zdjęć. Zwłaszcza dzieci wuja Józefa, kuzyna mojej matki, musiały raz za razem stawać na tle pogruchotanej stodoły, ponieważ życzyła sobie tego Linda. A pod wieczór pojechaliśmy autobusem do Kartuz, żeby odwiedzić brata ciotki, ciotecznego dziadka Klemensa, który jest bratem mojej nieboszczki babki ze strony matki, i jego Lenkę z domu Storosz, podwójne pokrewieństwo. Co to było za spotkanie! – A niech cię, syneczku! Jaka to szkoda, że twoja mamusia tako zginąć musiała. Na punkcie twoich mlecznych zębów, co to je zbierała, nieliczego bzika miała. Wszystko przepadło. Mnie to też nic nie zostało krom akordeonu i fortepianu, co to Alfons, najmłodszy naszego Jana, na nim gra. Potem se posłuchamy.

Przed domowym koncertem były jeszcze raz kury z weków, do tego wódka ziemniaczana, którą z uwagi na moją szykowną narzeczoną obrzydliwie przyprawiono miętą (Przy tym Kaszubi to lud o starej kulturze, starszy od Polaków, pokrewny łużyckim Serbom Kaszubszczyźnie, starosłowiańskiemu językowi, grozi wymarcie. Ciotka Jadwiga i wuj Klemens ze swoją Lenką jeszcze nią władali, a tymczasem Alfons, flegmatyczny niespełna trzydziestolatek, nie znał ani starego języka, ani kaszubskiej wersji zachodniopruskiego dialektu i rzadko kiedy wtrącał coś po polsku. Mimo to warto by było, żeby sławiści opracowali gramatykę kaszubskiego języka, której wciąż brak Kopernik – Kubnik lub Kopnik – nie był z pochodzenia ani Niemcem, ani Polakiem, tylko Kaszubem).

Ponieważ kolacja przebiegała trochę za spokojnie – literacka niemczyzna Lindy działała hamująco, ja bardzo niepewnie próbowałem wrócić do gwary gdańskich przedmieść – mój cioteczny dziadek Klemens, po którym odziedziczyłem przez matkę dar pedagogicznego przekonywania, powiedział – Ja ci powiadam, syneczku. Co nam z tych wszystkich żalów przyjdzie. Weseli być i uczyć się żyć musimy i śpiewać musimy, co by w kredensie filiżanki brzęczały.

Zrobiliśmy to całą rodziną moja cioteczna babka Jadwiga, jej córka Selma – kuzynka mojej matki – jej pokasłujący suchotniczo i z tego powodu niezdolny do pracy mąż imieniem Zygmunt, cioteczny dziadek Klemens ze swoją Lenką i ich wnukiem – moim półkuzynem – Alfonsem, który miał wrzód na siedzeniu i dlatego nie chciał siadać przy fortepianie, ale musiał – No już, Fonsiu, ni rób ceregieli. Wal w klawisze! – i wzięci w środek jako krewniak i nieomal powinowata moja narzeczoną i ja. Akompaniowali nam cioteczny dziadek na akordeonie i tylko jednym półdupkiem siedzący przy fortepianie pianista Alfons, a my przez blisko dwie godziny śpiewaliśmy przeważnie piosenkę „Hej, do lasu, hej, do lasu! Na rozterki nie trać czasu i popijaliśmy zaprawianą miętą wódkę z ziemniaków.

(W każdym łyku tego narodowego trunku kaszubskiego walczyły ze zmiennym

powodzeniem chemiczna esencja mięty pieprzowej oraz bimbrowaty zapach i smak otwartego kopca ziemniaków, ledwie człowiek pomyślał, że próbuje przesłodzonego likieru, przebijał ordynarny spirytus, a kiedy podniebienie chciało akurat przyzwyczać się do chłopskiego samogonu, esencja przypominała, czego to chemia nie potrafi działać. Ale ponad wszelką walką w kwestiach smaku unosiła się godząc i łącząc piosenka „Hej, do lasu”).

–Myślisz, syneczku – spytała dolewając moja cioteczna babka – co führer jeszcze żyje? – (Dla nas, którzy usiłujemy traktować materię historyczną z naukowym chłodem, ten bezpośredni nawrót do historii jest niedopuszczalny, i gdy niedawno lekkomyślnie zacytowałem ciotkę Jadwigę, moi uczniowie uznali świadomość polityczną mojej ciotecznej babki za wadliwą, jak gdybym powinien był odpowiedzieć jej Heglem) – Na pewno nie, Ciociu – odważyłem się powiedzieć. A moja narzeczona, którą wzięli pod rękę Lenka wuja Klemensa i pokasłujący kolejarz Zygmunt – kołysaliśmy się śpiewając „Hej, do lasu” – kiwnęła głową na potwierdzenie. Linda i ja byliśmy jednego zdania.

–A widzisz! – Moja cioteczna babka walnęła w stół – Tyle gadał i gadał, a teraz co? – (Tej logice nie potrafił się oprzeć nawet Scherbaunr – Ta ciotka jest po prostu niebywała). I my, moja rodzina i Linda, jeszcze raz, do upojenia, zaśpiewaliśmy „Hej, do lasu, hej, do lasu! Na rozterki nie trać czasu“.

Na koniec doszedł prawdziwy lekarz domowy, którego wezwała kuzynka mojej mamusi Selma, żeby czytelnie sporządził listę wszystkich leków, których mojej rodzinie brakowało. Żółte krople dla ciotki. Coś na płuca dla kolejarza Zygmunta. Coś na drżączkę dla wuja Klemensa. (Przy tym jemu, skoro tylko zaczął grać na akordeonie, nic nie drżało) I dla wszystkich, prócz kolejarza, coś na otyłość.

Zasłaniając usta dłonią lekarz powiedział – Ludzie chcę tego wszystkiego tylko dlatego, że chodzi o zachodnie lekarstwa. One im nic nie pomogą. Powinni mniej żreć i częściej śpiewać „Hej, do lasu”. Musi pan przyjechać w listopadzie, kiedy zacznie się tu gęsie szaleństwo.

Moja cioteczna babka podchwyciła słowa lekarza – Tak, syneczku. Przyjedźże niezadługo ze swoją szykowną narzeczoną. Na świętego Marcina tak se tu pojesz, że słowa rzec nie będziesz mógł. Taka kaszubska gaska. Na łące dzisiaj widziałeś. A pamiętasz, jak my je nadziewamy?

I ja wyliczyłem, czego w obozie jenieckim Bad Aibling nauczył mnie dawny kucharz hotelowy, a dzisiaj kucharz telewizyjny Brühnsam – Jest nadzienie jabłkowe, delikatne nadzienie kasztanowe, jest nadzienie sytne I do każdego nadzienia dodaje się bylicę. Nie ma gęsi bez bylicy.

Moja cioteczna babka Jadwiga ucieszyła się – Z bylicą to masz rację. Ale gaskę ziemniakami nadziewamy, co surowe są i jak sok odlejemy. Smakują, że palce będziesz

lizał, jak na Boże Narodzenie ze swoją narzeczoną przyjedziesz.

Ale Linda już nie chciała. Odbijało się jej kurami z weków. W drodze powrotnej dostała pryszczycy, zgagi i kurczów żołądka (Już myślałem, że kipnie, ta myśl nie była mi obca) Poprawiło się dopiero w Berlinie Niedługo zresztą skończyło się między nami Bo wiosną pięćdziesiątego szóstego spłaciła mnie – Chcesz forszę na raty czy za jednym razem?

Zdecydowałem się na całą sumę. Finansowo byliśmy kwita. I dzisiaj szczerze przyznaję. Sztuki nadziewania gęsi nauczyłem się u mistrza Bruhsama. W dziewięciomieszkaniowej czynszówce stałem się mężczyzną wiedziałem wszystko przedtem i czułem smak trudu potem. Ostatni szlif i życiową mądrość dał mi na drogę mój cioteczny dziadek Klemens – Uczyć się nam trzeba, co byśmy znowu weseli byli i żyć umieli – Ale dopiero moja narzeczona sfinansowała we mnie pedagoga.

(Przy tym ja długo zwlekałem z przyjęciem pieniędzy, z dopuszczeniem do zerwania) Gdy na Mayener Feld, na skraju opuszczonych kamieniołomów bazaltu, doszło między nami do rozmowy, ponieważ Linda, zaraz po powrocie z naszej podróży do Polski, znów zaczęła uprawiać ze Schlottauem tak zwane szpiegostwo operacyjne, powiedziałem – Jeśli ty z nim me skończysz, to ja cię zabiję.

Linda nie roześmiała się, tylko była zaniepokojona – Nie powinieneś tak lekkomyślnie paplać czegoś takiego, Hardy. Ja co prawda nie umrę od tego, ale w twojej głowinie słowo „zabić” mogłoby się usadowić na dobre i produkować historyjki, które produkują historyjki.

–Ach, jacy jesteśmy przepelnieni. Ach, jak jesteśmy osaczeni. Ach, jak nas przytlacza obfitość.

W telewizji odbywa się sprzątanie. Buldożery, zrazu kręcące się na otwartym polu, ruszają do natarcia, zagarniają wyroby gotowe, kosmetyki, zgniatają komplety wypoczynkowe, sprzęt kempingowy, spiętrzają dodatkowe samochody, domowe kina, obudowane kuchnie, pozbawiają podstaw przesunięte ściany persilu, przewracają dziecięcy barek, potem zamrażarkę, z której wypadają – z jarzynami mięsem owocami i na jarzyny mięso owoce – szybko rozmrażający się konsumenci uznana za zmarłą narzeczoną, stary Krings w mundurze, posępna ciotka Lindy, Schlottau z ręką na przyrodzeniu, również moi uczniowie koledzy krewniacy pełzają z czterema pięcioma dziewięcioma kobietami po dodatkowym sprzęcie i towarach (między innymi po polskich naturalnie karmionych gęsiach), toczą się i są toczeni... Wirówka pralki huczy na pusto. Rytmicznie klaszczą uczniowie.

I tę nadwyżkę oraz obfitość buldożery przesuwają z dalekiego planu przez plan średni w poblizę ekranu, rozsadzają wypukłości, wywalają to wszystko na pokój, aż gabinet dentysty wypełnia się po brzegi, a ja muszę przepychać się po sponiewieranym gratach przez stłoczone towarzystwo, które chce ze mną rozmawiać – O co chodzi, Scherbaum? – i uciekać – dokąd? – na szybko mocą wiary uleczony ekran-tam czeka mój dentysta ze swoją pomocą i prosi mnie, żebym siadał, dzisiaj mają mi wstawić dwa degudentowe

mosty, zdarzenie akustycznie znośne, przerywane tylko odgłosami płukania, podczas gdy z lekka później podredagowany dialog między lekarzem a pacjentem już teraz zaczyna się wznosić w odmierzonych po platońsku słownych balonikach kiedy lekarz radzi zachować umiar i pokładać ufność w ciągłym rozwoju, pacjent (profesor gimnazjalny, którego chóralne okrzyki jego uczniów usiłują popchnąć naprzód) żąda radykalnych zmian i rewolucyjnego zachowania się.

Chce na przykład z pomocą buldożerów uprzątnąć i usunąć sprzed oczu konsumentów cały chłam z przyległościami i częściami zamiennymi, ze wszystkimi dodatkowymi nabytkami i ułatwieniami w splątach – Na raty! Na raty! – z chromem i budżetem na reklamę, żeby (jak to napisała kredą na szkolnej tablicy jego uczennica Wero Lewand) można było zmienić bazę i żeby powstało miejsce na spokojne bytowanie.

Ale dentysta jest podobnie odczytany wszelkie nadużycia władzy sprowadza do Hegla, z którym zawile polemizuje powołując się na pokojowo ewolucyjny postęp stomatologu -Za dużo wykluczających się nawzajem zbawiennych teorii i za mało praktycznego pożytku.

–powiada i radzi zastąpić całą administrację państwową swoją obejmującą cały świat opieką nad chorymi.

Wówczas profesor gimnazjalny odkrywa wspólną podstawę.

–W gruncie rzeczy jesteśmy przecież jednego zdania, zwłaszcza że obaj czujemy się zobowiązani wobec humanizmu, wobec ludzkości.

Lecz dentysta domaga się, żeby pacjent odciął się od swoich wezwań – W najlepszym razie zgodzę się na radykalne wycofanie chlorofilowych past do zębów, które fałszywie utrzymują, jakoby były skutecznym środkiem chroniącym przed próchnicą

Profesor gimnazjalny ociąga się, przetyka, nie chce odwoływać (Moja 12a przygląda mi się szyderczo). Bez zastanowienia cytuje Marksengelsa, a nawet starego Senekę, który gdy chodzi o potępienie zbytku, jest tego samego zdania co Marcuse. (Nie cofnąłem się przed przytoczeniem słów późnego Nietzschego „W końcu wraz z przewartościowaniem wszystkich wartości dokonuje się“).

Ale dentysta nalega, żeby się wyrzec przemocy, i grozi, że gdyby nie doszło do odwołania, on nie znieczuli zuchwy. Demonstrowanie narzędzi tortur. Stomatologiczna groźba – To znaczy, mój drogi, że jeśli zechce pan nadal upierać się przy przemocy, to ja zdejmę panu cynowe kapturki bez miejscowego znieczulenia, a i oba mosty założę.

Wówczas sam w sobie liberalny i tylko na niby radykalny profesor gimnazjalny kapituluje (moja 12a z dezaprobatą syczy pod moim adresem) i prosi swojego dentystę, żeby ten nie brał dosłownie uprzątających buldożerów, lecz potraktował wspomniane, same w sobie pożyteczne (powiedziałem „afirmujące życie”) pojazdy jako przenośnię – Oczywiście nie chcę żadnego obrazoburstwa i niszczącego wszystko anarchizmu.

–Więc pan odwołuje?

–Odwołuję

(Natychmiast po mojej kapitulacji gabinet pozbył się samoczynnie zdezelowanych dóbr konsumpcyjnych i wszystkich zbędnych postaci, jakie wyrzygała zamrażarka) Sarkając wynosi się 12a. Szydercze pożegnanie mojej narzeczonej – I komuś takiemu wolno uczyć! – (Również polskie, nadziewane bylicą, naturalnie karmione gęsi opuściły gabinet). Jest na powrót czworokątny, pięć na siedem, przy trzech trzydziestu wysokości. Całe wyposażenie dentystyczne stoi lub leży na swoim miejscu pacjent na fotelu Rittera pomiędzy lekarzem a jego pomocą może opuścić ekran, na którym zaraz po opróżnieniu znów reklamuje się dobra konsumpcyjne, komplety wypoczynkowe, wirówki do bielizny, sprzęt kempingowy, a także – pomiędzy reklamą kas mieszkaniowych i proszków do prania – zamrażarki, w których przykryta owocami cynadrami cielecymi potrawami gotowymi leży była narzeczoną profesora gimnazjalnego i wypuszcza słowne baloniki – Ty supertchórze.

Kiedy dentysta chce zrobić pierwszy zastrzyk na dole po lewej, a obraz telewizyjny obstaje przy zamrażarce i prowokacyjnie często powtarza jej zawartość, pacjent, nie wstając z fotela Rittera, próbuje jeszcze raz rozpocząć prace przy uprzążeniu – Buldożery – mówi – kilka tysięcy buldożerów powinno zepchnąć cały chłam, usunąć z pola widzenia.

Lecz gwałtowne słowa już nie chcą skutkować. Co prawda czyjaś telegeniczna dłoń przesuwa zamrażarkę poza granice obrazu, ale żadne buldożery nie chcą pojawić się z lewej i z prawej, by z rozmachem ożywić tło, potem obsadzić środkowy plan i przystąpić do wielkiej przemiany naszej rzeczywistości. Ekran nie ma nic do zaoferowania. (Moja 12a odmówiła występu). Mleczne połyskiwanie Niczejąca nicość – Widzi pan coś? – brzmi pytanie dentysty, który wazy zastrzyk w dłoni.

–Nic nie widzę – odpowiada pacjent – Wobec tego zrobimy tak, jak gdyby pan ponownie nie opowiedział się lekkomyślnie za przemocą W rzeczy samej bieżący program rozstroił pan do cna Będziemy musieli zrezygnować z berlińskiego wieczornego dziennika W zastępstwie przejdę na obraz z podglądu Lepsze to niż nic.

Wielka zgoda mając po bokach asystentkę i lekarza pacjent widzi ze swego fotela Rittera, jak ona szykuje dłoń do leworęcznego trójpalcego chwytu i pomaga jemu, pacjentowi, przed ekranem i na ekranie, rozdziawić gębę jej palec środkowy spycha język w tył, palec serdeczny blokuje żuchwę, a palec wskazujący przyciska ligninę do dziąsła. Lekarz, zarówno tu jak i tam, przystępuje do pierwszego zastrzyku w żuchwę.

Dźwięk jest znakomity równocześnie w gabinecie i na ekranie mówi się ściszym tonem – Zaczynamy miejscowe znieczulenie i blokujemy nerw u wejścia.

(Widziałem, jak trudno mu przychodziło zrobienie zastrzyku).

–Pańskie dziąsła są, jak może pan sobie wyobrazić, dosyć nadszarpnięte po poprzednich

wstrzyknięciach.

Kamera – gdzieś przecież musi być kamera! – podjeżdża teraz bardzo blisko do dźwala pacjenta trójpalcy chwyt i igła szukająca strzykawki w rozdziawionej gębie wypełniają obraz. Teraz lekarz znalazł jeszcze nie nakłuwane miejsce przecucie dopędza teraźniejszość. Zbawcze uklucie dosięga mnie (dosięgnęło mnie) na obrazie i w rzeczywistości. Taktaktak.

–A pamięta pan, co teraz nastąpi?

Ukryta kamera porzuca podniesiony do rangi mitologicznego krajobrazu wycinek i znowu pokazuje pacjenta na fotelu Rittera, między lekarzem a jego pomocą.

–Teraz nastąpi miejscowe znieczulenie.

–Dobra nasza Dobra Wobec tego jesteśmy na bieżąco.

–Niech pan powie, doktorciu, te pozostałe zastrzyki to przecież nic nowego. Moglibyśmy oszczędzić sobie pańskiego tonu, nie tylko na obrazie.

–Jeśli dobrze pana rozumiem, chce pan dalej ciągnąć swoją grę wojenną.

–Moja narzeczona, Sieglinda Krings.

–Czy nie byłoby lepiej, gdyby pan zafundował swojemu Kringsowi krnąbrnego syna.

–Proszę, żadnych rad, doktorciu.

–Jak tylko pan sobie życzy

–Ja nie powiem ani słowa o buldożerach, a pan już nigdy nie będzie usiłował wmówić Kringsowi syna.

–Zgoda, przy świadkach.

(Chociaż, jak było widać na obrazie, bez podania rąk).

–Mógłbym panu sportretować Linde uparta kozica, która na stromych stokach znajduje oparcie. Jej plan wymaga ofiar. Rzuca studia medyczne. (Właściwie chciała być pediatrą). A później musi także spławić narzeczonego. Nowa materia bierze Linde w posiadanie. (Mnie wolno zaopatrywać ją w tomiska poświęcone strategii i taktyce) Tak trzeba ją pokazywać pochyloną nad dziennikami wojennymi, dziejami różnych dywizji, fotokopiami dawnych tajemnic wojskowych, nad mapami topograficznymi. Zaszytą w swoim pokoju, który coraz bardziej traci wszelkie dziewczęce atrybuty i przypomina wkrótce Sparte ojca. Czasami samotną w Szarym Parku. Często wyczerpaną albo przytłoczoną faktami i sprzecznymi danymi. Dopiero co Linda dowiedziała się – wiemy już jak – od zakładowego elektryka Schlottaua, że jej ojciec zamierza stoczyć jeszcze raz bitwę pancerną pod

Kurskiem – i wygrać Krings czuje się zmuszony również uprawiać szpiegostwo i zwerbować przyszłego zięcia (I ja dostarczałem mu, co wiedziałem, bo co mnie to wszystko obchodziło). Rodzina podejmuje ofensywne ruchy feldmarszałek i jego córka wykorzystują obustronnie również ciotkę Lindy, żeby podrzucać przeciwnikowi fałszywe informacje. Przesuwa się figury zgodnie z wymogami gry wojennej. Podstępny. Aluzje przy kolacji. Ja mogę się utrzymać tylko w roli podwójnego agenta i informuję także Linde. Nie bez rekompensaty (Robiłem to jak Schlottau. A ściśle biorąc ona zrobiła ze mnie Schlottaui i dopuszczała do siebie tylko wtedy, kiedy wiedziałem więcej od niego). Czasami kupuję sobie jego informacje Jak przecież i Krings kupuje mnie. Tylko ciotka Matylda dostarcza za darmo i niewiele rozumie. Sieglinda Krings bywa regularnie w archiwum wojskowym w Koblencji. Listy polecane dochodzą do rąk własnych panny Sieglindy Krings. Tak nazywa się ona nie tylko z metryki, tak nazwano też pod koniec czterdziestego czwartego atak odciążający na froncie narewskim operacja Sieglinda. Co prawda później sukces małej ofensywy przypisano generałowi pułkownikowi Fnessnerowi, po którym Krings objął grupę armii Północ, ale to nie przeszkodziło Kringsowi, po odbiciu Lubania, nazwać utrzymywany za cenę krwawych strat rygiel „pozycją Sieglinda”. (Już w tundrze próbował odznaczyć swoją powoli zamarzającą szóstą dywizję górską runą zwycięstwa jako „dywizję Sieglinda”, ale dowództwo armii odrzuciło wniosek). Późne zadośćuczynienie oferuje stół plastyczny bitwę pod Kurskiem, która pod kryptonimem „Cytadela” latem czterdziestego trzeciego przyniosła przegraną Modelowi, Mansteinowi i Klugemu, Krings wygrywa jako „kampanię Sieglinda”, ponieważ jego córka nie dysponuje planami sowieckich pól minowych.

–Daj sobie spokój, Linda. Nic z tego nie wyjdzie. To nie jest polowanie na bekasy, to pogoń za urojeniami. Zadaj sobie raz pytanie, nie, kolejno sto trzy razy co to jest feldmarszałek? Albo mów jak najszybciej feldmarszałek feldmarszałek feldmarszałek feldmarszałek. Pozostaje tekturowa okładka. Takie słowo jak wulkanit. A wulkanit bądź co bądź coś przecież znaczy, podczas gdy słowo feldmarszałek.

Ona na Korrelebergu ucina moje objaśnienie feldmarszałka samego w sobie – Skończyłeś? Feldmarszałek jest za każdym razem inny. Ten tutaj nie chce uznać się za pokonanego.

–A ja ci udowodnię, że po tym feldmarszałku nie pozostało nic prócz kosztów sądowych. Powiedz mu, żeby opróżnił barak. Magazyn jest potrzebny. Niechże spíše swoje wspomnienia. Teraz nareszcie wiem, co to jest feldmarszałek ktoś, kto po urozmaiconym, śmierć niosącym życiu spisuje swoje wspomnienia. Pięknie Niech sobie zwycięża – we wspomnieniach.

Ja mówię w stronę jeziora Laach. Ona mówi w stronę Niedermendig (Przy tym właściwie pasowaliśmy do siebie. Ona potrafiła być zupełnie inna. Prawdziwie rozhukana, nie taka spięta. Lubiła też dobrze zjeść. Potrafiła nawet być sentymentalna rozczytywała się w odcinkowych powieściach. I kino najchętniej miłosna cklizna. Stewart Cranger to był jej typ. Przy tym niegłupia. Politycznie byliśmy na tej samej fali. Podzielała moje zdanie, że ludzkość jest terroryzowana przez nadprodukcję i przymus konsumpcyjny). Tego, co dzisiaj głosi moja uczennica Wero Lewand jako starościna 12a, moja narzeczona domagała się już

przeszło dziesięć lat temu – niech pan posłucha, doktorciu! – na Korrelebergu – Cały ten chłam i nadmiar powinno dziesięć tysięcy nieokiełznanych, rozwalających wszystko buldożerów.

Podstęp, żeby przez osoby trzecie proklamować początek radykalnych przemian, nie wypalił Gdy próbowałem złagodzić ton – „Przed pierwszą wojną światową Krings chciał właściwie zostać nauczycielem” – mój obłoczek pozostał bezdźwięczny Co prawda utrzymywał się obraz z podglądu. Co prawda bulgotał mój słowny balonik, ale wymieciony do czysta nic już nie mówił. Wypełnił się jego słowny balonik – Niech pan posłucha, mój drogi. Aplikując panu cztery wstrzyknięcia wysłuchałem tego wszystkiego bez sprzeciwu. W końcu pozostawiłem do pańskiego uznania oddawanie się w trakcie zabiegu najdowolniejszym fikcjom. Ale teraz miarka się przebrała. Wezwania do przemocy, nawet jeśli zostały włożone w usta pańskiej byłej narzeczonej czy małoletniej uczennicy, znajdują we mnie nieubłaganego przeciwnika. Owoców małego, częstego nawet śmiesznie małego postępu, a więc także mojego gabinetu, który został wyposażony w duchu stomatologu zapobiegawczej, nie pozwolę sobie zniszczyć tylko dlatego, że rzuciła pana narzeczone, że jest pan przegrany, nieudacznikiem, który chciałby teraz przypisać światu, przy pomocy swoich cudaczkich fikcji, ogólną nieudacznność, aby móc go zgodnie z prawem unicestwić. Ja pana znam. Wystarczy próbka kamienia nazębnego. Już przy rentgenie przeczuwałem oto ktoś tutaj chce, po raz kolejny, przewartościowania wszystkich wartości. Oto ktoś tutaj chce, po raz kolejny, wznieść się ponad człowieka. Oto po raz kolejny ktoś chce tutaj mierzyć absolutną calówką. Co prawda pozuje na nowoczesność. Nie ma zamiaru odkurzać przeżytego nadczołowieka, unika zręcznie domagania się nowego, socjalistycznego człowieka, ale jego znudzenie, jego ziewanie na widok nieznaczących, lecz bądź co bądź pożytecznych ulepszeń, jego chęć przecinania węzłów szybkim, a przecież zadany na oślepie ciosem, jego lubieżne pragnienie możliwie jak najokazalszej zagłady, jego staroświecka wrogość wobec cywilizacji, która, przystrojona w postępowe szaty, chciałaby powrócić w czasy filmu niemego, jego niezdolność do cichej i pilnej pracy dla dobra ludzi, jego pedagogika, która jest bezwarunkowo gotowa zamienić nicość na utopię, a taką mrzonkę na dudniącą nicość, jego ciągły niepokój, jego kapryśny mózdek, jego złośliwa uciecha, kiedy coś się nie udaje, i jego powtarzające się nawoływania do przemocy zdradzają go Buldożery! Buldożery! Ani słowa więcej. Jazda do poczekalni Dopiero gdy znieczulenie w pełni zadziała, porozmawiamy znowu.

(Gestykulowałem Jego bawiło pozostawianie mojego słownego balonika bez zawartości. Tak obrabiał swojego pacjenta, aby móc go splawić. Ale ja za nic nie chciałem wracać do szumów fontanny i do ilustrowanych magazynów „Stern” „Quick” „Bunte” „Neue”. Nigdy więcej nie chciałem czytać, co sobie przypominał mój dawny reichsjugendführer, a czego nie Wielka Odmowa powinna się rozpocząć w każdym miejscu, więc czemu nie na fotelu Rittersa Zastygam w nieporuszone Nie Niech on sobie wzywa policję! Ale dentysta ukarał pacjenta okazaniem tolerancji i małym palcem przywrócił mu dźwięk).

Dentysta – Chciał pan coś powiedzieć?

Pacjent – Boję się poczekalni.

Dentysta – Czy nie jest to raczej strach przed pańskim uciekaniem w coraz to nowe fikcje?

Pacjent – Pan mnie źle ocenia. Moja wyrażana niekiedy, choć tylko w słowach, potrzeba obalenia istniejących porządków ma swoje źródło w przeszłości.

Dentysta – Którą ma pan prawo uznać za znaną jako siedemnastolatek, na krótko przed końcem wojny, przewodził pan jednej z powstających wtedy jak grzyby po deszczu band młodzieżowych.

Pacjent – Byliśmy przeciwko wszystkim i wszystkiemu!

Dentysta – Ale dzisiaj, jako czterdziestoletni profesor gimnazjalny.

Pacjent – Moja 12a przechodzi obecnie podobny proces rozjaśniania w głowach. Ciągły dialog z moim uczniem Scherbaumem musi dotyczyć również tematu przemocy.

Dentysta – Przy całej opiekuńczości ostrzegam pana.

Pacjent – Dlatego proszę mi uwierzyć, że moi uczniowie i ja widzimy w przewrocie jedynie wstępny warunek większego i to pedagogicznego porządku. Po stosunkowo krótkim okresie przemocy.

Dentysta – Chyba jednak będę musiał upierać się przy tym, żeby pan w poczekalni nabrał pewnego dystansu.

Pacjent – Proszę, nie!

Dentysta – Pan mi bardzo utrudnia opiekę.

Pacjent – W gruncie rzeczy jestem zwolennikiem pokojowej ewolucji, aczkolwiek wiara w postęp przychodzi mi z trudem.

Dentysta – Pan korzysta z postępu!

Pacjent – Chętnie się z tym zgodzę, jeśli tylko nie będę musiał iść do poczekalni.

Dentysta – Protetyka ma za sobą lata rozwoju, który byłbym skłonny nazwać – choć nie w pańskim, przestarzałym znaczeniu tego słowa – rewolucyjnym.

Pacjent – Zgoda Jeśli tylko nie będę musiał...

Dentysta – Więc niech już pan zostanie.

Pacjent – Dzięki, doktorciu.

Dentysta – Ale dźwięk trzeba będzie znowu wyłączyć, żeby pan nie zaczął ponownie bawić się tym głupim słowem.

(Siedziałem oniemiały na fotelu Rittera i widziałem siebie oniemiałego na fotelu Rittera Co prawda sądziłem, że przewodowe i miejscowe znieczulenie mojej żuchwy spowodowało opuchnięcie języka i obu policzków, wydőto wargi i nadało mi nabrzmiały wygląd, ale ekran wiedział lepiej nic nie nabrzmiało, nie miałem spuchniętego policzka, a i język – pokazałem go sobie – pozostał wąski, długi, ruchliwy, ciekawy i czuły Wysuwanie języka. To, co moja uczennica Wero Lewand potrafiła zrobić mając siedemnaście lat, udało się i mnie z czterdziestką na karku. Mój język wabił. Przyjdź, Linda. Przyjdź.)

W modnym żakiecie, z szopą włosów na głowie akcentowała odpowiednie miejsca – Drodzy miłośnicy teleturniejowi. W naszym dzisiejszym programie, „Czy wiemy, że“, chodzi o bitwy, które wpłynęły na los Niemiec, Europy, ba, całego świata

Jej poważny głos przeszedł raptem w wesołe rejestry – I oto mogę zacząć przedstawiać naszych gości. Tym razem reprezentują oni jedno z berlińskich gimnazjów. Zatrważająco młoda dama panna Weronika Lewand.

Przejście na aplauz publiczności siedziały tam jedenaste, dwunaste i trzynaste klasy naszego gimnazjum, a w pierwszych dwóch rzędach siedział komitet rodzicielski i grono nauczycielskie.

–Zatem, panno Lewand – wolno mi chyba nazywać panią Wero – czemu interesuje się pani historią?

–Uważam, że dla kształtowania naszej świadomości historia jest ogromnie ważna, zwłaszcza jeśli chodzi o naszą najświeższą przeszłość. Mój przyjaciel myśli tak samo.

–I tak to, drodzy miłośnicy teleturniejów, przedstawiam wam przyjaciela Wero, młodego Filipa Scherbauma, zwanego przez kolegów krótko Flipem. Ile ma pan lat, Flip?

Odpowiedź Scherbauma – Siedemnaście i pół – utonęła w śmiechu Poufałe zdrobnienie „Flip” wywołało nastrój, który Linda natychmiast ostudziła – A kto zbudził w panu zainteresowanie historią?

–To było zawsze moje hobby Ale nasz nauczyciel historii, profesor Starusch

–A więc to był nauczyciel A teraz strona przeciwna. Jeden jedyny pan. Witam byłego feldmarszałka Ferdynanda Kringsa.

Po grzecznościowych oklaskach na powitanie Linda odrzuciła marszałkowską rangę – Proszę pana, pod koniec wojny dowodził pan grupą armii Środek.

–Tak jest. Udało mi się zatrzymać front na Odrze. Koniew, mój ówczesny przeciwnik,

powiedział. Gdyby nie Krings, przebilibyśmy się do Renu.

–Jesteśmy już w ogniu walk i tym samym przy moim pierwszym pytaniu Cofnijmy się o dwa tysiąclecia. Po jakiej bitwie Cezar znajduje listy przeciwnika i co z nimi robi? No, Flip? Trzydzieści sekund.

–Chodzi o bitwę pod Lansą w Tesahi Cezar zwycięża Pompejusza, znajduje listy w jego obozie i pali je nie czytając.

–A może pan Krings będzie mógł nam powiedzieć, kto nas poinformował o tym szlachetnym postępku?

Odpowiedź byłego feldmarszałka – U Seneki znajdujemy krótką wzmiankę na ten temat – spotyka się z takim samym aplauzem jak replika Scherbauma. Linda zapisała punkty – A teraz co do właściwej bitwy. W jakim szyku, panno Lewand, ustawił się Cezar? Trzydzieści sekund.

Moja narzeczona – znakomicie usposobiona – zręcznym słowem wiążącym prowadziła od bitwy do bitwy. Przyznaję, że trafna odpowiedź mojego Filipa wbiła mnie w dumę. (Dlaczego tu jest otwarty, a na lekcjach niechętny – Co nas obchodzą pańscy Clausewitze Ludendorffy Schörnery?). To fantastyczne, jaki był rzeczowy. Kilkakrotnie kusiło mnie, żeby przeszkodzić mojemu dentyście w wypełnianiu kartoteki. Niech pan popatrzy, doktorciu! Mój uczeń Bije Kringsa jego relacja na temat warunków atmosferycznych w czasie bitwy pod Königgrätz odebrała staremu mowę ale pozbawiony dźwięku opanowałem się, zwłaszcza że Scherbaum stracił sporo punktów, gdy moja narzeczona zapytała o dwunastą bitwę nad Isonzo. Krings opisał szczegółowo każdą fazę szturm na wzgórze 1114. Publiczność. – nawet Irmgarda Seifert klaskała powściągliwie -zdecydowała się na uczciwe brawa. Rachmistrze wyjąkali punktację było dwadzieścia cztery do dwudziestu jeden dla byłego feldmarszałka.

Moja narzeczona zaczęła dowcipnie – Istnieje silne zwierzę, które dzisiaj spotykamy już tylko w zoo albo w rezerwatach, ponieważ jednak zebraliśmy się nie z powodu teleturnieju o zwierzętach, zdradzę tajemnicę chodzi o bawoła. I jakie to ruchy wojsk odbyły się pod kryptonimem tego zwierzęcia w marcu czterdziestego trzeciego?

Krings uśmiechnął się w poczuciu głęboko ugruntowanej wiedzy

–Chodzi o wycofanie dziewiątej armii i połowy czwartej armii z wysuniętej naprzód bazy wypadowej Rzew – Dodatkowe pytanie Lindy zdradzało jej wątpliwości – W związku z operacją Bizon feldmarszałek mówił o bazie wypadowej, jak pan ocenia Rzew, Filip?

–Nawet określenie „Rzew, filar frontu wschodniego” uważam za przesadzone. Rzew, podobnie jak Demiansk, był stale narażony na niebezpieczeństwo odcięcia i jeśli Zeitzler, wówczas szef sztabu generalnego.

Krings naruszając reguły gry zerwał się z miejsca i częściowo wypadł poza ramy obrazu – Ten przeklęty lawirant i dekownik! Zeitzler, Model, wszystko zdrajcy! Zdegradować i na front! Nigdy nie powinniśmy byli opuszczać przyczółka na Wołdze a ja bym wszystkie rezerwy, jakie miało się do dyspozycji.

Podziwiałem elegancję, z jaką moja narzeczona powstrzymała poczynającego sobie ofensywnie feldmarszałka i uspokoiła syczącą w młodzieżowym stylu publiczność.

W trakcie następującej teraz rundy pytań Wero Lewand wykazała, że Krings zamierzał operować dywizjami, których liczebność stopniała do siły batalionu lub które w czasie Kringsowej ofensywy nie były gotowe do walki – Pan operuje błędnymi danymi!

A Scherbaum powiedział – Nie wziął pan pod uwagę odwilży, która wystąpiła już w połowie lutego, a poza tym skierował pan na front dywizję połową lotnictwa, która w lasach na wschód od Syczewki zajęta była walką z partyzantami.

Gdy moja uczennica oznajmiła, że droga Wiazma-Rzew została przerwana już 2 marca, prowadząca teleturniej Linda przesądzającym gestem licytatora uznała, że Kringsowa ofensywa załamała się przynosząc duże straty – Oto obliczony tymczasem końcowy rezultat. Nasi gimnazjaliści zwyciężają jednoznacznie. Gratuluję!

Naturalnie cieszyłem się z dobrego wyniku Scherbauma. W nagrodę przypadła jemu i jego przyjaciółce podróż statkiem po Renie łącznie ze zwiedzaniem archiwum wojskowego w Koblencji. Linda uśmiechnęła się półgębkiem – Ale nie zapominajmy o drugim zwycięzcy – Z pokrzepiającymi słowami – To wszystko to już bardzo dawne dzieje, panie feldmarszałku – wręczyła Kringsowi jako nagrodę pocieszenia wydane na cienkim papierze „Listy do Lucyliusza”. On nie otwierając książki zaraz zacytował, a kamerzyści byli na tyle uprzejmi, że dopiero po jego cytacie – „Wkraczamy w życie bez widoków na łaskę” – zakończyli teleturniej ściemnieniem.

Ach, jaki byłem rozczarowany, że znów muszę oglądać tylko siebie na fotelu Rittera. Nie podobały mi się nawet moje grymasy, poddane znieczuleniu i poza kontrolą przerwa w programie. Na dworze nawet śnieg nie padał. Za plecami słyszałem pismo mojego dentysty spieszące po kartach z kartoteki. Jego pomocnica podawała mu półgłosem liczby, wyniki i stomatologiczne formułki. Dość miałem swojego widoku. (- Doktorciu, drogi doktorciu, czy nie jest tak, że kapitalistyczny system gospodarczy nieuchronnie). Ale w gabinecie, siedem na pięć, przy trzech trzydziestu wysokości, jak i na ekranie mój słowny balonik pozostawał pusty. (Mógłbym zaryzykować słówko buldożery). Zamiast tego gadanie na moich tyłach – autentyczny zgryz głęboki w położeniu środkowym aktywizacja skośnej płaszczyzny przez oszlifowanie powierzchni zwarcia ekstrakcja górnych czwórek zgryz otwarty przedni zgryz krzyżowy boczny podniebienna niedomykalność autentyczna progenia – Przy tym była to pora Piaskowego Dziadka. Rozżalenie uderzało zawsze ten sam akord (Samotny pacjent usiłował uronić dwie łzy przeciwko bezruchowi). Ale ekran pozwalał mi tylko mrugać. Zaryzykowałem więc jeszcze raz próbę z językiem, pokazałem sobie i wszystkim

zmęczonym dzieciaczkom mojego znieczulonego klucha, który jednak na mlecznie niebiańskiej wypukłości nadal potrafił robić wdzięczne wygibasy i odgrywał wabika Przyjdz, Linda Przyjdz.

I przyszła w prostej bluzce, w kryształowej kuli Brauna stworzyła siebie jako bajarkę, miłym głosem rozpuszczała to, co zamrożone, i zastępowała mi Piaskowego Dziadka – Był sobie kiedyś król, który miał córkę i robił dla niej wszystko, żeby sprawić jej przyjemność. Zaczął więc wojnę ze swymi siedmioma sąsiadami, których równiutko obcięte języki chciał ofiarować córce na urodziny. Ale jego generałowie robili wszystko na opak i tak długo przegrywali bitwę za bitwą, aż król przegrał wojnę z siedmioma sąsiadami. Zmęczony, smutny, w podartych butach i bez obiecanego prezentu urodzinowego wrócił do domu. Ponuro zasiadł nad szklanką wina i tak długo patrzył ponuro, aż wino szerniało i skwaśniało. Choć córka starała się go pocieszyć na wszystkie sposoby – Ależ, tato, to nic nie szkodzi. Także bez siedmiu języków jestem szczęśliwa i zadowolona- nic nie mogło rozweselić sponurzałego króla. Gdy minął rok, ustawił kilka pudełek ołowianych żołnierzy – bo jego prawdziwi żołnierze przecież wszyscy zginęli – w piaskownicy, którą kazał zbudować za duże pieniądze, i wygrywał z nimi wszystkie bitwy, które przegrali jego generałowie. Gdy król po każdym zwycięstwie w piaskownicy zawsze śmiał się trochę głośniej, jego córka, zwykle wesółą i łagodną, smutniała i była też trochę zła na ojca. Zrobiła buzię w ciup, odłożyła robótkę i powiedziała. Ta twoja wojna w piaskownicy jest nudna, bo nie masz prawdziwego przeciwnika. Pozwól mi zagrać siedmiu sąsiadów. Ostatecznie obiecałeś mi na urodziny siedem ich równiutko obciętych języków Jakże król mógłby powiedzieć „nie”? Musiał jeszcze raz stoczyć wszystkie bitwy, ale córka za każdym razem go zwyciężała Wtedy król zapłakał i powiedział Ach, jak źle prowadziłem tę wojnę Jestem jeszcze bardziej bezużyteczny niż moi generałowie. Chcę już tylko patrzeć w szklankę, aż wino szernieje. Wtedy córka, która jeszcze dopiero co była trochę zła, stała się na powrót wesółą i łagodną. Pocieszała ojca, odstawiła szklankę wina poza jego ponure spojrzenie i powiedziała. Niech inni królowie prowadzą wojny, ja wolę wyjść na męża i mieć siedmiu dzieciaków. Na szczęście koło zamku, w którym stała droga piaskownica, przechodził młody nauczyciel, któremu spodobała się córka króla, bądź co bądź prawdziwa księżniczka. Poślubił ją więc w tydzień później. A król z drzewa po piaskownicy kazał dla obojga zbudować piękną szkołę. Wtedy cieszyły się dzieci zabitych żołnierzy. A i siódemka sąsiadów była rada Bo od tego czasu nie musiała już nigdy bać się o swoje wesółe czerwone języki.

(i jeśli nauczyciel nie udusił córki króla łańcuchem od roweru lub podobnymi pomysłami, to żyje ona do dziś).

Ledwie odwołała godzinę bajek i dzieciom przed telewizorami życzyła dobrej nocy, ledwie znów odkryłem siebie na ekranie, ona w pokoju jak i na obrazie – pojawiła się ponownie. To ona stwierdziła krótko – Znieczulenie działa już w pełni – To ona wyuczonym trójpalczym chwytem nakazała rozdziawienie gęby. To ona zawiesiła mi ślinociąg nad zdrętwiałą dolną wargą. A on, wróciwszy od swojej kartoteki, wydał mi się, czy to zerkaniem w lewo i w prawo, czy też zapytywałem ekran, jakiś obcy i zarazem znajomy. (Znasz przecież ten koźli

zapach) – Doktorciu, czy to naprawdę pan? – Odnosili się do siebie z podejrzaną zażyłością. (Czy przed chwilą nie zwracał się do niej na ty, zanim pstryknięciem poprosił o pincetę?). Rejestrowałem spojrzenia między tą szemraną parą, na jakie mój dentysta i jego powściągliwa pomoc nigdy by sobie nie pozwolili (Lubieżne poufałości. Teraz uszczypnął ją w tyłek) – Dlaczego pan nie interweniuje, doktorciu! – Nic się nie pokazało i nie chciało wypełnić się moim protestem Wobec tego spróbowałem wprost – Wie pan co, Schlottau, skoro już pan udaje dentystę, to niech mi pan przynajmniej pozwoli patrzeć w telewizor. Zaraz będzie dziennik. Chcę wiedzieć, co się dzieje w Bonn. Albo czy studenci znów.

Zwycięstwo! Jest dźwięk! (Raczej połowiczne zwycięstwo. Ekran upierał się przy obrazie z podglądu) Ale mój słowny balonik bulgotał, a i w gabinecie rozlega się to, co wypowiadam przyciszonym głosem.

–Natychmiast przestań mi się grzebać, Linda! Zrozumiano! – (Usłuchała) – A i pan, Schlottau, niech się powstrzyma od wszelkich dwuznaczności. Proszę o dziennik!

(Schlottau zareagował burkliwie – Na razie leci jeszcze reklama.

–Ale Linda wcisnęła klawisz – Niech sobie patrzy, dopóki nie ukręcimy mu tych cynowych cacuszek).

Powiedziała ukręcimy (Jeszcze dzisiaj założę się, że mówiła o ukręceniu). Zanim zdążę skorygować Linde, Schlottau rzuca na bok pincetę mojego dentysty, poza ramy obrazu, i wyciąga z kieszeni swoje narzędzie, pospolite kombinerki. Pojawia się reklama i oszczędza mi widoku skwapliwego elektryka w lekarskim fartuchu (- Jazda, chłopie, rób swoje. Już ja to wytrzymam).

Podczas gdy moje prawe oko ogarnia hydromechaniczne działanie pulsującego strumienia wody na tkanki dziąseł – (To pan, doktorciu, uprawiał reklamę na ekranie Aqua-Pik oczyszcza i ożywia!) – oko lewe obejmuje zakładowego elektryka Schlottaua, który rozżarza swoje kombinerki nad palnikiem Bunsena. Przecież chyba nie będzie chciał?

–Schlottau! Co to za głupoty?

Ona suchym chwytem wciska mnie w Rittera. To, co czuję między zębami, czuję mocno (ponieważ poza tym nie czuję nic), to jest jej prawy, spiczasty łokieć. Teraz Schlottau przykłada rozżarzone cęgi.

(Mówił pan wtedy jako spec od reklamy – Mamy tu do czynienia z precyzyjnym aparatem Aqua-Pik jest wyposażony w napędzaną elektrycznie pompę – Ale już było czuć spalenizną).

–Coś tu czuć, Schlottau! –(Tylko podniebienie, wargi, dziąsła i język były znieczulone, nie moje powonienie) – Czuć przypalonym mięsem. Czyżby pan moją obwisłą wargę swoimi rozżarzonymi szczypcami.

Ale ani śladu bólu, tylko wściekłość. On to robi umyślnie. Chce mi wypalić znak. Bo ona tego chciała. (Moja wściekłość szuka słów). Podczas gdy Aqua-Pik i mojego dentystę wypiera chleb pełnoziarnisty, czuć nadal wściekłość. Również wtedy, gdy wielka zmywarka wyręcza roześmianą panią domu, wściekłość narasta i chce rozwalać meble wbudowane w ściany. Wściekłość, która chce poprzecinać opony Dunlopa i potłuc żarówki Osrama. Wściekłość wspinająca się od gładkich i pomarszczonych skarpetek przez obie nogawki, oplatająca klejnoty rodzinne. Wściekłość bez rodzajnika. Wściekłość rozdziawiona. Przedsmak wściekłości, który zagłusza posmak wściekłości. Wściekłość, która milczy o pomstę do nieba. (Moja 12a -choć Wera Lewand bardzo się starała prowokować – nigdy nie zdołała wprowadzić mnie w taką wściekłość). Wściekłość czterdziestoletnia, wystąla, nagromadzona, wysadzająca korki. Bo to musi się wydostać. Wściekłość atramentowa. Wściekłość nie uśmierzona żadnym kolorem, w czarno-białe kreski, wielowarstwowa. Wściekłość z powodu przeciwko na wszystko. Maźnięcie wściekłości. Projekty wściekłości buldożery! Rysuję, stwarzam dziesięć tysięcy wściekłych buldożerów, które w telewizji, nie, wszędzie uprzątają, które chłam, nadmiar i komfortowy bezruch zagarniają, zgniatają, spiętrzają, wywracają i spychają z głębi przez plan środkowy w stronę ekranu i zwalają – gdzież to? – w gabinecie dentystycznym, nie, w przestrzeni samej w sobie, nie, w nicości.

Jeszcze raz mi się udało. Posłuchały Niezliczone brygady buldożerów równały z ziemią centra handlowe, hale magazynowe, składy części zamiennych, chłodnie, gdzie pociły się góry masła, skupiska zakładów produkcyjnych, brzęczące usilnie instytuty badawcze, równały z ziemią, powiadam, zespoły walcownicze i taśmy montażowe. Domy towarowe padały na kolana i podpalały się nawzajem. Unosił się nad nimi śpiew Burn, warehouse, burn – i głos mojego dentysty, który chciał mnie przekonać, że zdjął mi cynowe kapturki, że zdarzył mu się przy tym niewielki wypadek, jego rozżarzona pinceta oparzyła mnie.

–Bardzo mi przykro. Coś takiego jeszcze nigdy mi się nie przytrafiło. Ale my to maścią na oparzelinę.

Wcale mu nie było przykro. Kto tak prędko mówi o maści na oparzelinę i ma ją też pod ręką, ten nie zna litości, ten chce tego, co robi, ale ja także chciałem tego, co zrobiły buldożery. Wielkie sprzątanie udało mi się do tego stopnia, że nawet Linda i Schlottau zniknęli. Przyznaję, że byłem rad, gdy to nie tamten, lecz ten uniósł ostatni cynowy kapturek. Z chęcią pozwalałem, by zdrętwiałe palce jego asystentki rozdziawiały mi gębę. A gdy mój dentysta raz po raz przeproszał, uległem – Zdarzają się takie rzeczy, doktorciu.

Wybaczyłem mu, ale mój dentysta nie mógł znaleźć upodobania w uprzątniętym ekranie – Znow się panu udało wywołać niczejącą nicość.

–Bądź co bądź to pociągające, doktorciu, móc znowu, choćby tylko teoretycznie, zaczynać od zera.

–Zatem podoba się panu – pańska nicość?

–Na razie zrobiłem miejsce

–Przemocą, mój drogi Przemocą!

–i teraz da się coś zbudować, coś z gruntu nowego.

–A co, jeśli wolno spytać?

–Prawdziwie bezklasowe społeczeństwo, któremu życzę nadbudowy w postaci obejmującego cały świat systemu pedagogicznego, pod niejednym względem podobnego do pańskiej obejmującej cały świat opieki nad chorymi.

–Myli się pan. Obejmująca cały świat opieka nad chorymi jest rezultatem powolnych i często spóźnionych reform, nie zaś głupiej przemocy, która może stworzyć tylko nicość. Pozwoliliśmy sobie zarejestrować pański proces uprzątnia Podczas gdy moja asystentka i ja będziemy przygotowywać osadzenie obu dolnych degudentowych mostów – niech pan tylko popatrzy na tę znakomitą robotę! – zobaczy pan, jak po nicości – I z nicości – wyłania się stan jak przed nicością.

(Gdy próbowałem zapoznać go z żądaniami radykalnego skrzydła mojej 12a – kącik dla palaczy, współdecydowanie uczniów, możliwość odwoływania reakcyjnych pedagogów przez radę uczniowską – on zamęczał mnie relacjami na temat klinicznych doświadczeń z cementem dentystycznym EBA nr 2, który miał dać trwałe oparcie moim degudentowym mostom) – Jako że EBA nr 2 nie powstał z nicości, lecz może być uznany za rezultat wielu, często nieudanych serii doświadczeń, mamy podstawy ufać mu, zwłaszcza że EBA nr 2 dzięki domieszce kwarcu izoluje nawet od lodowatej wody, czego nie da się powiedzieć o każdym cemencie dentystycznym, jaki trafia na rynek. Ale pan ma ewolucję za nic. Chce pan samowładnie stwarzać. Zaczynać od zera. Po prostu śmieszne. Ale proszę bardzo Zobaczymy, co panu przyjdzie do głowy w związku z nicością.

Zbył mnie podstępem. Nicość puszczona wstecz stawała się rajem konsumentów. Wypalone domy towarowe (Burn, warehouse, burn) znów płonęły. Ogień ustawał i pozostawiał przepelnione domy towarowe. Moje buldożery, jeszcze niedawno pilnie równające z ziemią zakłady produkcyjne i maślane silosy, poruszając się rakiem pracowały przy odbudowie. One, takie zręczne w zgniataniu i wywracaniu, podnosiły i rozprostowywały. Specjaliści od burzenia przeobrażali się w mistrzowskich odnowicieli. Rozwalone meblościanki, wypatroszone komplety wypoczynkowe, zgniecione dodatkowe samochody i potrzaskane żarówki Osrama na powrót zbierały się w sobie, mościły, odzyskiwały kształty i świeciły Również zamrażarka odnajdywała swych zasiedziałych sublokatorów. (Na samym dole zachowywała świeżość moja narzeczona) Reklamowe pochwały leciały zarówno do przodu, jak i w tył. I gdy chleb pełnoziarnisty zachwalał swoje przymioty, ja już cieszyłem się na Aqua-Pik – Skończyć z reakcyjnymi szczoteczkami do zębów. Pozbyć się wreszcie pasożytniczych nosicieli zarazkowi. Kończymy erę szczoteczek i proklamujemy rewolucyjną epokę pielęgnowania zębów pulsującymi strumieniami wodnymi.

Zaczynają się nowe, bezklasowe czasy. Bo Aqua-Pik jest dla każdego i nadaje się także do użytku w gabinetach dentystycznych.

Już mój dentysta trzymał poręcznie kształtny aparat – I tym dobroczynnym darem dla ludzkości jeszcze raz, póki nasz cement dentystyczny jest mieszany na ochłodzonej szklanej płycie, porządnie oczyszczę Bo Aqua-Pik dociera do każdej luki, rowka i kieszonki.

Oczyszczał i jednocześnie leczył Potem osuszył ciepłym powietrzem i najpierw na dole po lewej, potem na dole po prawej osadził drogie degudentowe mosty.

–Jeśli to nie jest zysk cztery zęby oszlifowane na filary, a teraz montujemy sześć nowych.

Podczas gdy ja pragnąłem znaleźć się na Hohenzollerndamm, on nazywał swoje degudentowe mosty „postępowymi” i mówił o konwencjonalnych „koronach żakietowych”.

–Wie pan w ogóle, dlaczego się tak nazywają?

Teraz przemawiałem już do Scherbauma – Czy to zupełnie pana nie pociąga zostać naczelnym redaktorem i postawić na nogi podupadłą uczniowską gazetę?

–Oszlifowuje się stopień porównywalny do ramienia, na którym opiera się żakiet

–Przecież to jest zadanie, Filip!

–Lecz skrajnym obciążeniom korony żakietowe nie sprostają.

–Mógłby pan opublikować swoje propozycje zastąpienia lekcji religii nauczaniem filozofii.

–Na przykład jesienią Lubi pan jeść dzikie kaczkę, kuropatwy, podróbki zajęcze? No właśnie. Wystarczy nagryźć ziarnko śrutu i porcelana odpryśnie.

Ale Scherbaum się wykręca. Ma inne plany. Nie może jeszcze o nich mówić. (- Są zamrożone). Mój uczeń zostawił mnie u dentysty.

–Natomiast przy naszych degudentowych mostach nie ma niebezpieczeństwa odpryśnięcia, ponieważ porcelana łączy się z platynozłotem za pośrednictwem tlenku. Jako że chodzi tu o stop specjalny, Degussa trzyma język za zębami wielka tajemnica! No to włączymy obraz z podglądu. Ale niech pan będzie ostrożny w doborze słów Świeżo założone mosty mogą uciepieć. Musielibyśmy jeszcze raz – jak pan mówi – zaczynać od zera No? Widzi pan? Coś wspaniałego, może nie?

Owszem, owszem. Jak to lśni i budzi głód. I jak on uzyskał ten odcień, tę żółtawą biel przechodzącą w szarość Artysta! Są prawdziwsze od prawdziwych (- Jak pan uważa, Scherbaum? Opłaciło się? A może powinienem pewne pojazdy gąsienicowe i ładowarki szuflowe) – Nic nie powiedziałem, doktorciu Nic!

(Teraz dopiero zobaczyłem, pod szklistą warstwą maści na oparzelinę, wypalone duże L na mojej dolnej wardze. Chciał mnie naznaczyć. Byłem już naznaczony Och Lindahndalindalmda).

–Wytrzymał pan jak stoik.

Jego pomoc bez zwłoki podała mi dwa arantile.

–Zrobimy teraz tydzień przerwy, a potem zatroszczymy się o górną szczękę.

Pokusa polizania maści na oparzelinę – Byłoby mi bardzo na rękę, gdybyśmy mogli przedłużyć przerwę do dwóch tygodni.

Czekano, że sobie pójdę.

–Za dwa tygodnie są jeszcze wolne terminy.

–Muszę zatroszczyć się o moją 12a. Martwi mnie szczególnie jeden uczeń.

–Niech pan zadzwoni, jakby coś było. Pańskie dość sfatygowane dziąsła mają skłonność do zapaleń.

–Scherbaum powinien objąć uczniowską gazetę, ale na razie się wzbrania.

–Zapisałem maść na oparzelinę. A również to, co zawsze.

–Przy tym Scherbaum jest zdolny. Coś tam planuje.

–Z podwójnym opakowaniem da się chyba przetrwać tę przerwę... Wyszedłem. A odwracając się jeszcze w drzwiach, żeby po raz ostatni podrażnić go przywołaniem radykalnych buldożerów, zobaczyłem, że na ekranie odwróciłem się wychodząc, żeby coś powiedzieć: nie mówię nic i wychodzę.

Kiedy profesor gimnazjalny Eberhard Starusch musiał pójść do dentysty, został poddany leczeniu, które objęło zarówno dolną, jak i górną szczękę i miało mu poprawić zgryz.

Po uporaniu się z dolną szczęką dentysta i profesor uzgodnili dwutygodniową przerwę, i ze słowem „przerwa” na obrzmiałym języku profesor opuścił gabinet dentysty przy słabnącym znieczuleniu miejscowym. Połowiczne wyzwolenie, tymczasowa próżnia, zyskanie na czasie

– Wie pan przecież, co jeszcze pana czeka Niech pan trochę odsapnie.

Kiedy profesor zbliżał się taksówką do swojej dzielnicy, obie tabletki arantilu, które zażył w gabinecie dentysty, nie zaczęły jeszcze działać. Odczuwając bóle wysiadł z taksówki i wsadził klucz do zamka drzwi sieni. Przed domem, obok sześciu razy osiem guzików dzwonka, czekał na profesora uczeń i chciał z nim porozmawiać, jak to uczniowie muszą nieraz porozmawiać ze swoim nauczycielem – Pilnie.

Profesor musiał otworzyć usta przy dwóch stopniach mrozu – Nie teraz, Scherbaum
Wracam od dentysty Czy to bardzo naglące?

Uczeń Scherbaum odpowiedział – Może zaczekać do jutra. Ale jest pilne.

Miał ze sobą psa, długowłosego jamnika. Obaj umknęli, zanim wszedłem do domu.

Uczy, chodzi na spacer, przygotowuje się, ma nadzieję na, podsumowuje, wymyśla coś innego, podaje przykład, ocenia, wychowuje.

Nauczyciel to jest ktoś. Od nauczyciela czegoś się oczekuje. Od nauczyciela oczekujemy czegoś więcej Brakuje nauczycieli Uczniowie siadają i patrzą przed siebie.

Kiedy nauczyciel musiał poddać się dentystycznemu leczeniu, powiedział swoim uczennicom i uczniom – Miejcie wzgląd na swego biednego nauczyciela Musiał oddać się w ręce zębodłuba, cierpi.

Nauczyciel sam w sobie. (Siedzi w cieplarni i poprawia wypracowania). Nauczyciel podzielony na kratki, jako nauczyciel podstawówki, nauczyciel szkoły realnej, jako profesor gimnazjalny, nauczyciel szkoły z internatem, również nauczyciel zawodu. Wychowawca albo pedagog. (Mówiąc „nauczyciel” mamy na myśli niemieckiego nauczyciela). Zamieszkuje nie wymierzona jeszcze, już w projekcie wymagającą reform, przy całej ciasnocie pomyślaną na światową skalę prowincję pedagogiczną.

Nauczyciel to jest figura. Dawniej nauczyciel to był oryginał. Także dziś jeszcze uczniowie mając na myśli nauczyciela mówią od niechcienia belfer, jak ja wobec moich uczniów mówiłem o zębodłubie, jakbym chciał nadać mojemu dentyście pozór sadysty. (Kiedy jeszcze gadaliśmy ze sobą, pozostawialiśmy belfra, zębodłuba swojemu losowi, nie przejmując się tymi uproszczonymi określeniami).

On powiedział – Istnieje naturalnie mnóstwo anegdotek, w których dentysta musi dostarczać puent jako nowoczesny oprawca. Odwieczny doktor Eisenbarth) a powiedziałem – Bez względu na to, do której szkoły czy klasy, na które szkolne podwórze chce wejść, bez względu na to, na którym zebraniu rodzicielskim musi udzielać wyjaśnień, nauczycielowi zawadza postać nauczyciela Nauczyciele mają przypominać innych nauczycieli Nie tylko takich, jakich się miało, również literackie postacie nauczycieli, na przykład doktora Windhebla, którego stworzył Kluge, czy jakąś z nauczycielskich figur u Otto Ernsta, jako że w ogóle tak zwana postać nauczyciela wyznacza miary. Nauczyciel u Jeremiasa Gotthelfa. (Wciąż jeszcze mierzą nas podług radości i cierpień wiejskiego bakałarza). Nauczyciel jako syn nauczyciela, widziany oczami Rabego w „Kronice Wróblego Zaułka”. Mówię panu, wszystkie te bakałarzyny w rodzaju Wuza, tych suchotniczych Karłów Silberloffelów, nawet Flachsmanna jako wychowawcę i pedagogiczne okruchy inspektora szkolnego Pollacka, belfra Karstena z Pustaci, także Grimmowego nauczyciela Rölkego, ach, i profesorów gimnazjalnych, o których się mówi, że jako filologowie mieli zawsze

szczególną pozycję, profesora u Wiecherta, profesora u Bindinga, wszystkich, wszystkich musimy wlec ze sobą, aby można było porównywać nas z nimi. Mój był całkiem inny. Mój przypomina mi. A mój, czytał pan kiedyś „Feldmünster”? – Dlatego mówię jak moi nauczyciele zapadli mi w pamięć i przymierzani do nauczycielskich postaci z literatury, również takich, które występują w filmie, zachowują się niemal powieściowe» – jakże mój biedny profesor Wendt miałby się równać z takim profesorem Unratem, zwłaszcza że to on przypominał Unrata, nie Unrat jego – tak i ja zapadnę w pamięć moim uczniom, porównywany z kim?

Mój dentysta zauważył, że brak mi współczesnych literackich postaci nauczycieli Niech pan się tym nie przejmuj. Dentyści też bodaj nie pojawiają się w literaturze, nawet w komediach (Chyba że w powieściach szpiegowskich mikrofilm w degudentowym moście). Nie ma z nas żadnego pożytku. Albo dzisiaj nie ma z nas żadnego pożytku. Co najwyżej przypadają nam podrzędne role. Pracujemy zbyt bezboleśnie i nie rzucamy się w oczy. Znieczulenie miejscowe nie daje nam stać się oryginałami.

Przy tym jego reformatorskie dążenia wydawały mi się nader cudaczne, tak jak on uważał moje rewolucyjne porywy za śmieszne, jeśli nie niedorzeczne Jego opieka nad chorymi na skalę światową – moja prowincja pedagogiczna na światową skalę Dwaj zaślepieni utopiści, on cudaczny, ja niedorzeczny (Czy jestem taki? Czy uczący, malutki wobec przedmiotu nauczania, dzielonego z konieczności na kawałeczki, musi wywoływać kpiny swoich uczniów?)

Moi uczniowie uśmiechają się, ledwie podam w wątpliwość szkolne podręczniki – Nie ma tu jednak sensu, jest tylko zorganizowany chaos Dlaczego pan się uśmiecha, Scherbaum?

–Bo mimo to pan uczy i mimo to – jak przypuszczam z dużą dozą pewności – w historii szuka pan sensu.

(Co mam zrobić? Wybiec z lekcji, stanąć na szkolnym podwórzu, albo wstać na najbliższym zebraniu i wołać Skończyć! Skończyć!

–Wprawdzie nie wiem, co jest właściwe, jeszcze nie wiem, co jest właściwe, ale to się musi skończyć, skończyć).

Na moich karteluszkach jest napisane. Lubię tego ucznia. On mnie niepokoi. Czego dopiero co chciał? Co może poczekać do jutra? (Czyżby chciał jednak objąć szkolną gazetkę? Czyżby chciał zostać naczelnym?)

Scherbaum często traktuje mnie pobłażliwie – Tej sprawy z historią i w ogóle nie powinien pan brać tak tragicznie Wiosna też jest bezsensowna – może nie?

Chyba jednak jestem oryginałem. Powinienem był udać, że nie słyszę mój ulubiony uczeń ma jakiś plan.

Do mojego dentysty powiedziałem przez telefon – Jeden z moich uczniów ma pewien plan. Niech pan posłucha. Po lekcji chłopak przychodzi do mnie i mówi „Zamierzam coś zrobić”

Ja na to „Wolno wiedzieć, co? Może wyemigrować?”

On „Spalę mojego psa”.

Mruknąłem „hoho”, co mogłoby też znaczyć „Co tam pan wygaduje”

On sprecyzował „Na Kudammie, pod Kempinskim. I to po południu, kiedy tam jest duży ruch”.

Teraz powinienem był się odżegnać. („Pańska sprawa, Scherbaum”). Po prostu się wypiąć („Co to za bzdura”). Ale nie zrobiłem tego „A czemu akurat tam?”

„Żeby te opychające się ciastkami kapeluchy cos zobaczyły”.

„Psów się nie powinno palić”.

„Ludzi też nie”.

„Zgoda Ale czemu to ma być pies?”

„Bo berlińczycy najbardziej kochają psy”.

„A czemu pański pies?”.

„Bo jestem przywiązany do Maksa”.

„A więc ofiara?”

„Ja to nazywam demonstracyjnym uświadomieniem”.

„Psa nie tak łatwo podpalić”.

„Obleję go benzyną”.

„Ale to zwierzę. Tu chodzi o zwierzę”

„Benzynę jakoś wytrzasnę. Ściągnę prasę, telewizję i wypiszę na tabliczce. To jest benzyna, nie napalm – Niech to zobaczą. A Maks, jak się zapali, będzie biegł. Między stoliki z ciastkami. Może coś stanie w płomieniach. Może wtedy zrozumieją”.

„Co mają zrozumieć?”

„No, jak to jest palie się”.

„Zatłuką pana na śmierć”.

„Całkiem możliwe”.

„Chce pan tego?”

„Nie”.

Rozmawiałem z Scherbaumem jakieś dziesięć minut. Właściwie byłem pewien, że jego jamnikowi nic się nie stanie. A do mojego dentysty powiedziałem – Jak pan uważa, powinno się to wziąć poważnie czy tylko tak udawać.

Zapytał, czy moje zapalenie dziąseł ustąpiło i czy mała oparzelina na dolnej wardze zaczyna się goić. Potem wyłożył swoje – Zadajmy sobie najpierw pytanie, dlaczego coś powinno się stać? Ponieważ nic się nie dzieje, coś powinno się stać. Bo jak Seneka mówi o cyrkowych igrzyskach? „Atoli jest przerwa? No to tymczasem powinno się ludziom podrzynać gardła, żeby przynajmniej coś się działo!” Podobnym wypełniaczem przerw jest ogień publiczne spalenia nie odstraszaają, tylko zaspokajają żądzę – (Powiem to Scherbaumowi, powiem to Scherbaumowi)

Zróbże to. Jak nikt tego nie robi, wszystko będzie się toczyło tak dalej. Ja to bym na pewno. Ja to jeszcze całkiem inne rzeczy. Kiedy na przykład baza okrętów podwodnych. Wtedy była wojna. Wciąż jest wojna. Dość jest powodów, żeby być przeciw. Dość było powodów. Wprawdzie nie jestem pewien, czy to my, czy nasi terminatorzy od Schichaua, którzy pod wodzą Moorkähnego założyli własny związek i mieli wstęp na teren stoczni, ponieważ baza miała się znaleźć w suchym doku, ale była jeszcze zamieszkana, kiedy pożar rozprzestrzenił się najpierw na pokładzie, a potem wtargnął do wnętrza, wobec czego podchorążowie i kadeci próbowali precyzyjnie się przez iluminatory i podobno zostali wystrzelani z barkasów, bo tak krzyczeli. Nam (a i Moorkähnemu) niczego nie można było udowodnić. My robiliśmy inne rzeczy. Ale robiliśmy je naprawdę. Mieliśmy przecież swoją maskotkę. Nazywaliśmy ją Jezusem. Jezus był przeciwny ogniovi...

Na szkolnym podwórzu powiedziałam do Scherbauma: – Publiczne spalenia nie odstraszaają, tylko zaspokajają żądzę.

Przekrzywił głowę: – W wypadku palenia ludzi może tak jest, ale widoku palącego się psa berlińscy nie zniosą.

Moja pauza była dłuższa. (Wero Lewand nadkładając drogi pchała swój rower przez podwórze). – Więc jest pan zdecydowany to zrobić?

–(Potem wepchała go między nas). – Niech pan sobie wyobrazi gazety, choćby „Morgenpost”.

–I co z tego? – To była Wero. – Stara śpiewka. – To był Scherbaum.

–Powiedzą: Tchórz. Niech sam się spali, jak chce zademonstrować napalm.

–Przed chwilą powiedział pan: Palenie ludzi zaspokaja żądzę.

–Nadal to mówię. Przenieśmy się w przeszłość. Okrutne rzymskie cyrkowe igrzyska. Seneka mówi...

(Zatrzymała mnie swoim: – I co z tego?). A Scherbaum mówił cicho i pewnie: – Palący się pies to coś, co ich ruszy. Nic innego ich nie ruszy. Choćby o tym czytali, ile wlezie, i oglądali zdjęcia przez lupę albo z najbliższej odległości wpatrywali się w telewizor, powiedzą jedynie: Kiepska sprawa. Ale jak mój pies będzie się palił, to ciastkami puszczą pawia.

Na przekór oporom Wero Lewand – Uważaj, Filip. On teraz zacznie obiektywizować – usiłowałem pogrzebać w szufladce historii:

–Niech pan uważnie posłucha, Scherbaum. Podczas wojny, mam na myśli ostatnią, w moim rodzinnym mieście sabotażyści podpalili bazę okrętów podwodnych. Załoga, przeważnie podchorążowie i kadeci, próbowała wydostać się ze statku przez iluminatory. Spalili się żywcem, jako że uwięźli biodrami – no, sam pan rozumie. Albo na przykład w Hamburgu, tam po zrzuconiu kanistrów z fosforem paliły się asfaltowe ulice. A ludzie, którzy wybiegali z płonących domów, wpadali na te płonące asfaltowe ulice. Wodą nic się tam nie dało zrobić. Zakopywano ich w piasku, żeby nie dochodziło powietrze. Ale jak tylko powietrze dochodziło, palili się dalej. Dzisiaj nikt już nie potrafi sobie wyobrazić, jak to jest. Rozumie mnie pan?

–Bardzo dobrze. I ponieważ nikt sobie tego nie potrafi wyobrazić, muszę na Kudammie oblać Maksa benzyną i podpalić, i to popołudniową porą.

Co nas łączy, to telefon: – Może powinienem złożyć doniesienie?

–Mój dentysta prosił mnie, żebym tego nie robił.

–Nie zdobyłbym się na to... Ja, akurat ja, miałbym donosić. Prędzej bym...

On przeszedł na grunt stomatologiczny z domieszką ironicznym uwag: – Uczmy się od katolików i nadstawiajmy ucha.

Po lekcji Scherbaum spiesznie wyszedł z klasy. Ja pochyliłem się nad notatkami. Z pokoju nauczycielskiego ogarnąłem wzrokiem szkolne podwórze: dołączał do grup, które przedtem ignorowałem. Później stał z Wero Lewand na uboczu, niedaleko szopy na rowery. Ona mówiła, on przekrzywiał głowę.

Szukałem rozmowy z Irmgardą Seifert. – Wie pan – powiedziała – czasami mam nadzieję, że zdarzy się coś oczyszczającego; ale przecież nie zdarza się nic.

Wystąpienie z luteriańskiego Kościoła krajowego – datowała je na czas remilitaryzacji sprzed z górą dwunastu lat i nazywała spontaniczną odpowiedzią na aprobatę swojego Kościoła dla powstania Bundeswehry – to gniewne wyrzeczenie się uczyniło jeszcze bardziej nagłym jej pragnienie wybawienia. („Teraz, teraz powinno by coś się zdarzyć!”). W ciemno stawiała na swoich siedemnastu- i osiemnastoletnich uczniów obojga płci: – To nowe, nie obciążone pokolenie – niech mi pan wierzy, Eberhardzie – skończy z anachronicznym widmem. Te chłopaki i dziewczyny chcą zacząć od nowa, nie oglądając się, jak my, wstecz, nie pozostając w tyle za samymi sobą.

(Wówczas i teraz: wciąż przemawia na miarę rozbrzmiewających echem sal). – Możemy pokładać nadzieje w niezłomnej, a przy tym tak zbawiennie rzeczowej śmiałości młodego pokolenia.

Cóż pozostało mi innego jeśli nie zaserwowanie skwaśniałej, dawno nie ruszanej potrawy: – Niech pani się rozejrzy. Co się z nami stało? Jacy trzeźwi i sceptyczni wyszliśmy z wojny? Jak chcieliśmy mieć się na bacności i nie ufać słowom dorosłych? Niewiele z tego zostało. Stateczni trzydziestopięcio- i czterdziestolatki nie znajdują bodaj czasu, by przypominać sobie swoje klęski. Nauczyliśmy się sondować sytuację. Używać łokci. W razie konieczności dopasowywać się. Zachować mobilność. Byle się nie wiązać. Przebiegli taktycy, także dobrzy fachowcy, którzy dążą do tego, co możliwe, i – jeśli nie pojawią się niespodziewane przeszkody – nawet to osiągają. Ale to i wszystko.

Ta rozmowa zaczęła się w pokoju nauczycielskim i była kontynuowana u mnie. W mojej „kawalerskiej norze”, jak mówi Irmgarda Seifert. Wszystko stało i słuchało. Moje biurko z rozpoczętymi pracami. Regał pełen celtyckich skorup. Pomiędzy nimi rzymskie okazy z Przedniej Eifel. Książki, płyty. Również na moim nowym berberze leżały książki i płyty.

Siedzieliśmy, jak zawsze ze szklanką mozelskiego w zasięgu ręki, na moim tapczanie, nie zbliżając się do siebie, ani dwu-, ani jednoznacznie. Irmgarda Seifert mówiła ponad szklanką: – Choć niechętnie, przyznaję panu rację. Bez wątplenia nasze pokolenie zawiodło. Ale czy pokładanie w nas nadziei, oczekiwanie od nas wyzwolenia nie było wygodną wymówką? My, którzy zostaliśmy poświęceni, nie mogliśmy zdobyć się na poświęcenie. My, już w siedemnastym roku życia naznaczeni przez zbrodniczy system, nie mogliśmy dokonać przełomu, my nie mogliśmy.

To było to – to chyba nadal jest to: Przełom. Wybawienie. Oczyszczające wyzwolenie. Poświęcenie. Lecz gdy mówiłem o Scherbaumie i jego planie, słuchała z dużym roztargnieniem, sięgając po książki i płyty, które po chwili z powrotem rozkładała na dywanie. Czekwała niecierpliwie, aż wyłożę przejrzyste plan Scherbauma i konsekwencje jego zamierzenia. Potem znów tokowała o sobie i występności naszego pokolenia: – Zaczęliśmy rozbiórkę nie spróbawwszy nawet położyć pierwszego kamienia. Teraz jest za późno. Teraz nas usuną.

–Kto nas usunie?

–To, co nowe, co jeszcze nie pomyślane – przyszłe pokolenie...

–Kiedy myślę o moim uczniu Scherbaumie...

–Zmiotą nas...

–... który przecież jest także pani uczniem, prawda...

–... śmiecie, które pozostały.

–... kiedy myślę o nim i o jego radykalnym zamierzeniu...

–Niechże pan zrozumie, Eberhardzie. Mając siedemnaście lat i będąc, jak by pan powiedział, łatwowierną kozą z BDM, byłam już naznaczona, nosiłam już piętno...

–Mimo to musimy przeszkodzić Scherbaumowi...

–A przecież sądziłam, że postępuję słusznie, chcąc w osobie tamtego chłopca zniszczyć wroga...

Nim Irmgarda Seifert zdążyła zapuścić się do swojego obozu dla dzieci ewakuowanych na wieś, zmieniłem temat: gadaliśmy do północy i jeszcze trochę dłużej o szkolnych sprawach. Najpierw o systemie wspierania i wyszukiwania talentów, potem o przykładowości w masie materiału, nie bez ironii o wychowywaniu na zasadach dialogu, również o nowych regułach egzaminu państwowego na drugi stopień pedagogicznej specjalizacji. Nie obyło się bez opowiadania sobie anegdot z naszych referendarskich czasów. Weselość, choć była to weselość wysilona, pozwalała nam spoglądać drwiąco na tego czy innego kolegę. Ja parodiowałem jedną z naszych konferencji, na której chodziło, jak zwykle, o zaopatrzenie w pomoce naukowe. Irmgarda Seifert śmiała się. – Tak, my biedni praktycy na szkolnym froncie... – I kiedy dotarliśmy do naszego ulubionego tematu, do hamburskiej próby stworzenia zintegrowanej szkoły ogólnokształcącej, kiedy zgodziliśmy się, że tylko z pomocą tej koncepcji można by znieść przestarzałe formy egzaminu wstępnego i promocji, kiedy w taki sposób, na drodze reform, poczuliśmy się jednomyślni, sądziłem już, że mojej koleżance dodałem otuchy. Ale ona na odchodnym – między drzwiami mieszkania a windą – znów szukała wybawienia: – Czy pan od czasu do czasu nie miewa tego obłąkańczego pragnienia, żeby coś się zdarzyło, coś nowego, coś jeszcze nie do wypowiedzenia, coś – proszę, niech pan się nie śmieje, Eberhardzie – co nami wstrząśnie, wstrząśnie nami wszystkimi...

(Na karteluszkę zapisałem: Jak bojaźliwie i nieskładnie moja zazwyczaj tak chłodna koleżanka zabiega o swą zgubę).

Któż to trzyma akwariowe ryby? Pieczołowite karmienie, woda o równomiernej temperaturze, obfitość tlenu, środki przeciwko pasożytom – a mimo to dzisiaj welon, jutro złota rybka pływają brzuchem do góry. Gupiki pożerają swoje własne młode. Obrzydliwe

mimo pośredniego oświetlenia. – Niech pani dasz sobie spokój z tą bzdurą, Irmgardo.

–Czyżby w pańskiej 12a panowały wytworniejsze maniery?

Rozmawiałem przez telefon z moim dentystą, gdy spytał, jak się czuję, powiedziałem – Zupełnie dobrze – chociaż dąsła mnie bolały i musiałem płukać co cztery godziny. Potem wyłuszczyłem swój plan, który on nazwał typowym planem nauczyciela, aby mimo to zgodzić się ze mną i udzielić mi praktycznych rad, rzeczowo związanych, jakby chodziło o leczenie korzenia. Przeliterował mi adres dość nieprzystępnego dziwaka, którego odwiedziłem w Reinickendorfie w jego prywatnej kolekcji pożółkłych obrzydliwości jako też w archiwum Ullsteina i w krajowej dokumentacji fotograficznej znalazłem około dwudziestu pięciu czarno-białych i kolorowych przezroczy, które po południu zaprezentowałem Scherbaumowi w naszej sali biologicznej.

Z początku się wzbraniał – Mogę sobie wyobrazić, czym pan chce mnie uraczyć Znam to wszystko.

Dopiero gdy zaapelowałem do jego przyzwoitości – Pan zapoznał mnie ze swoim planem, Scherbaum, więc musi pan też dać szansę mnie, nauczycielowi – ustąpił i obiecał przyjść” – No dobra Żeby później mógł pan powiedzieć Próbowałem wszystkiego.

Przyszedł ze swoim długowłosym jamnikiem („Maks też chce coś zobaczyć”) Pokazałem więc obu mój program najpierw prymitywne drzeworyty, które miały za motyw średniowieczne palenie czarownic i Żydów. Potem gotowanie we wrzącym oleju dla stłumienia cielesnej pożądliwości. Potem spalenie Husa Potem okrutne palenie ludzi przez Hiszpanów w Ameryce Południowej i Środkowej. Potem palenie wdów w Indiach. Potem zdjęcia dokumentalne skutki działania pierwszego miotacza płomieni, oparzenia fosforem w drugiej wojnie światowej, szczegółowe obrażenia ofiar wielkich pożarów i katastrof lotniczych, Drezno, Nagasaki, na koniec samospalenie wietnamskiej zakonnicy.

Scherbaum stał obok rzutnika i nie zadawał żadnych pytań, podczas gdy ja odklepywałem swoją gadkę o właściwościach drewna do palenia czarownic (janowiec, ze względu na zielonkawy dym), o formule oczyszczenia przez ogień (przedpiekle), o całopaleniu jako takim („Nie tylko Biblia mogłaby nam udzielić wskazówek”), o paleniu ksiąg od bulli ekskomunikacyjnej po barbarzyństwa narodowych socjalistów, o świętojańskim ogniu i podobnych magicznych sztuczkach, także o piecach krematoryjnych („Pan rozumie, Scherbaum, że wolałbym nie rozwodzić się nad Oświęcimiem”)

Kiedy zakończyłem projekcję, on, z Maksem na rękę, powiedział – Wszystko to tylko ludzie. A ja chcę psa Rozumie pan? Ludzie to nic nowego. Ludzi się przełknęło. Tamci powiedzą tylko. Kiepska sprawa.

Albo. Jak w średniowieczu. Ale kiedy ja żywego psa, i to tutaj, w Berlinie.

–Niech pan pomyśli o gołębiach. Zostały wytrute. Nazwano to wielką akcją, tutaj, w Berlinie.

–To jasne jak słońce. Była ich masa. Przeszkadzały. Sprawa została zaplanowana i zapowiedziana. Każdy miał czas, żeby odwrócić oczy Nie widziało się tego Więc rzecz odbyła się jak należy.

–O czym pan mówi, Scherbaum

–No, o śmierci gołębi Wiem też, że dawniej, chcąc przepędzić szczury, podpalało się je. Podobno zdarzało się także, że do podpaień próbowano posługiwać się płonącymi kurami. Ale płonącego, biegnącego, skowyczącego jamnika w takim mieście jak Berlin, które ma kręcka na punkcie psów, jeszcze nie było. Tylko jak pies będzie się palił, tamci skapują, że Amerykańcy hen daleko palą ludzi, i to każdego dnia.

Scherbaum pomógł mi spakować przezrocza Naciągnął ceratowy pokrowiec na rzutnik i podziękował za nadprogramowy pokaz.

–Właściwie było ciekawie

Zwróciwszy wypożyczone przezrocza (starszemu panu z Reinickendorfu odesłałem je poleconym) zrozumiałem śmieszność swojej klęski. (Tak to więc jest, kiedy Irmgarda Seifert dzień w dzień zawodzi się na swoim akwarium).

Zadzwoiłem do mojego dentysty i musiałem wysłuchać jego ubolewań z powodu nieudanego eksperymentu – Ale my nie zrezygnujemy i nie pozostawimy głupiego losu swojemu biegowi.

–Nastąpiły cytaty z Seneki, poza tym słowa wypowiedane na stronie.

–Protruzja górnych zębów przednich (Jego pomoc wypełniała karty do kartoteki) – Potem powrócił do sprawy – Czy u swego ucznia zauważył pan oznaki litości dla psa?

–Owszem. Owszemowszem. Scherbaum ze swoim jamnikiem.

–to naprawdę figlarne zwierzę – odprowadził mnie na przystanek autobusowy Na krótko przed nadejściem autobusu zapewnił, że ta sprawa z Maksem – tak nazywa się pies – nie pozostawia go obojętnym, bądź co bądź ma zwierzaka już cztery lata.

–Wobec tego jest jeszcze nadzieja – powiedział mój dentysta.

–Towarzyszką nadziei jest obawa.

On zinterpretował mój cytat – Seneka powołuje się tutaj na Hekatona, który powiedział „Już się nie obawiasz, kiedy już nie masz nadziei”. Ale ponieważ niepokoimy się o pańskiego ucznia i ponieważ – wszystko razem wzięwszy – istnieją powody do obaw, wolno nam chyba mieć nadzieję, prawda?

–Ja mam nadzieję, że chłopak złapie gdzieś porządną grypę i nie będzie mógł ruszyć się z łóżka

–Bądź co bądź ma pan nadzieję Bądź co bądź.

Mój dentysta dał do zrozumienia, że na jego biurku jest jeszcze parę dziesiątków nie uzupełnionych kart z kartoteki – Wie pan, że poświęcam szczególną uwagę stomatologicznemu leczeniu dziecka w wieku przedszkolnym. Próchnica atakuje Stan mlecznych zębów jest zatrważający. Nasze statystyki mówią o dziewięćdziesięciu procentach populacji po okresie dojrzewania Zgoda to choroba cywilizacji, ale dżungla też nie jest rozwiązaniem.

Nim odłożyliśmy słuchawki, nie omieszkał spytać o mój zapas arantilu – Jest pan jeszcze wystarczająco zaopatrzony?

(Byłem zaopatrzony w arantil). I u karteluszeki, które dokładałem do karteluszków – Chłopak wykańcza siebie. Chłopak wykańcza mnie. Jak będę wyglądał, jeśli on to zrobi. Powinien przecież mieć wzgląd. Jak gdybym ja nie miał ochoty. Albo rzucie się do usuwania. (Dziesięć tysięcy buldożerów). Stworzyć jasną sytuację. Znów zacząć od zera. Pierwotny instykt rewolucyjny na krótko po myciu zębów, na krótko przed śniadaniem skończyć z obłudnymi reformistami, niech powieje gorące tchnienie rewolucji, ażeby nowe społeczeństwo. Teraz powinna być w planie wycieczka szkolna Do Bonn, jeśli o mnie chodzi. Moglibyśmy posłuchać z galem, co się da powiedzieć na temat średnioterminowego planowania finansowego. A później wypracowania Jak pracuje Bundestag? Albo „Gdybym był deputowanym do Bundestagu”. Również prowokacyjnie „Bundestag czy gadalnia”? Mógłbym naturalnie zadzwonić z Bonn – Linda, to ja. No ja. Twój były. Tak, wiem. To dawne dzieje. I nie tylko mój głos się zmienił. Ale twój wcale nie. Zobaczymy się? Gdzie? Najlepiej w Andernach na Reńskiej Promenadzie. Będę czekał pod bastionem, między tabliczkami wotywnymi Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, pamiętasz? Mam dwie, trzy godziny. Nie chcesz ze mną sam na sam? Zarządca hotelu. Traube? Ach tak. Rozumiem. Mam przyprowadzić ucznia w charakterze przyzwoitki? Bardzo zdolny, nazywa się Scherbaum. Opowiadałem mu o nas piąte przez dziesiąte. To znaczy o tobie i o mnie wtedy. Przed południem byliśmy w Bundestagu. Dość to deprymujące I wyobraź sobie, chłopak chce swojego psa oblać benzyną i spalić. Publicznie. Nie. Nie w Bonn. U nas na Kurfürstendamie pod sławnym hotelem Kempinkim. Bo berlińczycy mają bzika na punkcie psów, mówi – Ale mógłbym to zaproponować Scherbaumowi, jeśli nie odstąpi od swojego planu Scherbaum, moja była narzeczona radzi panu publicznie spalić pańskiego psa nie w Berlinie, gdzie zaszkuje pan tylko parę łasych na ciastka pań, lecz w Bonn, gdzie siedzi polityczna władza. W odpowiednim miejscu, przed ważnym posiedzeniem Bundestagu kiedy oni podjeżdżają, kanclerz i jego ministrowie.

Gdy wskazałem Scherbaumowi i jego przyjaciółce. Wero Lewand główne wejście do parlamentu, on powiedział, że już się zastanowił.

–I dlaczego w takim razie tutaj, nie w Bonn?

–Tam to zginie w ogólnym zamęcie.

–Tamci tylko się zaśmieją na widok płonącego Maksa i powiedzą I co z tego? Nazwą to publicznym skandalem.

–Ale w Bonn siedzi władza

–Za to bzika na punkcie psów mają tylko w Berlinie. Usiłowałem ośmieszyć przywiązanie Scherbauma do tego akurat miejsca. Mówiłem o idee fixe, o zwykłym przecenieniu berlińskiej sytuacji

Wero Lewand zaszachowała mnie liczbami – Wie pan w ogóle, ile psów jest tutaj zarejestrowanych? No właśnie.

Ona wie prawie wszystko. Monotonnie pouczająco mówi przez nos. Domagając się czegoś używa liczby mnogiej – Żądamy współdecydowania o programie nauczania – Należy do grupy, do której nie należy Scherbaum. Nosi cynkowozielone rajstopy i domaga się lekcji wiedzy o seksie, które nie będą się ograniczały do faktów biologicznych. Jeszcze wczoraj krążyła z piłką do metalu zrywanie gwiazdek – dzisiaj już się w to nie bawi. Przy tym przyklepna rzep uczepony puloweru Scherbauma. („Odczep się, rzepie. Jedzie od ciebie grupowym zaduchem”). On toleruje ją dobrodusznie, jak dobrodusznie pozwala mi mówić – Scherbaum, usilnie panu radzę, niech pan poniecha swego irracjonalnego zamiaru.

Irmgarda Seifert słuchała mnie z otwartą twarzą i ułożeniem głowy, które na ogół zwiastuje uwagę Podczas gdy przedstawiałem jej sprawę Scherbauma, kiwała głową we właściwych miejscach. Wydawało mi się, że mogę wyczytać w jej oczach zdziwienie, zrozumienie, przerażenie. Kiedy poprosiłem ją o zdanie, jeśli to możliwe, o radę, powiedziała – Te stare listy gruntownie zmieniły moje życie.

Ledwie spróbowałem wtrąconym zdaniem. („To oznacza powrót do rytuału”) uratować sprawę Scherbauma, ona leciutko podniosła głos – Może pan sobie przypomina. Podczas weekendowych odwiedzin u matki w Hanowerze, grzebiąc na naszym strychu w kącie z rupieciami, natknęłam się na zeszyty szkolne, uczniowskie rysunki i wreszcie na listy, które napisałam na krótko przed końcem wojny jako zastępczyni komendantki obozu dla dzieci ewakuowanych z miast.

–Opowiadała pani o tym. Obóz w zachodnim Harzu. Była pani wówczas w tym samym wieku co dzisiaj nasz Scherbaum.

–Ma pan rację. Miałam dopiero siedemnaście lat. Należy też przyznać, że ślepa wiara w führera, naród i ojczyznę była wówczas powszechna. Jednakże ten historyczny krzyk o pancernownicę jeszcze dziś stawia mnie pod znakiem zapytania. Miałam czelność dopuścić do tego, że czternastoletni chłopcy uczyli się obchodzenia z tym morderczym narzędziem.

–Ale pani grupa bojowa, droga Irmgardo, nie weszła przecież do akcji.

–Nie moja zasługa Zwalili się Amerykanie.

–I na tym powinna się zakończyć pani historia Kto by dzisiaj chciał oskarżać siedemnastoletnią wtedy dziewczynę, skoro nasz najnowszy kanclerz, mimo swojej przeszłości, uchodzi za człowieka do przyjęcia.

–Ja utraciłam wszelkie prawo do oceniania sprawy Kiesingera. Nikt mnie od tego nie uwolni Ostatecznie zadenuncjowałam w kierownictwie powiatowym chłopca, prostego chłopca, tylko dlatego, że nie zgadzał się, uparcie się nie zgadzał na wykopanie na swoim polu rowu przeciwodłankowego.

–Poczciwy chłop, jak mi pani niedawno opowiadała, zmarł śmiercią naturalną w dziesięć lat później. Że też pani nie może się z tym uporać, ja panią uniewinniam.

To uniewinnienie dało mi okazję do poznania gniewu Irmgardy Seifert Jeszcze przed chwilą siedziała, a teraz wstała – Zabraniam panu, przy całej przyjaźni, prób rozwiązania mojego konfliktu w sposób tak powierzchowny.

(Później, wciąż jeszcze poirytowany, zanotowałam kilka przycinków pod adresem chaotycznej sytuacji w jej akwarium. „A jak się miewają pani żwawe rybki? Kto tam kogo w tej chwili pożera?”) W pokoju nauczycielskim pozostawałam uprzejmy – Pani poczucie zawinionego uwikłania powinno dzisiaj dać jej siłę, by ostrożnie pokierować młodymi ludźmi, którzy nie potrafią jeszcze sformułować swej narastającej nieufności.

Ona milczała, a ja mówiłam w tę dziurę – Rozważmy, proszę, wspólnie to, że nasz Filip Scherbaum liczy sobie zaledwie siedemnaście wiosen. Jest chory na świat. Boli go najodleglejsza niesprawiedliwość. Nie widzi wyjścia. Albo widzi tylko jedno chce publicznie spalić swego psa i w ten sposób dać znak światu, a przynajmniej berlińskim miłośnikom psów.

Na to się odezwała – To jest nonsens!

–Na pewno Na pewno Jednakże musimy nauczyć się pojmosferać bezwyjściową sytuację chłopaka.

Pośród ładu pokoju nauczycielskiego powiedziała – To jest nieodpowiedzialny nonsens.

–Komu pani to mówi. Mimo to dotychczas nie udało mi się odwieść chłopaka od powziętego

zamiaru.

Przemówiła Archanielica – W takim razie powinien pan poczuć się zmuszony do złożenia zawiadomienia.

–Sądzi pani.

–Nie sędzę, tylko usilnie panu radzę.

–W dyrekcji szkoły?

–Ach, co tam. Niech pan zagrozi chłopakowi policją. Potem zobaczymy, co dalej W razie potrzeby, jeśli pan nie będzie gotów, ja będę musiała się zdecydować.

(Irmgarda Seifert ma słabość do policji. Czy muszę teraz powiedzieć wciąż jeszcze?) Mój dentysta przy telefonie był przeciw – Kto by tam chciał zaraz wzywać stróżów porządku Niech pan kontynuuje rozmowę z chłopakiem. Rozmowy zapobiegają czynom.

Stać się w ten sposób współnikiem porządku. On traktuje wszystko jak próchnicę – Trzeba zapobiegać Żadnej rewolucji, tylko stomatologiczna profilaktyka Zdecydujemy się wreszcie na wczesne leczenie. Na zwalczanie ssania Kampanie przeciwko oddychaniu przez usta. Ćwiczenia oddechowe dla przeciwdziałania tyłozgryzowi. Zbyt wiele czynów i jednookich sukcesów. Sięganie na księżyc i wciąż jeszcze brak skutecznej leczniczej pasty do zębów. Zbyt wielu ludzi czynu i przecinaczy węzłowi.

Czyżby czyn był aktywną rezygnacją? Cos chce się rozwinąć i porusza się minimalnie, aż tu przychodzi człowiek czynu i wybija okna cieplarni – Więc zaprzecza pan temu, że świeże powietrze w każdym wypadku jest dobrodziejstwem?

–Przez to został przerwany proces rozwoju, którego wstępne rezultaty bądź co bądź pozwalały mieć nadzieję.

Czyn jako wybieg Coś tam musi się stać Sprawca – pojęcie prawnicze. Co to znaczy dokonać czynu, wcielić w czyn? (Chcąc rozmową zapobiegać czynom mój dentysta uznaje, że rozmowa nie jest czynem). Pamiętam, jak na pierwszy rzut oka ocenił mój kamień nazębny – Brzydko wygląda. Usuniemy go radykalnie – Jak, skoro ja przyrównuję kapitalizm do wymagającego usunięcia kamienia na zębach.

A mimo to. Czy korygowanie mojej progenu, którą mój dentysta nazwał autentyczną, bo wrodzoną, to nie był również czyn? On powie Rozeznanie plus rzemiosło, podczas gdy pochopne usuwanie zębów, owa mania stwarzania wolnych już od bólu luk to czyn bez rozeznania uczynnienie się głupoty.

A więc pilność, powątpiewanie, rozsądek, uzupełnianie wiedzy, wahanie, kilkakrotne zaczykanie od nowa, ledwie dostrzegalne ulepszenia, wkalkulowane defekty rozwoju,

ewolucja krok po kroku procesja skoczków, tymczasem człowiek czynu przeskakuje powolne przebiegi, pozbywa się hamującej wiedzy, jest chyży i leniwy lenistwo jako trampolina czynu.

Albo też strach. Nie sposób już, jak się wydaje, odczytać rozwoju. Nie ma wskazówki, która odmierza i oznajmia niewielki codzienny postęp. Bezruch i jałowy bieg tchną słynnym cmentarnym spokojem, pośród którego moja koleżanka, Irmgarda Seifert, wypowiada swoje „Żeby wreszcie coś się zdarzyło. ”Spokój przy rosnącej liczbie strat. Przysiadły ze strachu bezwład, który Scherbaum chciałby poruszyć swoim czynem strach pobudza do czynu.

Mój dentysta zaśmiał się w telefon – Dzieci gwizdzą w lesie. Już stwarzanie świata, jako zwyczajny ciąg czynów w odcinkach, było czynem ze strachu, który przybrał maskę tworzenia. Taki zły przykład się rozplenia. Ludzie czynu nazywają się stwórcami. Należało przedtem pogadać ze starszym panem tam w górze. Zna pan moją tezę rozmowy zapobiegają czynom.

Bezczynność jako sumę doświadczenia zaleca nam Seneka jako człowiek stary, który pisał mowy swojemu Neronowi i czynom dostarczał słów. (Rady, jakich mi on udzielił). Czy mam zadać wypracowanie na temat „Co to są czyny”? Albo czy mam z Scherbauma zrobić Lucyliusza, aby w rozmowie zapomniał o sobie? Czynnemu dentyście, który usuwa kamień nazębny, zło, i pozwala sobie na jeden zabieg po drugim, łatwo mówić Ludzie czynu doradzają beczynność.

Stali w grupach, do których Scherbaum kolejno podchodził na krótko. Od początku roku utrzymywało się suche zimno. Stali w ciasnych grupach („Trząś” to ich – w stylu Kaczora Donalda – określenie marznięcia, ten skrótowy język zgred, szczył, rzęch, brzyd). Wero Lewand puściła w obieg papierosa („I co z tego?”). Również wróble w grupach między grupami.

Kiedy dopadłem Scherbauma na szkolnym podwórzu, rzeczywiście dopadłem przecinając mu drogę, gdy chciał przejść od jednej grupy do drugiej, powiedziałem rozmyślnie – Przykro mi, Filipie. Jeśli nie odstąpi pan od swego planu, to będę musiał złożyć zawiadomienie, i to na policji. Wie pan, co to może oznaczać.

Scherbaum zaśmiał się, jak to tylko on potrafi się zaśmiać nawet nie obraźliwie, ale z dobroduszną wyższością i nutą zatroskania, jak gdyby znów chciał mnie oszczędzić – Na pewno pan tego nie robi. Na to ma pan o wiele za dużo szacunku dla siebie.

–Jednakże poważnie się zastanawiam, jak w razie potrzeby należałoby sformułować takie zawiadomienie.

–Pan tego nie wytrzyma – drogi do komisariatu i w ogóle.

–Ostrzegam pana, Filipie.

–To zupełnie nie pasuje do pańskiego stylu.

(Zostawiła grupie resztę papierosa, zbliżała się w cynkowozielonych rajstopach). Bez ładu i składu zacząłem wyliczać bezsens, pycha, niebezpieczeństwo, bestialstwo, głupota Z moich ust płynęły słowa z jedne) strony, właśnie dlatego że, niewiarygodny, bezsilny, nierealny. Żadne nie trafiło Scherbaumowi do przekonania – Stara śpiewka – powiedział – Jako nauczyciel musi pan tak mówić – A gdy wspomniałem o fałszywym poklasku, o głupim zamroczeniu, Wero Lewand rzuciła – I co z tego?

–Pani profesor Seifert na moim miejscu też by tak mówiła, gdyby wiedziała o pańskim zamiarze

–Ach tak. Jo. Archanielica już wie.

Nim zdążyłam załagodzić sprawę, Wero Lewand już się dorwała.

–Ona. Ona w ogóle nie potrafi nic powiedzieć. Stale gada o stawianiu oporu i obowiązku stawiania oporu.

Parodiowała Irmgardę Seifert nie tylko naśladowując jej intonację, lecz i podrabiając jej styl wypowiedzi – Ale w najmroczniejszych chwilach naszego narodu raz po raz zrywali się ludzie i przechodzili do czynu Stawiali czoło niesprawiedliwości – Pstrykając palcami Wero Lewand dała mi znak teraz jest znów pańska kolej.

Przerzucając pomosty w rodzaju „Sądzi pan teraz pewnie“ czy „Mógłby pan teraz powiedzieć“ zbudowałem rozwlekły dialog, który Scherbaum, raptem zniecierpliwiony, rozwalił jak domek z kart

–Czemu pan nie powie zrób to? Czemu pan nie powie masz rację? Czemu nie doda mi pan odwagi? Bo do tego potrzeba odwagi. Czemu pan mi nie pomoże?

(Pauzę, jaka nastąpiła, trudno było znieść. Nie miałem jak schronić się w rezerwacie zdań No, skacze, skacz!) – Scherbaum, moje ostatnie słowo. Ze schroniska dla zwierząt w Lankwitz wezmę sobie psa, przywiążę go do siebie, potem we wskazanym przez pana miejscu obleję benzyną i podpalę. Wezmę też ze sobą pański plakat. I postaram się, żeby była przy tym prasa, telewizja. Wspólnie ułożymy ulotkę informującą rzeczowo o działaniu napalmu. Jak mnie aresztują albo być może wykończą, będzie pan mógł razem ze swoją przyjaciółką rozdawać ją na Kudammie. Zgoda?

Szkolne podwórze pustoszało. Nadlatywały już wróble. Mój język wypróbowywał obydwa obce ciała: degudent, specjalną procedurę. Wero Lewand oddychała z otwartymi ustami. A Scherbaum spoglądał na bezlistne podwórzowe kasztany. (Ja też tak kiedyś stałem, nie wymyślałem sobie jednak stałych punktów w powietrzu, stawiałem je na piasku: Störtebeker znów projektuje. Ma pewien plan. Ma pewien plan...). Ostatni dzwonek. Ponad nim Pan Am do Tempelhofu.

–Zgoda, Filipie, zgoda?

–Uważaj, Flip. Mao ostrzega przed różnorakimi uczonymi.

–Wyłącz się... Trzeba się zastanowić.

–Nie teraz, Filipie, zgoda?

–Bez Maksa nie mogę podjąć tej decyzji.

Oboje zostawili mnie. Moja ręka szukała w kieszeni arantilu: niewielkiego zabezpieczenia.

–Rozumiem, rozumiem! – Mój dentysta powiedział: – Chce pan zyskać na czasie. Postarać się o psa. Przyzwyczaić psa do nowego pana. Doprowadzić do tego, że plan Scherbauma stanie się przejrzały. Wciąż jest nadzieja na zawieszenie broni. Albo papież obdarzy świat nową encykliką pokojową. Giełda zareaguje nerwowo. Specjalni wysłannicy spotkają się w neutralnym miejscu. Niezła ta pańska taktyka, niezła.

–W żadnym wypadku nie chcę patrzeć, jak chłopak naraża się na ewentualny samosąd.

Nie dało się go przekonać – „Przecież mówię: taktyka pańskiego postępowania nie jest beznadziejna” – a i ja za każdym razem wierzyłem tylko przez pół zdania w swoją próbę ratowania ucznia. (A przecież patrząc na siebie w lustro przy goleniu byłem zdecydowany zrobić to, zrobić to...) On musiał mnie znać. On przeanalizował mój odłupany kamień nazębny: – Powinien pan postarać się w Lankwitz o szczeną sukę. W ten sposób da pan swojemu uczniowi sposobność do uwolnienia pana od danej obietnicy. Bo on nigdy w życiu nie będzie się domagał, żeby pan spalił brzemiennie zwierzę.

–Pańskie cyniczne propozycje zdradzają medyczne pochodzenie.

–Ach, co tam. Ja konsekwentnie rozwijam pańską myśl. W każdym razie możemy czekać w napięciu na to, co też chłopak i jamnik wspólnie postanowią.

A jeśli on powie teraz „tak”? Jeśli sprawa spadnie na mnie? Jeśli on całkiem po prostu między przyprowadzeniem a odprowadzeniem powie „tak”? To mnie uwolni od podejmowania decyzji. (Także prywatnych). Mogę wmurować kamień: Zachodniobерliński profesor gimnazjalny, lat 40, protestuje przeciwko wojnie w Wietnamie paląc publicznie psa, szpica... Ale nie na Kudammie. To już wolę wrócić do Bundestagu. Jeśli wziąć pod uwagę skuteczność protestu, to tak będzie poważniej. Trzeba by rzecz dobrze zaplanować. Z oświadczeniem dla prasy rozesyłanym do wszystkich agencji. Przed wielką interpelacją. Mógłbym przedtem napisać do mojej byłej narzeczonej: „Droga Lindo, przyjedź, proszę, do Bonn i przyjdź pod Bundestag, główne wejście. I przyprowadź ze sobą dzieci. Również Twojego męża, jeśli to konieczne. Chcę ci coś pokazać, nie, udowodnić, żebyś wreszcie zrozumiała, iż nie jestem ujmującym, mazgajowatym słabeuszem, z którego Ty chciałaś koniecznie zrobić profesora gimnazjalnego, lecz mężczyzną, to znaczy: człowiekiem czynu.

Przyjeźdź, Linda, przyjeźdź! Ja dam światu znak...”

Moje lekcje zyskiwały dzięki napięciu między nauczycielem a uczniami. Staralem się, zawsze w oparciu o fakty, zaznajomić Scherbauma z chaosem historii. (Poza nim i Wero Lewand klasa prawie się nie liczy: bractwo jakoś się przechowuje czy prześlizguje na miarę średnich wymagań). Dążyłem do odsłonięcia absurdalności rozumnie pomyślanych działań. Nadprogramowo zajmowaliśmy się Rewolucją Francuską i jej skutkami. Zacząłem od powiązanych ze sobą przyczyn. (Idee Oświecenia: Monteskiusz, Rousseau. Przeprowadzona przez fizjokratów krytyka merkantylistycznego systemu gospodarczego i hierarchicznej struktury społeczeństwa stanowego). Aż do znudzenia zwracałem uwagę Scherbauma na spory między przedstawicielami demokracji liberalnej i totalnej. (Źródła późniejszych sprzeczności między demokracją parlamentarną – formalną – a systemem rad). Mówiliśmy o moralnym usprawiedliwianiu terroru. Przez godzinę roztrząsałem ponadczasowe zawołanie: „Pokój chatom, wojna pałacom!”. W końcu udokumentowałem, jak – i jak nienasyconie – rewolucja pożera własne dzieci. (Danton Büchnera jako świadek absurdalności). I jak wszystko skończyło się na reformizmie. Przy pewnej dozie cierpliwości można było to osiągnąć mniejszym kosztem. W taki sposób możliwy stał się Napoleon. Rewolucja jako reprodukcja. Niewielkie dygresje: Cromwell – Stalin. Absurdalne nieuchronności: rewolucja stwarza restaurację, która z kolei ma zostać usunięta przez rewolucję. Podobnie skutki poza Francją: Forster w Moguncji*. (Jak mu brak tchu. Jak zdycha. Jak Paryż wchłania go i wypluwa). A na przykładzie szwajcarskim pokazałem, jak Pestalozzi odwraca się od rewolucji, ponieważ ugrzęzła w reformach i reforemkach, podczas gdy on chciał wielkiej przemiany, nowego człowieczeństwa. (Tak samo Marcuse. Ucieczka w doktrynę zbawienia: byt uspokojony). Ostrożnie zacytowałem Senekę, nim przytoczyłem słowa zrezygnowanego Pestalozziego: „Kiedyś lepsi ludzie wysuną na czoło również lepszych ludzi...”

Wprawdzie zanotowałem swoje wątpliwości: Być może Scherbaum będzie się śmiał, kiedy ostrożnie uraczę go Seneką i obficie Pestalozzim. Niech się śmieje. Także śmiech zapobiega czynom.

Ale on pozostawał uważny i jak zawsze sceptyczny. Ani śladu dołeczków od śmiechu.

Po obu stronach dojazdu do schroniska dla zwierząt w Lankwitz ciągnie się psi cmentarz. Nagrobki (wielkości dziecięcych grobów) opowiadają o Puciach, Rolfach, Harrasach, Biankach. Stare kobiety przychodzą raz za razem i skubią bluszcz. Niekiedy w marmur wpuszczone są fotografie. Inskrypcje mówią o wierności, o niezapomnianej wierności.

* Johann Georg Forster (1754-1794), urodzony w Mokrym Dworze koło Gdańska, zmarły w Paryżu przyrodnik, pisarz i podróżnik, zwolennik Rewolucji Francuskiej (przyp. tłum.).

Przed rozpoczęciem lekcji Scherbaum czekał na przystanku autobusowym: – Przemysleliśmy sprawę. To niemożliwe.

–Wolno mi znać powód, powody?

–Pańska propozycja niemal ścięła nas z nóg...

–Zrozumiała reakcja...

–Ja wcale nie kryję: naturalnie boimy się...

–Niech pan da mi to zrobić, Scherbaum. Nawet jeśli to teraz zabrzmie zbyt górnolotnie: ja się nie boję.

–Właśnie. I dlatego to jest niemożliwe.”

–Wykręty...

–Taką rzecz może tylko zrobić ktoś, kto się boi.

–Dawniej ja też się bałem...

–Bo ja zdałem sobie sprawę: co się robi bez strachu, to się nie liczy. Pan chce to zrobić tylko dlatego, żebym ja tego nie zrobił. Pan w to nie wierzy. Pan jest dorosły i zawsze chce tylko zapobiegać gorszym rzeczom.

(Oto byłem ja: wolny od strachu i zapobiegający gorszym rzeczom profesor Eberhard Starusch ze swoim przytłumionym arantem kuku. Powinienem być to powiedzieć: obawiam się w każdym razie bólu zębów. – I kiedy on zabiera się do miejscowego znieczulania: obawa przed drobnym nieprzyjemnym ukłuciem...).

–Sądzi pan zatem, że jako dorosły zatraciłem czystość, a tym samym i strach. Toteż jako nieczysty nie mogę się poświęcić.

Scherbaum szukał punktów w powietrzu i chyba też je znalazł:

–Więc z czystością i poświęceniem to nie ma nic wspólnego. Pan mówi czasami, jak mówi Archanielica, bardzo napuszenie. Poświęcenie to przecież coś metaforycznego. To, co my chcemy zrobić, ma jakiś cel. Ale to wyjdzie wtedy tylko, kiedy człowiek się boi.

Rzecz szła o słowa: – Scherbaum, jak ktoś boi się coś zrobić i mimo wszystko to robi, ponieważ ma osiągnąć jakiś cel polityczny czy, powiedzmy, humanitarny, to zdobywa się na poświęcenie, to się poświęca.

–No dobra. W każdym razie sprawa musi być absolutnie czysta.

O ile Wero Lewand zatrzymała mnie na korytarzu – Jak pan nie przestanie wreszcie deprymować Flipa swoimi nieczystymi propozycjami... – o tyle Irmgarda Seifert dorwała mnie podczas wolnej godziny:

–Nie podoba mi się, Eberhardzie, pański sposób reagowania na moje problemy nieprzemyślanymi propozycjami. Jeśli dla mnie istnieje jakieś rozwiązanie, to musi być absolutnie czyste. Rozumie mnie pan?

Mój dentysta pocieszał mnie naukowymi argumentami przeciwko czystości, które były mi znane. Odwiedziłem go: „dla kontroli”. Uśmiechał się wszechwiedząco i denerwował mnie konfidencjonalną liczbą mnogą, kiedy mówił: – My dwaj nieczyści – i robił przymówkę do mojego degudentowego mostu w dolnej szczęce: – Nawet to platynozłoto, które ma panu pomóc w uzyskaniu normalnej artykulacji, nie jest, w przenośnym znaczeniu, czyste, ponieważ w wypadku tego specjalnego stopu chodzi o patent Degussy, która utrzymuje dość podejrzane stosunki handlowe z Południową Afryką. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie jakiś włos w zupie. Ale zadziwiające, że nawet pański uczeń, którego – przy całej młodzieńczej ekstrawagancji – miałem za trzeźwego gościa, stawia tak absolutne wymagania.

Zanim obejrzał degudentowe mosty, posmarował moje wciąż jeszcze zaognione dziąsła i pokrył szklistą maścią powoli gojącą się oparzelinę na dolnej wardze, byliśmy zgodni – Oto dorasta nowe pokolenie, które przy całej okazywanej rzeczowości szuka nowego mitu Ostrożnie, ostrożnie!

(Ona wyprzedza moje zamiary Wylicza sobie na palcach moje pragnienia Dzisiaj jest kolej na to) Na krótko przed północą stanęła obok mnie przy kontuarze mojej narożnej knajpy i powiedziała – Tak sobie myślałam, że jest pan albo u Reimanna, albo tutaj

Pozwoliła mi postawić sobie coca-colę i żytniówkę (Tylko nie mnożyć pytań. Niech sprawa sama wypłynie. Stara chłopska zasada kto chce sprzedać świnię, musi gadać o pogodzie) – Dawniej, kiedy nie miałem jeszcze przyjemności występować w roli pedagoga, pracowałem w przemyśle cementowym. I cemenciarze, tak nazywa się robotników cementowni, pili już do śniadania jedną, dwie żytniówki, co prawda bez coca-coli do popłukania. Za to kilka butelek piwa Nette. Nette to rzeczka w Przedniej Eifel. Wije się malowniczo przez największy w Niemczech obszar wydobywania pumeksu. Nie wiem oczywiście, czy pani interesuje się pumeksem. W każdym razie pumeks należy geologicznie do tufów trachitowych z Laach. Erupcją tych tufów zakończyła się aktywność wulkaniczna w rejonie jeziora Laach.

–Czemu nie zostawi pan Flipa w spokoju?

(To mówi ona i nic sobie nie robi z pumeksu) – O ile mi wiadomo, panno Lewand, nazywa się pani marksistką. Dlatego nie mogę pojąć, czemu okazuje pani tak mało zainteresowania warunkami, w jakich żyją robotnicy w przemyśle przetwarzającym pumeks. Ja też uważam się za marksistę.

–Pan jest liberałem. A Mao mówi o liberałach. „Opowiadają się wprawdzie za marksizmem, nie są jednak gotowi wprowadzić go w życie”. Pan nie potrafi się zdecydować.

–Zgadza się. Jestem liberalnym marksistą, który nie potrafi się zdecydować.

–Pan się powołuje na marksizm, ale działa w duchu liberalizmu. Dlatego też próbuje pan gadaniem zapędzić Flipa do narożnika. Ale to się panu nie uda.

(Będziemy ciągnąć węzółki? Przy tym ona potrafi ładnie wyglądać w tym swoim płaszczyku z kapturem).

–Panie kelner, duże jasne!

–Dla mnie małe.

–Droga Weroniko. Musi to być również w pani interesie, kiedy ja zwracam pani Filipowi uwagę na skutki tak bezsensownego poświęcenia.

(Ta nosowa dobitność). Wero Lewand mówiła cicho – powiem nawet w skupieniu – do baterii butelek za kontuarem – W „Yü Gung przenosi góry”. Mao powiada „Być stanowczym, nie bać się żadnych ofiar i pokonywać wszelkie trudności, aby osiągnąć zwycięstwo”. Otóż to. Ja już sobie pójdę. Pan potrafi wszystko zawsze tylko interpretować, zmieniać pan nie potrafi. A tymczasem stoimy na progu trzeciej rewolucji. Tylko paru reakcjonistów jeszcze tego nie pojęło.

Gdy poszła, zjawilo się moje duże jasne. Chętnie byłbym jej opowiedział o smutku mojego besserwischerstwa. O wahaniu i obawie przed wyprowadzaniem słów na barykady (Także o tym, jak słówko „poświęcenie” zapycha mi uszy. Po wielomiesięcznej, pełnej poświęcenia walce szósta armia. Poświęcić coś na pomoc zimową. Poświęcenie poświęcenie) Ach, jakże złoto szerniało.

Bądź co bądź moja propozycja zamąciła czystą i mającą przecież określony cel. Scherbaumową ideę poświęcenia zadzwonił do moich drzwi, nie chciał wejść, miał Maksa na smyczy i powiedział – Pomysł z psem ze schroniska dla zwierząt trafia nam do przekonania. To nie musi koniecznie być Maks. Pojadę do Lankwitz i kupię, jeśli takiego mają, białego szpica. Orientuje się pan, ile będą chcieli za szpica bez rodowodu?

Chciał ode mnie pożyczyć pieniędzy, dość bezpośrednio – „Pod koniec miesiąca zawsze u mnie krucho” – i mimo to wzbraniał się wejść do mojego mieszkania, kiedy poprosiłem o krótki czas do namysłu – Zaparzę nam szybko herbatę, Filipie, a potem na zimno omówimy sprawę.

–Wero czeka na dole. Forsę może mi pan też dać jutro

–Dużo pan ode mnie wymaga, chce pożyczyć pieniądze, żeby kupić szpica, oblać benzyną i publicznie spalić, a mimo to nie pozwala mi wejrzeć w swoje, muszę przyznać, nader chimeryczne myśli To nie fair.

–No, jak pan nie chce

–Jeszcze wczoraj wszystko musiało być „absolutnie czyste”, a już dzisiaj szykuje pan zgniły kompromis prosząc o pieniądze dorosłego, który w to wszystko nie wierzy i nawet się nie boi. Czemu fałszuje pan swoje poświęcenie?

–Pan nie powinien pytać, pan powinien pomóc.

–Dobra. Boi się pan o Maksa. To zrozumiały strach. I teraz ja oraz bezimienny szpic ze schroniska dla zwierząt w Lankwitz, być może suka dopiero co pokryta, mamy zapłacić za pańskie, muszę to powiedzieć, godne pożalowania tchórzostwo.

–Lankwitz to był pański pomysł.

–Za który mógłbym w pańskim interesie wziąć odpowiedzialność.

–Ale pan być może też by kupił szpica.

–Nie po to, żeby uratować pańskiego Maksa. Chodzi o pana, Scherbaum, o pana! Natomiast pański plan to wyzysk, to prawdziwy imperializm. Oszczędzić własnego psa i wykończyć jakiegoś innego zwierzaka. Mnie się ten rachunek nie podoba.

–Mnie też nie. Prawdopodobnie ma pan rację.

Scherbaum zostawił mnie stojącego w otwartych drzwiach, nie spojrzał na windę i ze swoim Maksem zbiegł, nie, uciekł na dół. Zaparzyłem sobie herbatę, wypilem dwa, trzy łyki, po czym pozwoliłem jej wystygnać.

(Jestem z siebie zadowolony. Jestem z siebie zadowolony? Małe korzyści po południu, które wykruszają się z zapadnięciem zmroku).

–Powinien pan być pożyczyć chłopakowi pieniądze – powiedział mój dentysta. – Te czasochłonne korowody, jazda do Lankwitz. Wyszukanie i zakupienie psa. Kupno smyczy. Obecność białego szpica w mieszkaniu rodziców. Tłumaczenia wobec matki, która ma to wytłumaczyć ojcu – albo odwrotnie. Potem, przyjmijmy sprzyjającą ewentualność: zarysowująca się przyjaźń między jamnikiem a szpicem. Szamotanie się dla zabawy, kłapanie zębami i umizganie. Być może pański uczeń ma młodszą siostrę... – Nie ma. Nie ma siostry. – Tylko założmy. I małej szpic przypada do serca, chce go, przy poparciu rodziców, mieć dla siebie. Wszystkie te nieobliczalne następstwa wielokrotnie i coraz bardziej krzyżowałyby plany pańskiego ucznia.

–To spekulacje, doktorciu. Czyste spekulacje. – Nie dość na tym: nowa sytuacja pozwoliłaby panu wygrywać jamnika przeciwko szpicowi. Choćby przy pomocy podchwytliwych pytań: „Czemu by nie spalić obu psów?! Albo: „Czy oba psy nie powinny pyskami ciągnąć losów?” Albo: „Czy chęć tak samowładnego decydowania o życiu i śmierci

zarówno jednego, jak i drugiego psa nie jest nie fair?” Prosty rachunek, mój drogi: dwa psy to po prostu więcej niż jeden, Wszystko staje się bardziej skomplikowane i tym samym bliższe bądź co bądź zdrowego rozsądku...

Nasza rozmowa telefoniczna otarła się jeszcze o stomatologię, marginesowo o bieżącą politykę („Ten Lübke jest naprawdę nie do wytrzymania...”) i utartym zwyczajem skończyła się wymianą cytatów.

On: – Nawiasem mówiąc Seneka tak wypowiada się na temat etyki: „Nasze ludzkie społeczeństwo podobne jest do łukowego sklepienia: zawaliłoby się, gdyby nie poszczególne kamienie...”

Ja: – Ten motyw sklepienia podejmuje później Kleist w liście do siostry...

On: – I dalej. Niech pan posłucha: „Ważna jest tylko moralna zacność życia, nie jego długość. Często jednak polega ona właśnie na tym, by nie żyć zbyt długo!”.

Ja: – Jak Scherbaum to usłyszy, zostanie stoikiem: Pański stary Seneka wcale tak bardzo się nie myli. Jutro spalę Maksa. Siedemnaście lat to aż nadto.

Mój dentysta roześmiał się. Więc i ja podchwyciłem śmiech. (Dwaj śmiejący się mężczyźni połączeni kablem). On zaczął i pierwszy się opanował: – Oczywiście ma pan rację. Bzik starożytnych Rzymian na punkcie etyki redukuje spodziewaną długość życia... Ale co się tyczy chłopaka: powinien pan być pożyczyciel mu pieniądze.

(Wciąż jeszcze, ilekroć pociągam pierwszy łyk piwa u Reimanna, odzywają się jego degudentowe mosty: Nic gorącego! Nic zimnego!

Obce ciała przewodzą... Jego rady są zbyt rozsądne, aby można było ich usłuchać przed pierwszą szkodą. Radzę panu... – Niech pan mi lepiej nie radzi, doktorciu. – Czy panu w ogóle można jeszcze radzić?

–No i co ja mam zrobić, doktorciu?)

Na drugi dzień – miałem wolną godzinę – wywołałem Scherbauma z lekcji muzyki, której Irmgarda Seifert uczy moją 12a. On przybrał minę dobrze wychowanego dziecka. – Namyśliłem się, Filipie. Może pan mieć te pieniądze. Dzwoniłem do Lankwitz. Szpic bez rodowodu kosztuje od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu marek.

Wczoraj to była tylko chwila słabości, za którą chciałbym.

stokrotnie przeprosić. Albo to będzie Maks, albo w ogóle nic...

–Ale moja oferta w żaden sposób nie zobowiązuje pana...

–Wtedy mogę też pluszowego psa. Albo kilka. Wero Lewand ma całą kolekcję. To zresztą wcale nie taki zły pomysł. Zapytam ją, czy zechce się rozstać ze swoim zoo. Powinno się od tego zacząć, całkiem niewinnie, żeby kapeluchy pomyślały: No tak – pluszowe psy.

Dziecinne wyglupy, jeden z tych nedorzecznych happeningów. A potem poświęcę Maksa – i porzycją się ciastkami.

Patrzyłem na jego przedstawienie. Porwał go pomysł z pluszowym psem. Naśladował sztywne zwierzęta, wydawał z siebie kaczo-donaldzie dźwięki (uf mi nam wrrr) i markował też wymiotowanie ciastkami: – Bulg chark bluzg. – Powiniennem był go zostawić. Ale elegijnym zdaniem końcowym – Szkoda, Filipie, chciałem panu pomóc – dałem mu okazję do zostawienia mnie: – Wiem, że pan mi dobrze życzy.

Mój uczeń wrócił do muzycznych zajęć. Słyszałem z korytarza, że klasa śpiewa coś z Orffa.

Jest zdolny. (Każdy dobrze mu życzy). Ma dar pojmowania. (Zbyt łatwego pojmowania). Przykłada rękę tylko do czegoś, co go bawi. (jego doskonale wypracowanie na temat symbolu w reklamie: „Gwiazda mercedesa jako zabawka na choinkę”). Jest mojego wzrostu, ale jeszcze rośnie. (Störtebeker był trochę niższy). Kiedy się śmieje, ma dołeczki. Jego rodzice oboje żyją. Ojciec ma kierownicze stanowisko u Scheringa. Matkę znam z zebrań rodzicielskich: przystojna pani po czterdziestce, która uważa, że syn jest „jeszcze bardzo dziecinny”. On ma dwóch starszych braci, którzy studiują w zachodnich Niemczech. (Jeden w Akwizgranie: budowa maszyn). Mimo nieprzeciętnych wyników w moich przedmiotach i w dziedzinie muzycznej (gra na gitarze) również tym razem będzie miał duże trudności z przejściem do następnej klasy. Przyjaźń z Wero Lewand nie zdołała go zradycalizować. (Co najwyżej żąda on – całkiem rozsądnie – zniesienia lekcji religii i wprowadzenia filozofii i socjologii jako przedmiotów podlegających normalnym ocenom). Satyryczne skłonności popychają go często do przejaskrawień. W jednym z wypracowań napisał: Mój ojciec oczywiście nie był hitlerowcem. Mój ojciec był tylko inspektorem obrony przeciwlotniczej. Inspektor obrony przeciwlotniczej nie jest oczywiście antyfaszystą. Inspektor obrony przeciwlotniczej jest niczym. Jestem synem inspektora obrony przeciwlotniczej, a więc jestem synem niczego. Teraz mój ojciec jest demokratą, jak dawniej był inspektorem obrony przeciwlotniczej. Wszystko robi właściwie. Nawet kiedy czasami mówi: „Moje pokolenie popełniło wiele błędów”, mówi to zawsze we właściwym momencie. Nigdy się nie kłócimy. Czasami mówi: „Ty też doświadczysz jeszcze tego i owego”. Również to jest właściwe, bo można przewidzieć, że czegoś doświadczę. I to jako nic albo jako inspektor obrony przeciwlotniczej, co, jak udowodniłem, jest tym samym. („Co pan w tej chwili robi?”. – „Doświadczam czegoś”). Moja matka mówi często: „Ty masz wspaniałomyślnego ojca”. Czasami mówi: „Ty masz zbyt wspaniałomyślnego ojca”. Wtedy moje wspaniałomyślne nic mówi: „Zostaw chłopaka, Elżbieto. Kto wie, co się jeszcze zdarzy! Także i to znów jest właściwe. Lubię mojego ojca. Potrafi tak nadzwyczaj smutno wyglądać przez okno. Potem mówi: „Wy to macie dobrze. W świecie niemal bez reszty pokojowym. Miejmy nadzieję, że to się utrzyma. Nasza młodość wyglądała inaczej, całkiem inaczej”. Naprawdę lubię mojego ojca. (Siebie też lubię). Jako inspektor obrony

przeciwlotniczej podobno ratował ludziom życie To piękne i właściwe. Czy ja byłbym dobrym inspektorem obrony przeciwlotniczej? Kiedy latem idziemy się kąpać w Wannsee...

Trudno było wystawić ocenę temu wypracowaniu. (Wskazując na zbyt dużą zależność literacką próbowałem wykręcić się od oceny). Przy tym jest naprawdę zdolny.

Również Irmgarda Seifert uważa Scherbauma za zdolnego. („Chłopak ma artystyczną żyłkę...”) Lecz zanim zdołałem porozmawiać z nią o Scherbaumie, znów (i tym samym co zawsze udręczającym tonem) zaczęła się rozwodzić nad owymi starymi listami, których odkrycie i ocenę odkrywała i oceniała wciąż na nowo. Tym razem szczególnie wydajny był dla niej urywek listu: „Nareszcie jestem gotowa do poświęceń!”, ponieważ słowo „nareszcie” miało być dowodem, że przedtem najwidoczniej nie była gotowa do poświęceń, że wątpiła. Przekonywałem ją, że powinna postawić na wątplenie: – Ono przekreśla późniejszą gotowość, a przynajmniej czyni ją problematyczną.

Ta rozmowa odbyła się między zameczkiem myśliwskim a leśną gospodą Paulsborn. Wzięła mnie swoim volkswagenem na spacer wokół Jeziora Grunewaldzkiego. Zaparkowaliśmy wóz przy Rosenecku i ruszyliśmy przed siebie. Nic nadzwyczajnego, bo w czasach mojego asesowania należało do naszych zwyczajów obchodzenie przed lekcjami Jeziora Grunewaldzkiego w koło. Prowadziliśmy rozmowy, jakie może prowadzić tylko profesorka gimnazjum z rówieśnym sobie asesorem: utrzymując poważny bądź wesoły dystans, zapuszczając się też w rejony zuchwałej, z lekka wysilonej swawoli, która groziła często raptownym przeskokiem w swe przeciwieństwo, w mroźne zakłopotanie. (Ja, przez wzgląd na naturę i samotność we dwoje, czułem się w obowiązku poszerzać nasze przyjacielskie koleżeństwo o bądź co bądź wyobraźną możliwość zakochania się pod czterdziestkę; pojawiające się uczucie niesmaku dawało się zatrzeć jedynie wytężonym dowcipem). Z początku truchtając wokół jeziora zachowywaliśmy, bez szczególnego wysiłku, dystans; od czasu odkrycia, jakiego Irmgarda Seifert dokonała na matczynym strychu – to ją wytrąciło z równowagi, znów zaczęła palić – spacerowa „rundka wokół jeziora” stała się dla naszych stosunków obciążeniem. Zacząłem (dla kaprysu i z połowiczną ochotą) wyszukiwać i stwarzać sytuacje, które by co najmniej umożliwiały fizyczne zbliżenie. Ona też tego próbowała. Odwiedzaliśmy się nawzajem bez uprzedzenia. W trakcie jakiejś tam rozmowy całowaliśmy się ni z tego, ni z owego, aby po tym całowaniu podobnie spieszenie wracać do rzeczowego tonu. Pokpiwaliśmy z naszej „zwierzęcej lubieżności” i wyszydaliśmy naszą niemożność – To jest fałszywy alarm, Eberhardzie. Oszczędźmy sobie wyczuwalnej już teraz melancholii.

Tak kpiąco i szyderczo, nawet zgryźliwie, z racji wczesnej pory, zaczęliśmy nasz spacer, na który umówiliśmy się poprzedniego wieczoru ja po raz kolejny odwiedziłem ją bez uprzedzenia. Zrobiło się późno i nie było widać końca.

–Bez przeszkód dotarł pan do domu?

–Pozwoliłem sobie jeszcze na dwa piwa i wypróbowałem nową kombinację cola pod

pospolitą żytniówkę.

–Jakaż to lekkomyślność. Więc ja pana zupełnie nie znam. W każdym razie nasze stosunki odznaczają się namiętną powściągliwością.

–Może boimy się zniszczenia tego otwartego układu przez działanie.

–Ach, co tam! Jesteśmy przecież obecni tylko za sprawą organów mowy i odrobiny nie wykorzystanej sympatii. Pan z upodobaniem cofa się w przeszłość i szuka pożywki w czasach swego, jak muszę przyznać, męczącego narzeczeństwa, podczas gdy ja, odkąd te listy wpadły mi w ręce, z wielkim wysiłkiem tropię siedemnastolatkę, która zrobiła coś, zrobiła w moim imieniu coś, czego ja nigdy.

–Zapomina pani, Irmgardo, że ja w chwili zaręczyn liczyłem sobie dwadzieścia siedem wiosen, a więc, Bóg mi świadkiem, zawiodłem jako człowiek dorosły...

–Cóż znaczy różnica wieku, skoro chodzi o klęski, których ani pan, ani ja w żaden sposób nie zdołamy przerobić na zwycięstwa. Na przykład od wielu dni usiłuję zinterpretować na swoją korzyść urywek listu, krótkie, nieznośne zdanko „Nareszcie jestem gotowa do poświęceń!”. Po prostu śmieszna ta moja sytuacja muszę być oskarżycielem i obrońcą we własnej sprawie. Co pan na to powie? To wysunięte na czoło „nareszcie” jest bądź co bądź interesujące, może nie?

Mieliśmy już za plecami zameczek myśliwski i dreptaliśmy w stronę Paulsbornu Przejaśniało się z ociąganiem, dzień wcale się nie kwapił. Śnieg ścięty nocnym mrozem chrzęścił. Tam, gdzie uchodził Langes Luch, zamarznęte połączenie między Krumme Lanke a Jeziorem Grunewaldzkim, robotnik leśny, ze względu na kaczkę, rąbał lód. Jego oddech unosił się biało ponad ramionami. Zaraz po tym, jak skręciliśmy w prawo i niekiedy idąc gęsiego skracaliśmy sobie drogę wydeptaną ścieżką wzdłuż północno-zachodniego brzegu jeziora, przysły mi do głowy słowa gorliwego pocieszenia – Bo widzi pani owocne wątplenie, to wszystko, co poprzedza słowo „nareszcie”, pozostało pani, podczas gdy głupi i, jak wiemy, pozbawiony następstw czyn należy do przeszłości i powinien być na zawsze wymazany z pamięci.

Ale Irmgarda Seifert była znów pilna niczym bóbr do końca jeziora, ściśle mówiąc do drewnianego mostku nad strumieniem, który łączy nasze jezioro z Hundekhelesee, wałkowała swoją klęskę. I na mostku, pośród rozkwakanych kaczek w przeręblach, gdy pocałowałem ją wściekle, żeby zatkać jej gębę, tak jest, zatkać gębę, ledwie odsunawszy się od niej usłyszałem zakończenie przerwanego zdania – przy tym nabieram coraz większej pewności, że musiałam być rozczarowana, kiedy po moim meldunku nic się nie działo. Muszę przyjąć, że złożyłam drugi meldunek, nie, powiedzmy wprost doniesienie. Podwoiłam swoją winę.

Jako że byliśmy spóźnieni, parłem w stronę Rosenecku – Ale chłop przeżył zarówno

pierwszy, jak i drugi, przypuszczalny tylko, pani meldunek.

–Nie o to chodzi Niechże pan zrozumie!

–Jeszcze jak rozumiem!

–Słowa, rzekome związki przyczynowe.

–Właśnie Chłop, jak mi pani mówiła, umarł w dziesięć lat później po drugim zawale Pani żyje, ja przez czysty przypadek także przeżyłem, a mój uczeń, nie, nasz Filip Scherbaum jest w potrzebie.

–Niech pan wreszcie przestanie wyjeżdżać z tymi szkolnymi głupotami. Nic mnie nie uwolni od winy. Te listy, szczególnie to jedno okropne miejsce w liście.

(Przyszła pora na zapiski dzisiaj rano, o ósmej trzydzieści z małym ogonkiem, po tym, jak ją pocałowałem i przy okazji rozkrwawiłem sobie gojącą się bardzo powoli ranę na dolnej wardze, spoliczkowałem moją koleżankę Irmgardę Seifert. Przy czterech stopniach poniżej zera, pomiędzy ośnieżonymi sosnami i brzoźami, powyżej oblodzonych schodów, które wiodły przez las do drogi biegnącej w kierunku Clay-Allee, uciałem jej zdanie wymierzonym lewą dłonią policzkiem. Trzasnęło zdrowo, ale ptaki się nie zerwały. Za czasów mojej służby pomocniczej w lotnictwie, kiedy nazywano mnie Störtebekerem, spoliczkowałem raz dziewczynę, potem już nigdy więcej. Ledwie to zrobiłem po raz wtóry, zapragnąłem, żeby widzowie, nie, żeby Linda zobaczyła, jak ja... Policzek, jakkolwiek śmieszny, jest wszakże czynem. Kamień uderza o powierzchnię wody i zatacza kręgi: w następujących szybko po sobie ujęciach ponownie uderzyłem z jednej strony Irmgardę Seifert, lecz potem raz za razem z lewej i z prawej uderzałem Linde, z lewej i z prawej Linde, to na Reńskiej Promenadzie, to w składowisku pumeksu, to na Mayener Feld między blokami bazaltu, to znów w pokojach hotelowych – a raz w obecności jej ojca: ten dowolną ilość razy powtarzany czyn. – Wspaniale! – powiedział Krings.

–Wspaniale. Tylko tak ona się opamięta).

Irmgarda Seifert natychmiast poszukała papierosa: – Masz rację. Przepraszam.

Tą samą dłonią podałem jej ogień: – Przykro mi. Ale nie mogłem inaczej.

Pociągnęła trzy razy i resztę wyrzuciła: – Chciałeś rozmawiać o Scherbaumie. – Aż do Rosenecku pozostawaliśmy na ty. Dopiero w volkswagenie, ledwie zapuściła motor, przeszła z powrotem na pan: – Podobnie jak pan uważam, że chłopak jest wybitnie zdolny, co najmniej ma artystyczną żyłkę.

–Czyż nawet doktor Schmittchen, który ma powody, by uskarżać się na brak współdziałania ze strony Scherbauma, nie mówi: Również z mojego przedmiotu jego wyniki, przy większej koncentracji, mogłyby się znacznie poprawić; jego zdolności pozwalają oczekiwać więcej.

Udało się nam rozeźmiać. Jechała pewnie i trochę za szybko:

–leszcze pół roku temu Scherbaum pokazał mi ułożone przez siebie piosenki na gitarę i – kiedy o to poprosiłam – nawet wykonał: to mieszanka. Ból istnienia plus zaangażowanie. Trochę Brechta, przyswojonego z pomocą dużej dawki Biermanna, a więc Villon. Ale to bardzo własne i świadczące – jak się rzekło – o wybitnych zdolnościach.

(Song Scherbauma „Zrywanie gwiazdek” miał się nawet ukazać w antologii liryki szkolnej).

–Ale już nie pisze.

–W takim razie powinniśmy się postarać, żeby znów zaczął pisać.

–A więc wiersze przeciw napalmowi, żeby nie trzeba było palić psa.

–Chociaż nie myślałam o tym tak konkretnie, to jednak intensywne zajęcia artystyczne mogłyby nadać kształt jego chaotycznej krytyce na oślep i – jako że będzie go wypełniał proces tworzenia – przynieść ową uboczną korzyść, której sobie życzymy.

–Ma pani na myśli sztukę jako terapię zajęciową...

–Drogi Eberhardzie, wolno mi chyba przypomnieć, że prosił mnie pan, bym wspólnie z panem poszukała drogi – poszukała wyjścia dla młodego Scherbauma?

–Jestem pani oczywiście wdzięczny...

Resztę trasy przejechaliśmy w milczeniu. Również po zaparkowaniu wozu ani słowa. Na krótkim odcinku drogi od głównego wejścia do szkoły powiedziała cicho i niemal nieśmiało: – Niech pan powie, Eberhardzie, czy może pan sobie wyobrazić mnie siedemnastoletnią, jak siedzę przy wyszorowanym drewnianym stole i literami Sütterlina piszę doniesienie, które jakiegoś człowieka ma pozbawić życia?

Co mnie zmusza do uporczywego odwodzenia jej od zajmowania się sobą. (Dajże jej się kąpać w tej swojej wystawnej kałuży). Ma wąskie, inteligentne palce, którymi wyławia z akwarium swoje gupiki, kiedy pływają do góry brzuchem. (Można by to podpisać: lubię jej ręce, które znam z trzymania się za rączki, kiedy to siedzimy na moim tapczanie i w górę gadamy, bez ustanku gadamy...).

Klasa pisała. (Szepty, odgłosy pisania, pokasywanie, podzielona cisza). Stałem przy oknie i ćwiczyłem zwrócony do szyby: Niech pan powie, Scherbaum. Dawno już nic nie słyszałem o pańskich poetyckich próbach. Również pani profesor Seifert uważa, że powinien pan szczególnie uprawiać pisanie piosenek, zwłaszcza że gra pan na gitarze. Więc niech pan pisze, Scherbaum, niech pan pisze! Wie pan tak samo jak ja, ile siły, ile politycznej siły może tkwić w poetyckim słowie. Niech pan pomyśli o Tucholskim, Brechcie, o „Fudze śmierci” Celana. Bądź co bądź od czasów Wedekinda piosenka polityczna ma u nas

tradycje. Dlatego protest-songom, szczególnie tutaj, w Niemczech, należą się nowe impulsy. Życzyłbym sobie, żeby pan przy swoich zdolnościach...

I tak mniej więcej przemówiłem do Scherbauma na podwórzu podczas przerwy. Stał w pobliżu szopy na rowery obok Wero Lewand. Udałem, iż nie widzę, że ona pali. Wero nie ruszyła się z miejsca i udawała, iż nie widzi mnie. – Niech pan powie, Scherbaum. Dawno już nic nie słyszałem o pańskich próbach poetyckich...

Przerwał mi dopiero, gdy zapuściłem się w szczegółowe rozważania na temat protestu-songu, mówiąc o message, o Joan Baez, o „If I had a hammer” i o flower-power – To przecież działa jak proszki na sen. Sam pan w to wszystko nie wierzy. To niczego nie zmieni. Na tym, jak dobrze pójdzie, można tylko zrobić pieniądze. Nadaje się tylko do wyciskania łez... Zrobiłem próbę z Wero, zgadza się? Jak ci zasunałem mój najostrzejszy song – nazywa się „Pieśń żebracza” i podchwytuje numer z „Chlebem dla świata” – to się pobeczałaś i powiedziałaś Fantastyczne, po prostu fantastyczne!

–Bo to jest fantastyczne Ale nie znosisz, kiedy człowiek uznaje coś za dobre.

–Bo ty poddajesz się tylko nastrojom U ciebie to jest sprawa czysto sentymentalna, czysto sentymentalna.

–I co z tego? jak mi się podoba

–Posłuchaj W tym songu chcę powiedzieć, że jałmużna tylko powiększa nędzę i że jałmużna służy tym, co ją dają, mianowicie posiadaczom i ciemierzcom

–Właśnie to skapowałam I uważam, że jest po prostu fantastyczne.

–Piczka

(Choć było to protekcjonalne, brzmiało dobrodusznie. Kiedy ona paplała o bazie i nadbudowie – „Mamy dzisiaj grupę, Flip Przerabiamy dziś wieczór wartość dodatkową Przyszędłbyś” – jego cierpliwa odmowa tchnęła zarazem sympatią – Ty jesteś i będziesz piczką.

–Również łatwość wymyślania przezwisk – to Filip wprowadził „Old Hardyego” – świadczyła w moim przekonaniu o jego zdolnościach, nikt inny poza Scherbaumem nie mógł wpaść na pomysł nazwania Irmgardy Seifert Archanielicą, a Irmgarda Seifert – czyli Archanielica.

–kilkakrotnie z uznaniem wspominała „Pieśń żebracza” Scherbauma).

–Także pani profesor Seifert uważa, że powinien pan kontynuować ten zaangażowany kierunek.

–Dlaczego? Skoro nawet Wero nie kapuje.

Przyznałem rację z jednej strony Scherbaumowi, z drugiej Wero Lewand i pochwaliłem ich sprzeczkę, nazywając ją pełnoprawną dyskusją, która właściwie sama już dowodzi, jak wielka polemiczna siła dana jest protest-songowi – Ale dobrze, Scherbaum Nie wierzy pan w słowo. Chce pan akcji, czynu Przypuśćmy, że zrobi pan to, co zamierza. Spali pan swojego Maksa pod Kempinским. Ludzie dadzą panu taki wycisk, że wyłąduje pan jeśli nie na cmentarzu, to w szpitalu. Tego pan przecież chce reakcja opinii publicznej. Nagłówki. Doniesienie towarzystwa opieki nad zwierzętami o popełnionym przestępstwie. Szkoła decyduje się, mimo głosów przeciw, na wyrzucenie. Prawdopodobnie i ja muszę odejść, co nie byłoby takie najgorsze. A po dwóch tygodniach nikt już o tym nie mówi, ponieważ coś innego jest na tapecie i wywołuje sensację, być może cielę o dwóch głowach. Zamiast tego siada pan i pisze balladę o jamniku Maksie. W stylu naiwnej ludowości, a jednak ściśle. Przechodzi pan kolejne etapy. Maks jako rozdokazywany szczeniak. Maks dorasta. Filip czyta Maksowi coś z gazety. Maks daje do zrozumienia. Spal mnie Filip mówi me (Być może posługując się moimi nieprzydatnymi argumentami) Ale Maks tego chce. Nie słucha już Filipa, ponieważ nim gardzi. I tak dalej, i tak dalej. Jak panu ten song wyjdzie, to pozostanie i przetrwa wszystkie nagłówki.

Oboje słuchali bez reakcji (Możliwe, że projekt ballady porwał mnie) Teraz Scherbaum wzruszył ramionami i objaśnił swojej przyjaciółce – Old Hardy wierzy w nieśmiertelność. Słyszałaś mam pisać dla wieczności.

–To taka jego oklepana nauczycielska gadka On jest papierowym tygrysem.

–Też dobrze I wasz papierowy tygrys przyznaje nawet, że wierszom przeważnie nie jest dane raptowne działanie, ponieważ działają powoli i często zbyt późno.

–A my chcemy działać teraz, natychmiast!

–Zatem nagłówki, które są wypierane przez inne nagłówki.

–Nie wiem, co będzie jutro.

–To tanie, Filipie, i niegodne pana.

–Nie wiem nawet, co to jest godne.

–Przynajmniej powinien pan próbować zrozumieć świat w jego wielopostaciowości i antynomiczności.

–Nie chcę zrozumieć Niech pan mnie zrozumie! – Ta nagła ostrość. (Pionowa zmarszczka i już ani siadu po dołeczkach od śmiechu) – Przecież wiem, że wszystko da się wytłumaczyć Jakże to brzmi? Ponieważ naruszone są żywotne interesy Amerykanów – o moje nędzne, z góry potępiane łagodzenie) – Dokładnie tak jest. Niestety. Kiedy przeszło dziesięć lat temu powstanie w Budapeszcie naruszyło żywotne interesy Związku Sowieckiego, zostało z całą bezwzględnością – (jego gniew wzrastał lekko) – Wiem. Wiem. Wszystko można

wytłumaczyć. Wszystko można zrozumieć. Ponieważ to, musi tamto. Z jednej strony złe, ale żeby zapobiec gorszemu. Pokój ma swoją cenę. Naszej wolności nie dostajemy w prezencie. Jeśli dzisiaj ustąpimy, to jutro przyjdzie kolej na nas. Czytałem, że napalm udaremnia użycie broni nuklearnych. Zlokalizowanie wojny jest zwycięstwem rozsądku. Mój ojciec mówi: Gdyby nie było bomby atomowej i tak dalej, dawno już wybuchłaby trzecia wojna światowa. Ma rację. To się da udowodnić. Powinniśmy być wdzięczni i pisać wiersze, które podziwiają dopiero pojutrze, jeśli podziwiają, jeśli podziwiają. Nie. Nic nie bierze. Ludzie palą się powoli każdego dnia. Zrobię to. Pies, to ich ruszy.

W tak starannie przygotowanej ciszy Wero Lewand powiedziała:

–Fantastyczne, jak ty to mówisz, Flip. Fantastyczne.

–Piczka!

Lewa dłoń Scherbauma została powstrzymana przeze mnie (tylko ja miałem do tego prawo) i odgięta. Zwróciłem obojgu uwagę na to, że podwórze opustoszało, przerwa się skończyła. Poszli i po kilku krokach Filip Scherbaum lewą ręką objął plecy Wero Lewand. Wolno podążyłem za nimi i czułem dźwięki, obydwu obce ciała.

Jako że miałem wolną godzinę, złożyłem raport mojemu dentyście. Słuchał bez zniecierpliwienia i chciał znać szczegóły: – Czy przyjaciółka pańskiego ucznia oddycha przez usta?

Przytaknąłem zaskoczony i powiedziałem o polipach. Gdy chciałem poszerzyć swoją relację o sprawy zasadnicze – „Tylko jeśli się uda zastosować zasadę pedagogiczną na skalę światową...” – uciął sucho: – Chłopak mi się podoba.

–Ale on to zrobi. On to naprawdę zrobi!

–Prawdopodobnie.

–Co mam robić? Jako wychowawca klasy jestem odpowiedzialny...

–Za dużo myśli pan o sobie. Nie pan, tylko chłopak chce to zrobić.

–A my musimy mu przeszkodzić.

–Właściwie dlaczego? – Mój dentysta spytał przez telefon: – Co zyskamy, jeśli on tego nie zrobi?

–Zabiją go. Baby od Kempńskiego swoimi widelczykami do ciasta. Zadepczą go. A telewizja ustawi kamerę i będzie prosić o ułatwienie pracy. „Bądźcie państwo rozsądni. Cofnijcie się choć odrobinę. Jakże mamy obiektywnie relacjonować, skoro państwo nam przeszkadzacie...”. Mówię panu, doktorciu: może pan dzisiaj na Kurfurstendamie w porze

szczytu, powiedzmy: na rogu Joachimsthaler Strasse, ukrzyżować Chrystusa i ukrzyżowanego ustawić pionowo, a ludzie będą się gapić, pstrykną zdjęcie, jeśli mają aparat przy sobie, będą się przepychać, jeśli nic nie zobaczą, i cieszyć się z lepszych miejsc, bo znów mogą się czymś wzruszyć; ale kiedy zobaczą, jak ktoś tutaj, w Berlinie, podpala psa, będą bić, bić raz za razem, aż nic już się nie ruszy, a i wtedy jeszcze będą walić.

(To był mój numer z Golgotą, zapożyczony od Irmgardy Seifert. – Niech mi pan wierzy, Eberhardzie, codziennie na jakichś skrzyżowaniach mordują Chrystusa, a ludzie przyglądają się, z aprobatą kiwają głowami).

Mój dentysta pozostał chłodny. (Raziły go religijne aluzje).

–Przypuszczam, że pański uczeń wie, czego może się spodziewać przy właściwej szerokim kręgom ludności wybujałej miłości do zwierząt.

–Wobec tego będę jednak musiał złożyć doniesienie.

–Mogę zrozumieć, że obawia się pan o swoją posadę profesora gimnazjalnego.

–Ale co ja mam...

–Niech pan zadzwoni jeszcze raz w południe. Pan rozumie: godziny przyjęć. U mnie ruch jest na okrągło. Nawet gdyby świat stanął w miejscu, ludzie i tak by przychodzili, z ustami pełnymi skargi i krzyku bólu...

Wymierzać krokami mój berberyjski dywan: nowy nabytek. Cytować Jeremiasza: Ach, jakże złoto szerniało... Być podglądanym przez biurko, na którym to, co pozaczynane i zamknięte w teczce, chciałoby snuć nowe historyjki: No chodźże, chodź. Wymyśl sobie małe, nader gustowne morderstwo. Nie możesz przecież dopuścić, żeby twoja narzeczona z tym Schlottauem. Mógłbyś podłączyć ładunek wybuchowy do urządzenia sygnalizacyjnego stołu plastycznego i skoro tylko Linda przystąpi do kontrnatarcia pod Kurskiem, ona, on i Krings mogliby wraz z barakiem... Albo z precyzyjną rzeczowością pozostać przy Schörnerze... Albo lepiej skoczyć do Reimanna na jedno, dwa piwa... Albo nowa kombinacja: coca i czysta...

Cóż mam zrobić? Napisać do mego senatora od szkolnictwa? „Wielce Szanowny Panie Senatorze Evers, szczególny przypadek, który ukazuje mi granice moich pedagogicznych możliwości i zdolności, zmusza mnie, bym zwrócił się do Pana z prośbą o radę; bo któż, jeśli nie pan, powinien być powołany do objaśniającego komentarza. Niech mi wolno będzie na wstępie przypomnieć, że w wywiadzie dla naszej «Berliner Lehrerzeitung» powiedział Pan: Wychodzę z założenia, że istnieją: jednostka ludzka i społeczność. Żadna nie stoi wyżej od drugiej. Obie są wzajemnie zależne i wzajemnie się kształtują! I taka ludzka jednostka, jeden z moich uczniów, jest zdecydowana dać drastyczny wyraz swojemu protestowi przeciwko społeczności: chce w eksponowanym miejscu oblać swego psa

benzyną i spalić, ażeby ludność tego miasta, o której sądzi, że zachowuje się obojętnie, przekonała się, jak to jest: palić się żywcem. Uczeń ma nadzieję, że zdoła w ten sposób zademonstrować działanie takiej nowoczesnej broni jak napalm. Liczy na efekt uświadamiający. Uzasadnione pytanie, dlaczego spalony musi zostać akurat pies, nie zaś jakieś inne zwierzę, choćby kot, kwituje taką oto odpowiedzią: Szczególna i szeroko znana miłość berlińskiej ludności do psów nie pozostawia innego wyboru, bo na przykład publiczne spalenie gołębi doprowadziłoby w Berlinie co najwyżej do dyskusji, która musiałaby zająć się kwestią, czy nie lepiej jest, jak to dotychczas praktykowano, truć gołębie w ramach masowych akcji, zwłaszcza że ulatujące w górę, płonące ptaki mogłyby stać się publicznym zagrożeniem. Próby, jakie podejmowałem, żeby z jednej strony argumentami doprowadzić ucznia do opamiętania, a z drugiej ostrzec przed skutkami jego czynu, nie dały rezultatu. Aczkolwiek uczeń przyznaje, że ma stracha, to jednak gotów jest pogodzić się z gwałtownymi odruchami ludności, która na dręczenie psów zwykła reagować szczególnie nerwowo. Wszelką perswazję uznaje za rozmydlający kompromis, mogący jedynie przedłużyć zbrodnie wojenne w Wietnamie, którymi obciąża wyłącznie wojska amerykańskie. Proszę mi wierzyć, że nie mogę się zdobyć na złożenie doniesienia drogą służbową; bo spontaniczne poczucie sprawiedliwości ucznia zyskuje moją aprobatę. (Jakkolwiek bardzo my, zwłaszcza jako berlińczycy, musimy być wdzięczni amerykańskim protektorom, to gdzie indziej ci sami sprzymierzeńcy codziennie ranią naszą wrażliwość moralną; nie tylko mój uczeń, ja też boleję nad tą tragiczną sprzecznością). W lipcu zeszłego roku, Wielce Szanowny Panie Senatorze, na jednej z uroczystości zakrzyknął Pan: !Obyśmy mieli odwagę cywilną Adolfa Diesterwega!! Pańskie godne podziękowania otwarte słowa zapadły mi w pamięć. Chciałbym prosić Pana o towarzyszenie wraz ze mną mojemu uczniowi w jego trudnej drodze, aby dzięki Pańskiej obecności publiczne spalenie psa nabrało owego uświadamiającego sensu, którego wszyscy nieustannie szukamy, którego szuka również mój uczeń i do którego w każdym momencie powinna zdążać prawdziwa polityka oświatowa, będąca wedle Pańskich słów zawsze polityką społeczną! Z koleżeńskim poważaniem Pański...”

(Nie ma statystyki nie wysyłanych listów. Wołania o pomoc, które pozostają nie ofrankowane. Są bóle zębów – i arantil).

Dopiski, ponieważ ja już nawalając zacząłem tej nawalanki bronić: Chodzi mi o Scherbauma, ponieważ jest człowiekiem; ale berlińczykom będzie chodziło o psa, ponieważ nie jest człowiekiem.

Kilka prób zastąpienia lub skreślenia bez zastępowania słowa „człowiek” i uogólnienia „berlińczycy”: Chodzi mi o Scherbauma; ale publiczne zainteresowanie będzie dotyczyło psa. (Czy mój stosunek do Scherbauma można porównać ze stosunkiem miłośnika psów do swego pieska? Mam fotografię Scherbauma. Ze zdjęcia całej klasy kazałem powiększyć jego i towarzyszące śmiechowi dołączki. W ramkę, która od lat stoi pusta, wsuwam niekiedy, jak coś zakazanego, portret wielkości pocztówki: mój Scherbaumik, jak on przekrzywia głowę... I czy Irmgarda Seifert nie powiedziała: „W pańskim stosunku do Scherbauma brak należytego dystansu. Nie może pan prowadzić chłopaka na smyczy...”).

Projekcje. Miłość zastępcza. Psy, jakoby wierniejsze od ludzi. Cmentarz w Lankwitz. Inskrypcje nagrobne: Moja ukochana Senta... Mój niezapomniany jedyny przyjaciel... Wierność za wierność... Czy (zadajemy sobie pytanie) statystyka obejmująca straty wśród psów podczas wojny wietnamskiej zdołałaby mocniej wstrząsnąć ludnością Berlina niż zsumowane straty w materiale ludzkim na tym samym terenie działań wojennych? Bodycount. Według oficjalnego body-countu...

Seneka powiada o psach: „Także nieme zwierzę ma coś dobrego, ma pewien rodzaj cnoty, odrobinę doskonałości, ale tego dobra, cnoty, doskonałości nie ma nigdy w absolutnej mierze. Ten przymiot przypada w udziale tylko istotom obdarzonym rozumem; jedynie im dane jest poznawać, dlaczego, o ile i jak biegną rzeczy. Toteż dobro żyje tylko w stworzeniach rozumnych...”.

Takie to jest proste. Mógłbym (powinien bym, muszę) z pomocą rodziców Scherbauma otruć długowłosego jamnika Maksa i w ten sposób odebrać uczniowi Scherbaumowi obiekt demonstracji. (Na radykalny zamysł reagować radykalnie).

Gdy w południe zadzwoniłem do mojego dentysty, ten nie wysłuchał do końca mojej, jak powiedziałem, „propozycji z konieczności gwałtownego rozwiązania”. Po szorstkim: – To wystarczy! – podjął nieuprzejmym tonem: – Byłbym panu wdzięczny, gdyby zechciał pan tę kapitulację jak najszybciej wybić sobie z głowy. Można by wręcz sądzić, że ma pan ambicję prześcignąć wariactwa swego ucznia takimi dziecinnymi niedorzecznościami. Po prostu śmieszne: otruć psa!

Powolałem się na moją bezwyjściową sytuację, przyznałem, że jestem poniekąd bezradny, wspomniałem o już poniechanym przeze mnie pomysle napisania do senatora Eversa – on zaśmiał się głośno i bezceremonialnie – powiedziałem mimochodem o ćmiących, a także lekko pulsujących bólach i łykaniu coraz większej ilości arantilu, po czym przy telefonie straciłem panowanie nad sobą – Na miłość boską, doktorciu! Co ja mam robić, doktorciu! Niech pan mi pomoże. Do wszystkich diabłów Niechże mi pan pomoże!

Po dłuższym wdychaniu i wydychaniu jego rada brzmiała – Niech pan poprosi swego ucznia, żeby obejrzał z panem miejsce planowanej akcji. Może z tego coś wyniknie.

Jeszcze przed końcem lekcji zaproponowałem Scherbaumowi obejrzenie miejsca akcji.

–No dobra. Ale niech pan nie żywi przesadnych nadziei. Czego to się nie robi dla swojego nauczyciela.

Zapytałem, czy chce przyprowadzić swoją przyjaciółkę.

–Wero nie ma z tym nic wspólnego Poza tym ja jej wszystko narysowałem Niech ona trzyma się z daleka.

Umówiliśmy się na popołudnie W domu zaparzyłem sobie herbatę.

Podjąć przygotowania czy zachować rezerwę, dopuścić, żeby stało się, co ma się stać? Przechadzać się tam i z powrotem, wymierzać dywan, otwierać książki, podczytywać? Przy goleniu gadać do lustra, aż zapotnieje?

–Cóż mam jeszcze powiedzieć, Filipie? Nawet jeśli masz rację, to się nie opłaca. Jak miałem siedemnaście lat, to ja też. Byliśmy przeciwko wszystkim i wszystkiemu. Nie chciałem słuchać żadnych wytłumaczeń, jak ty. I nie chciałem stać się taki, jaki jestem teraz. Nawet jeśli jestem taki, a ty widzisz, jaki jestem, tak samo jak ja widziałem, jacy byli inni, to wiem, że stałem się taki, jaki nie chciałem być i jaki ty nie chciałbyś być. Ale gdybym chciał być taki, jaki ty jesteś, musiałbym powiedzieć. Zrób to. Dlaczego nie powiem. Jazda, spał go!

–Bo jest pan zazdrosny i sam by chciał, ale nie może. Bo z panem nic już się nie dzieje. Bo brak panu strachu. Bo jest obojętne, czy pan to robi, czy nie. Bo jest pan skończony. Bo ma pan już wszystko za sobą. Bo kazał pan sobie wyreperować zęby na później. Bo pan zawsze chce nabrać dystansu. Bo wymyśla pan sobie skutki, nim zacznie pan działać, żeby skutki odpowiadały pańskim kalkulacjom. Bo pan nie lubi siebie. Bo jest pan roztropny, a przy tym głupi.

–Dobrze, Filipie. Zrób to. Zrób. to za mnie. Ja już nie mogę, bo się wystrzelałem. Dawniej, jak miałem siedemnaście lat, to też mogłem. Byłem człowiekiem czynu. Wtedy była wojna.

–Ciągle jest wojna.

–Dobrze. Teraz twoja kolej. Ale to nic nie da. Pozostanie ci wspomnienie, olbrzymim. Już się od niego nie uwolnisz. Wciąż będziesz musiał mówić. Jak miałem siedemnaście lat, to ja. Jak miałem siedemnaście lat, to byłem człowiekiem czynu. Ale dobrze. Pójdę teraz z tobą tam, żebyś zobaczył, co na ciebie czeka pod Kempiniskim.

Umówiliśmy się bez psa, ale Scherbaum przyprowadził jamnika. Zimne, słoneczne, bezwietrzne styczniowe popołudnie pozwalało nam występować z chorągiewkami oddechu. Ktokolwiek nadchodził z naprzeciwka, wyprzedzał nas lub przecinał nam drogę, również dawał dymny znak. Żyjemy! Żyjemy!

Przed nami rozpościerał się rozległy plac na rogu Kudammu i Fasanenstrasse. Jego bruk obramowywały sterty śniegu o czarnych brzegach, naznaczone psią uryną i zachęcające Scherbaumowego długowłosego jamnika (Porządek i wesołość). Taras Kempiniskiego był pełny. Pod dachem tarasu żarzyły się grzejniki, na zbiorowisko pulchnie obciśniętych pań opychających się wypiekami tchnęły one z góry owym skwarem, który sprzyja temu, że marzną nogi. Pomiędzy znikającymi torcikami tłoczyły się cukierniczki, dzbanuszki ze śmietanką, dzbanuszki z kawą, również z podwójną moka i – jak można było przypuszczać – dzbanuszki z kawą bezkofeinową. Stroje eleganckie i podkreślające tuszę, szyte na miarę, także gotowa konfekcja z krótkich serii Futra, przeważnie karakuły, ale też dużo wielbłądziej wełny, której mlecznokawowy odcień harmonizował z tortem. Sachera i murzynkami, z cieniutkimi plastrami sękacza i popularnym tortem orzechowym. (Wero

Lewand ukuła zwięzłe określenie ciachożerne futrzary). Tu i ówdzie, na smyczy uwiązanej do nogi krzesła, szarpały się psy, skoro tylko my z Maksymem znaleźliśmy upatrzone przez Scherbauma miejsce akcji. Poza tym nie zwracaliśmy uwagi, gdyż szarpanie u nogi krzesła musiało być paniom znajome, przechodzi tamtędy dużo psów (Łącznie jest ich w Berlinie Zachodnim 63 705 Na 32,8 mieszkańca przypada jeden pies. Zrobiło się ich mniej jeszcze w roku sześćdziesiątym trzecim w Berlinie Zachodnim trzymano 71 607, na 29,1 mieszkańca przypadał jeden pies. Uważam, że nie jest to przesadnie dużo. Właściwie liczyłem się z większą liczbą Wszędzie ta sama tendencja spadkowa berlińskie wycieńczenie).

Powinienem być powiedzieć to Scherbaumowi – Całkiem normalnie, Filipie. W dzielnicy Kreuzberg występują nieomal rzadko: na 40,6 mieszkańca jeden jedyny pies. Wobec tych liczb mówić o berlińskim bziku na punkcie psów znaczy podtrzymywać legendę, która się przeżyła). Przebiegaliśmy wzrokiem taras, co można było poczytać nam za szukanie znajomego. Ciastek ubywało. Serwowano nowe wypieki. Żeby oględzinom miejsca akcji odebrać uroczystą ostateczność, zacząłem ironicznie: – Jeśli wyjdziemy z założenia, że berliński pączek zawiera dwieście kalorii, to zbyteczne staje się pytanie o kaloryczność jednego kawałka tortu wiśniowego ze Schwarzwaldem serwowanego z bitą śmietaną.

(Wero Lewand trafnie oszacowała: „Na każdej co najmniej trzy funty biżuterii. I o czym one gadają, kiedy gadają? No o wadze i chęci odchudzania się. Hihi!”).

Panie w kapeluszach patrzyły, jadły i mówiły jednocześnie. Nieapetyczny, często karykaturowany, a przecież niewinny widok. Stojący z boku obserwator, choćby Scherbaum ze swoim powziętym z góry mniemaniem, mógł wobec tak jednoczesnej i ustawicznej żarłoczności wyobrazić sobie tylko jeden odpowiednik: jednoczesne i ustawiczne wypróżnienie; bo tę narzucającą się obfitość strucli jabłkowych, rożków migdałowych, bez śmietankowych i tortów serowych można było zrównoważyć jedynie inną skrajnością, parującym kałem. Docisnąłem pedał: – Zgadza się, Filipie. Kolosalne świństwo. Monumentalne obrzydlistwo... A jednak nie wolno nam zapominać: to tylko aspekt cząstkowy.

Scherbaum powiedział: – Oto siedzą sobie.

Ja odrzekłem: – Opychają się ze zmartwienia.

Scherbaum: – Wiem. Ciastkami Majstrują wszystko.

Ja: – Dopóki jedzą swoje torciki, są zadowolone.

Scherbaum: – To się musi skończyć.

Przypatrywaliśmy się chwilę mechanizmowi załadowywania i wyładowywania widelczyków do ciasta i rejestrowaliśmy wielość małych łyków przy odstawionym w bok małym palcu. (Nazywają to „cukierniczeniem”).

Próbowałem zmniejszyć odrazę Scherbauma (i swoją też): – Właściwie to jest tylko

zabawne.

Ale Scherbaum dostrzegał powiązania: – To są dorośli. To było ich celem. Teraz go osiągnęli. Móc wybierać i zamawiać ponownie, to rozumieją przez demokrację.

(Miałem na jego przesadne porównanie odpowiedzieć skomplikowanymi wywodami o społeczeństwie pluralistycznym? No, doktorciu? Co by pan na moim miejscu?).

Próbowałem go rozweselić: – Niech pan sobie wyobrazi, Filipie, że te panie z całą swoją przelewającą się otyłością siedzą tutaj nago...

–One nie będą już zażerać się tortem. A jeśli po tym zechcą zacząć na nowo, na przeszkodzie stanie im obraz Maksa, jak się pali i tarza.

Odparłem: – Pomyłka. Tu, gdzie pan stoi, złoją panu skórę. Zatłuką pana parasolkami i obcasami. Niech pan tylko popatrzy na te paznokcie. A inni, co tylko wybrali się na przechadzkę, utworzą krąg, będą się przepychać i na koniec kłócić, czy ten strzęp człowieka na bruku spalił sznaucera, teriera, jamnika czy pekińczyka.

Parę osób przeczyta pański plakat, odcyfruje słowa „benzyna” i „napalm” i powie: „Jakie niesmaczne!” Na pewno większość zajadających się ciastkami pań po tym, jak pan wyzionie ducha, natychmiast zapłaci, poskarży się u kierownika i opuści taras Kempńskiego. Ale dojdą inne panie w podobnych futrach i podobnych kapeluszach i będą zamawiały rożki z jabłkiem, bezy śmietankowe i pszczele żądętka. Swoimi widelczykami do ciasta będą sobie nawzajem objaśniały, gdzie to się zdarzyło. Tutaj, tutaj, gdzie stoimy.

Jako że Scherbaum nie nie mówił, tylko wciąż spoglądał, jak ubywało ciasta, jak przybywały nowe torty, ja w dalszym ciągu odmalowywałem konsekwencje: – Nazwą całą sprawę niehumanitarnym barbarzyństwem i przy torcie z kremem oraz mokce będą z upodobaniem odtwarzać przebieg zdarzenia, bo pański Maks nie będzie się palił spokojnie, cierpliwie i szybko. Widzę, jak skacze i tarza się. Słyszę, jak skomli.

Scherbaum nadal nic nie mówił. Maks spokojnie przyjął moje słowa. Ja poddawałem się pomysłom. Gadać, bez ustanku przemawiać do niego: – Przy tym całkiem rozsądnie byłoby spróbować zredukować ich konsumpcję ciastek. Ale wtedy trzeba by wypisać na tablicach wartości kaloryczne poszczególnych przysmaków i co jakiś czas tutaj obnosić. Na przykład: kawałek ciasta z rodzynkami równa się 424 kaloriom. Trzeba by je podzielić na węglowodany, białka i tłuszcze. To byłoby coś, Filipie. Kampania uświadamiająca przeciwko społeczeństwu pławiącemu się w nadmiarze...

Kiedy zacząłem wyliczać ingrediencje i wartości kaloryczne tortu wiśniowego ze Schwarzwaldy, Scherbaum gwałtownie i w kilku nawrotach zwymiotował na bruk przed tarasem Kempńskiego. Mechanizm kilku widelczyków do ciasta zatrzymał się. Scherbaum się dławił. Nic już więcej nie wyszło. Nim zdążył utworzyć się krąg – już piesi przystawali – pociągnąłem Filipa i skomlącego Maksa przez Fasanenstrasse w ciżbę popołudniowych

szlifibruków. (Jak prędko można zniknąć).

W autobusie powiedziałem: – To zrobiło większe wrażenie, niż gdyby spalił pan psa.

–Ale przecież one wcale nie wiedzą, dlaczego się porzygałem.

–Mimo to była duża frajda. Jak one wybałuszyły oczy, Filipie, jak one wybałuszyły oczy...

–Nie ja, tylko one mają rzygać, jak Maks będzie się palił.

–No tak, no tak. To może się zdarzyć. Wzburzenie wewnętrzne...

–Po prostu nie chce pan przyznać, że nawaliłem. Zaproponowałem mu, żeby nie szedł zaraz do domu, lecz napił się u mnie herbaty. Kiwnął głową nie odzywając się. W windzie – wziął Maks na ręce – pot wystąpił mu na czoło. Zaraz nastawiłem wodę; ale on potem nie chciał herbaty, tylko popłukać usta. Kiedy mu zaproponowałem: – Niech pan trochę odpocznie, Filipie – usłuchał i położył się na moim tapczanie. – Koc? – Nie, dziękuję. – Zasnął. Usiadłem przy biurku nie otwierając teczek z tym, co pozaczynane. (Pusta ramka. Kawalki mózdzierza jako przycisk do listów). Wokół tytułu na żółtej tekturze – „Przebrane bitwy” – gryzmoliłem mazakiem smutne obwarzanki. (Ach, torty... Ach, delikatne wypieki... Ach, bita piana... Ach, ta słodycz w wolnej sprzedaży...)

Scherbaum obudził się koło szóstej. Tylko lampa na biurku rzuciła ograniczone światło. On pozostał w półmroku: – Ja już pójdę.

–Maksa, który spał na moim berberze, wziął na smycz. W płaszczu powiedział: – Teraz pewnie powinienem podziękować.

Czy poszedł do Wero Lewand? („jestem do niczego. No powiedzże, że jestem naprawdę do niczego”). I czy go pocieszała, niez mordowanie mówiąc przez nos? („Ach, co tam, Flip. Musisz tylko to zrobić. Ja tam nie kapuję. Dlaczego ty tego nie robisz. To przecież zupełnie jasne. To przecież jest fakt. To odejście od teorii. To praktyka, Flip. Zróbże to”). I czy oboje położyli się między pluszowymi zwierzętami Wero?

Mój dentysta zrobił mi grzeczność i nie śmiał się, kiedy opowiadałem mu o publicznych wymiotach Scherbauma. Jego telefoniczna diagnoza brzmiała: – Ta nawalanka tylko utwierdzi pańskiego ucznia w powziętym zamiarze. Znane reakcje na przekór. Nie zechciały pan przyjąć z chłopakiem do mnie?

Taki on jest: przystępny. Mogę mu opowiadać, co zechcę, nawet moją najbardziej absurdalną propozycję – choćby tę: mój uczeń Scherbaum powinien na próbę spalić jakiegoś psa, żeby pojął, co to znaczy spalić psa, nawet cudzego, być może niepokąźnego kundla,

–przyjmuje spokojnie, aby niewielu pytaniami – „Jakiego psa?” – „Kto tego psa kupi?” –

„Gdzie i o jakiej porze ma się to odbyć?” – całkiem ją unicestwić; mój dentysta rozłożył mój pomysł (jeden z wielu) na tyle składników, że nie mogłem już złożyć go z powrotem. Pomagał mi, zrekonstruował zdarzenie teoretycznie kompletnie, nazwał je „w założeniu rozsądnym”, pochwalił moją pedagogiczną pomysłowość

– „To godne podziwu, jak niestrudzenie szuka pan wyjścia” – a potem przekreślił wszystko, mój pomysł i swój realistyczny koncept:

– Bzdura, którą powinniśmy wybić sobie z głowy; bo kto nam udowodni, że ten relatywnie obiecujący eksperyment nie spowoduje czegoś przeciwnego: może się przecież zdarzyć, że pański uczeń wytrzyma próbę i ze świeżo nabytą rutyną, do której my się przyczynimy, dokona publicznego spalenia własnego psa. Pańska propozycja jest wykonalna, ale relatywnie niebezpieczna.

Ma słabość do słówka „relatywnie”. Wszystko (nie tylko ból) widzi relatywnie. Gdy opisywałem mu scenę na Kurfürstendammie i – na marginesie – skrytykowałem przesadną konsumpcję ciastek, przerwał mi: – Nie wiem zupełnie, czego pan chce. Przecież te panie, choćby nierozsądnie pałaszowały ciastka i torciki, są relatywnie miłe i w pojedynkę całkiem rozsądne. Można z nimi rozmawiać. Może nie o wszystkim. Ale z kim można rozmawiać o wszystkim? Moja matka na przykład – pani obdarzona pruską trzeźwością, lecz nie pozbawiona poczucia humoru i dobrych manier – nabrała zwyczaju bywania dwa razy w miesiącu, po załatwieniu zakupów, w Cafe Bristol. Ja towarzyszyłem jej relatywnie rzadko. Niestety. Po jej śmierci, przed dwoma laty, robiłem sobie wyrzuty, bo najchętniej szła do kawiarni ze swoim synem: „błuźnić i grzeszyć”, jak to nazywała. Jadała tylko jedno ciastko, mianowicie pszczele żądełko bez bitej śmietany. Sam pan przyzna: ten grzech był relatywnie niewielki; w błuźnieniu zachowywała mniej umiaru.

Opowiadał, jak jego matka podczas wojny, w trakcie nalotów, i później, w czasie blokady, uprawiała sztukę błuźnienia: – Ale w ostatnich latach życia godzinka w kawiarni dawała jej najlepszą okazję, by ostrym językiem nie oszczędzić niczego. Pamiętam, że raz była z nami jej szkolna koleżanka, uroczą starszą panią, która zachowała odrobinę dziewczęcości i paliła papierosy w bursztynowej lufce. Żeby pan ich posłuchał! Każdy tajniak doszedłby do wniosku: oto siedzą tutaj dwie anarchistyczne trucicielki, które chcą w najbliższej przyszłości wysadzić w powietrze urząd katastralny i sąd w Moabicy. Nienie, mój drogi. Pańskie uogólnienia są mało przekonujące. Społeczeństwo, nawet kiedy tłoczy się na kawiarnianych tarasach, jest relatywnie wielowarstwowe. Niech pan przy pomocy takich rekwizytów jak garnkowe kapeluszyśka, góry ciastek, otyłość ze zmartwienia nie wymyśla straszdyła. Pańskiemu uczniowi w niczym to nie pomoże, jeśli pan przyjmie jego zawężoną optykę.

Mój dentysta jest żonaty, ma troje dzieci, cieszy się pełnią sił i wykonuje zawód, który prowadzi do czytelnych rezultatów. Ileż pozytywów udane leczenie korzeni, usuwanie kamienia nazębnego, korektury wadliwej artykulacji, zapobiegawcze leczenie w wieku przedszkolnym, reperowanie i ratowanie spisanych już na straty zębów trzonowych, wypełnianie brzydkich ubytków – i potrafi uśmierzać ból („No, czuje pan jeszcze coś?” – „Nic

Zupełnie nic nie czuję”).

Powiedziałem – Dobrze panu mówić, doktorciu. Pan widzi człowieka jako podatną na choroby, wadliwą konstrukcję, która wymaga wiodącej opieki, kto jednak chce więcej, kto pragnie, żeby człowiek wyrastał ponad siebie, stawał się świadom wyzysku, jakiemu jest poddawany, kto oczekuje od człowieka gotowości do zmieniania świata i zastanych stosunków, kto, jak mój uczeń, widzi tylko tępą sytość, dla tego mechaniczne obżeranie się ciastkami staje się kwintesencją mechanizmu kapitalistycznego społeczeństwa.

Westchnął i miał chyba ochotę wrócić do swoich kart z kartoteki – Przyznaję, że to konsumpcyjne społeczeństwo, sprawiające wrażenie relatywnie zwartego, może być dla siedemnastolatka niesamowite, bo niepojęte, pan jednak, jako doświadczony pedagog, powinien się wystrzegać demonizowania rzekomego czy rzeczywistego przeciwnika, obojętne, czy chodzi o panie zajadające ciastka, czy o przeciętnych funkcjonariuszy partyjnych. Nie mając zamiaru wtłaczać pana bez reszty w uogólniającą kategorię „nauczyciel” spodziewam się, że i pan nie odfajkuje mnie w rubryce „dentyści”, chyba że od tej pory będziemy sobie ułatwiali sprawę twierdząc kategorycznie. Wszyscy dentyści to sadyści. Niemieccy nauczyciele zawodzą z pokolenia na pokolenie. Niemieckie kobiety głosowały najpierw na Hitlera, potem na Adenauera i jedzą o wiele za dużo ciastek.

Odrzekłem – Nawet jeśli ja jako nauczyciel, jeśli pan jako dentysta, jeśli pańska szanowna matka jako sporadyczna bywalczyni kawiarni stanowimy relatywnie częste wyjątki – jak pan wie, ja cenię wielu moich kolegów – to jednak możliwe jest, że wszystkie przytoczone przez pana uogólnienia odpowiadają prawdzie, jak choćby odpowiada prawdzie grube uogólnienie „Niemcy to marni kierowcy”, aczkolwiek tysiące niemieckich kierowców od lat jeździ bez wypadku, a Belgowie – to znowu uogólnienie – według statystyki wypadają dużo gorzej.

(Może jednak nie pasujemy do siebie dentysta i nauczyciel. On przywykł do bezbolesnego leczenia, ja uznaję ból za środek poznania, nawet jeśli kiepsko znoszę ból zębów i już przy najłżejszym ómieniu sięgam po arantil. On mógłby ze mnie zrezygnować, ja jestem zdany na niego. Ja mówię „Mój dentysta”, on w najlepszym razie mówi „Jeden z moich pacjentów”).
Zatem nie odwieszam słuchawki Ufam membranę – A jakże, doktorciu. Tak to jest.
Dokładnie tak to jest!

Mój dentysta nigdy nie mówi. Nie ma pan racji. Powiedział – Być może ma pan rację. Bądź co bądź statystyka jest po pańskiej stronie. Wyniki wyborów, wypadki drogowe, częstotliwość konsumowania ciastek dają się rozszyfrować i podsuwają takie oto wnioski kobieta niemiecka głosuje na postacie wodzowskie, je za dużo ciastek i parzy najlepszą kawę na świecie, jak w telewizyjnej reklamie opowiada codziennie pocziwy wujaszek z Tchibo. Ale dowodzi to tylko relatywnej słuszności wymienionych uogólnień. Reklama konsumpcyjna i propaganda polityczna zadowolają się takimi przydatnymi półprawdami i wykorzystują je z powodzeniem, wychodząc naprzeciw potrzebom uogólnień, ale pan i pański, jak sądzę, wielce uzdolniony uczeń nie powinniście zadowalać się tak szybko. Niech pan sobie wyobrazi gdybym ja tak gadał jako dentysta. Ostatecznie muszę na co dzień

walczyć z uszkodzeniami zębów, które powoduje lub którym sprzyja nadmierna konsumpcja ciastek, słodczy. Jednakże wzdragam się przed chęcią likwidacji tortu wiśniowego ze Schwarzwaldu czy cukierków słodowych. Mogę jedynie doradzać umiarkowanie, usuwać uszkodzenia, jeśli nie jest za późno, i ostrzegać przed uogólnieniami, pozorować duże poruszenie, ale – na koniec – wywoływać bezruch.

(Później zanotowałem. Skromność fachowców, kiedy opowiadają o swoich trudnościach i ograniczonych sukcesach, jest pychą naszych czasów. To poklepywanie po ramieniu. Ano tak, wszyscy jesteśmy robotnikami w winnicy Pańskiej. Ich ciągle wzywianie, żeby w każdej chwili, nawet we śnie, różnicować Ich umiejętność relatywizowania choćby największej okropności).

–A jak pan ocenia napalm, doktorciu?

–Cóż, mając na względzie znane mam bronie nuklearne wypada uznać napalm za środek relatywnie mało groźny.

–A co pan powie o warunkach, w jakich żyją chłopci w Persji?

–W porównaniu z sytuacją w Indiach, można, przy całej ostrożności, mówić o relatywnie postępowej strukturze agrarnej w Persji, choć Indie, w porównaniu z Sudanem, wydawałyby się nam krajem reformatorskim.

–Widzi pan więc postępy?

–W miarę, mój drogi, w miarę.

–Może jest nowa lecznicza pasta do zębów.

–Tego akurat nie ma, ale firma Grundig wypuściła na rynek użyteczny aparat EN 3. Już pan o nim słyszał? Mam go od wczoraj. Mój mówiący notatnik, który znacznie ułatwia prowadzenie kartoteki. Polecono mi go na ostatnim kongresie ortopedii szczękowej w St Moritz lekki, poręczny i niezawodny. Ładna zabawka, dzięki której zresztą nagrałem naszą telefoniczną rozmowę. Opisał pan bardzo obrazowo, jak doszło do publicznych wymiotów pańskiego ucznia. Chce pan posłuchać – „Umówiliśmy się bez psa, ale Scherbaum przyprowadził jamnika”. Ale żart na stronę. Niech pan mi przyprowadzi chłopaka Chciałbym go poznać.

Wierzący w postęp przemądrzałec. Obrotny fachomatoł. Układny technokrata Zaślepiiony filantrop Oświecony kołtun Wielkoduszny małostkowicz. Reakcyjny modernista Opiekuńczy tyran Łagodny sadysta Zębodłub zębodłub

Od niechcenia, na korytarzu, powiedziałem – Scherbaum, mój dentysta chciałby pana poznać. Naturalnie potrafię zrozumieć, jeśli nie ma pan ochoty.

–Czemu nie Jesh to panu sprawi przyjemność.

–To był jego pomysł Mówiłem, ot tak, mimochodem, o pańskim planie, oczywiście nie wymieniając pańskiego nazwiska. Wie pan. Ja już panu nie odradzam, jestem jednak ciekaw, co poradzi mój zębodłub. Profilaktyka to jego ulubione słowo Czasami gada trochę za dużo.

Na Hohenzollemdamm – tych parę kroków od Elsterplatz do gabinetu szliśmy piechotą – Scherbaum, jak gdyby znów chcąc mnie oszczędzić, powiedział – Miejmy nadzieję, że nie liczy pan na nawrócenie Idę tylko dla draki.

Przyszedliśmy pod koniec godzin przyjęć i musieliśmy posiedzieć parę minut w poczekalni. (Jego pomoc, nim zostawiła nas samych, wyłączyła fontannę) Scherbaum przeglądał pisma ilustrowane. Podsunął mi otwartego „Sterna” – Pański reichsjugendführer.

Udałem, że nie czytałem kolejnych odcinków – Również ta lektura znajdzie swoich amatorów.

–Na przykład mnie

–I co? Pańska opinia?

–Facet zadaje sobie trud, żeby uczciwie kłamać – jak pan Natychmiast poczułem bóle pod degudentowymi mostami, chociaż w domu wzięłem dwa arantile.

–To było tylko rzeczowe stwierdzenie To samo będę mógł powiedzieć pod swoim adresem, jeśli się ugnę. Ale to od niedawna nie wchodzi w rachubę. Zrobię to.

–Niech pan będzie ostrożny, Filipie Mój dentysta umie przekonywać.

–Już teraz słyszę. Wciąż ta sama płyta Niechże pan będzie rozsądny. Niech pan zaufa rozsądkowi. Zachować rozsądek. Nie tracić rozsądku. Gdzie się podział rozsądek?

Śmialiśmy się jak wspólnicy. (Jego pomoc powinna była zostawić fontannę, niechby sobie paplała).

Mój dentysta jak zawsze sprawiał wrażenie rozluźnionego, niemal wesołego. Powitał Scherbauma bez badawczego spojrzenia, zaprosił mnie na fotel Rittersa, powiedział – No, to już wygląda dużo lepiej. Zapalenia ustąpiły. Ale może jeszcze trochę przedłużymy przerwę.

–i posłał swoją pomoc do laboratorium Mimochodem przeszedł do rzeczy – Słyszałem o pańskim zamiarze. Mimo że sam nie mógłbym się zdobyć na coś takiego, staram się pana zrozumieć Jeśli musi pan to zrobić – ale tylko, jeśli naprawdę pan musi – to niech pan zrobi

Potem zaczął Scherbaumowi i również mnie, jak gdybym był nowicjuszem, objaśniać fotel

Rittera – Odchylane oparcie. Pełna automatyzacja. Trzysta pięćdziesiąt tysięcy obrotów airmatika. Stoliczek na instrumenty po lewej ręce. Dźwignia do usuwania korzeni. Kleszcze do zębów trzonowych. Także ruchoma spluwaczka z fontanną. I kolekcja jeszcze nie zamontowanych degudentowych mostów.

–Widzi pan, w różnych miejscach ludzie nie mają czym gryźć.

Wtrąconym zdaniem wskazał na funkcję telewizora w polu widzenia pacjenta – Mały eksperyment, który moim zdaniem się sprawdził. A jak pan myśli?

Odklepałem swoją kwestyjkę – Wspaniale odwraca uwagę. Człowiek jest myślami zupełnie gdzie indziej. I nawet ślepy ekran ma w sobie coś ekscytującego, jakoś tam ekscytującego.

Scherbaum interesował się wszystkim, a więc także kojącą, odprężającą i naprowadzającą funkcją telewizji w trakcie dentystycznego zabiegu. Chciał wiedzieć, jak to było dawniej – Znaczy się ze znieczuleniem i w ogóle.

Już się bałem, że będę musiał wysłuchać jego anegdot o Charite – czterech chłopca na jednego pacjenta – tymczasem on rzeczowo i zwięźle naszkicował rozwój dentystyki w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat i zakończył z odcieniem ironii – W przeciwieństwie do polityki nowoczesna medycyna może wykazać się sukcesami, które jednoznacznie dowodzą, że istnieje postęp, jeśli trzymać się ściśle i wyłącznie zdobyczy nauk przyrodniczych i wyników badań empirycznych Wszelka spekulacja, która wykracza poza – ograniczone, , jak muszę przyznać – możliwości poznawcze nauk przyrodniczych, prowadzi, nie, sprowadza nieuchronnie na manowce ideologicznych mistyfikacji lub – jak my to nazywamy – fałszywych diagnoz. Dopiero gdy polityka, jak to czyni medycyna, na skalę światową ograniczy się do opieki.

Scherbaum odparł – Ma pan rację. Ja też tak sobie myślałem. Dlatego chcę publicznie spalić mego psa.

(A więc to w taki sposób wymusza się na nim pauzę. Nie chciał nawet zakasać czy mruknąć „hm, hm”. W gabinecie trzy głowy, w których pewnie kłębiło się od spekulacji. Co on teraz? Jak ja, jeśli on? Jak on, jeśli ja jemu? Co ja, jeśli on mnie? Jak mam, jeśli obaj? Jakies brzęczenie? Tylko palnik Bunsena utrzymywał swój usilny ton Teraz! Teraz!

–Nawiasem mówiąc coś mi się wydaje, że pańskie przednie zęby Niech pan powie stokrotka Taktak Naturalnie Czy jako dziecko zagryzał pan wargę? To znaczy górnymi przednimi zębami dolną wargę Bo ma pan tyłozgryz. Mogę obejrzeć?

Odtąd widzę Scherbauma na fotelu Rittera – To coś kosztuje?

–Jak mój dentysta potrafił ujmująco się śmiać – Pośród zwolenników nauk przyrodniczych zdarzają się niekiedy zabiegi darmowe.

–Scherbauma łączyło jednak że mną pewne podobieństwo – Ale żeby nie bolało.

I jego odpowiedź, jakby to Bóg Ojciec w zapiętym pod szyję kitelku i pantoflach z żaglowego płótna stanął do dentystycznej służby – Zadawanie bólu nie jest moim powołaniem.

Jak on się nad nim pochylał. Jak lampką oświetlał jamę ustną. I jak Filip posłusznie wypowiadał swoje wielkie „tak”. (Powinienem być poprosić go o bieżący program w telewizji czy mógłbym obejrzeć raz-dwa berlińskie wiadomości, a potem reklamę?)”“

–Już z mlecznymi zębami trzeba było panu przyjść do mnie.

–Jest tak źle?

–No cóż, no cóż. Zupełnie niezobowiązująco zrobimy rentgena Potem zobaczymy, co dalej.

Mój dentysta, w asyście swojej przywołanej dzwonkiem pomocy, zrobił rentgena wszystkich Scherbaumowych zębów. Poręcznym aparatem Rittera brzęcząc pięciokrotnie wycelował w dolną szczękę Scherbauma, brzęcząc sześciokrotnie strzelił w jego górną szczękę. Każdy strzał został odnotowany. Jak u mnie tak i u Scherbauma cztery dolne siekacze – dwójka i jedynka dół – jedynka i dwójka dół – załatwił jednym jedynym strzałem – No i co, bolało?

Zostawić szeroki margines na dopiski, które później się skreśli. Odfajkowały wspomnienia. Ponownie, tym razem podczas mżawki, przemierzyć Reńską Promenadę w Andernach jak drogę krzyżową stacja po stacji. Albo materiał numer siedem.

„von Dörnberg twierdzi, że oskarżony wbrew prawu domagał się od niego wykonywania wyroków śmierci, nie, jak to określa wojskowy kk, przez rozstrzelanie, lecz przez powieszenie, przy czym oskarżony miał zwrócić uwagę, że na obszarze działania grupy armii Narwa (Grasser) wykonuje się już wyroki śmierci przez powieszenie”. Może jednak mówić Schömer, kiedy chodzi o Schömera „oskarżony żądał, żeby te powieszenia odbywały się przed wysuniętymi punktami dowodzenia, domami dla urlopowiczów i na węzłowych stacjach kolejowych, przy czym skazańcom należało przyczepiać tabliczki z napisami w rodzaju !Jestem dezenterem!”. Albo nie ruszać tego pliku. Albo zejść do Irmgardy Seifert i przeżuwać stare listy. Albo wsunąć w ramki fotografię Scherbaumika i skoczem przykleić do niej tabliczkę !Jestem dezenterem, bo usiadłem w fotelu dentysty ! Wyszedłem w połowie zdania.

–Panie kelner, duże jasne! – i uwiesiłem się przy kontuarze, nie byłem już sam. Gdy przyszli Scherbaum i Wero Lewand, moja podstawka do piwa wykazywała już trzecie duże jasne.

–Parę razy dzwoniliśmy do pana i pomyśleliśmy sobie – (Wiedzą zatem, gdzie jestem, kiedy nie ma mnie w domu).

–Bo jesteśmy zaproszeni na spęd I pomyśleliśmy sobie, czy pan nie miałby przypadkiem

ochoty.

(W takich wypadkach dobrze jest wskazać na ogromną różnicę wieku „Młodzież niech przestaje z młodzieżą”)

–Przyjdą jacyś faceci z uniwerku Asystenci i paru profesorów Też już nie są najmłodszy.

(Jeszcze trochę krygowania się – Nie lubię chodzić nie zaproszony).

–To jest otwarte party Można przyjść i wyjść, i przyprowadzić, kogo się chce.

(A w ogóle to stoikowi wypada stać przy kontuarze – Panie kelner, płacić!)

–Fajno, że pan idzie.

–Ale tylko na chwilkę.

–My też nie zostaniemy tam na wieczność Może będą nudy.

W starym, niemal pozbawionym mebli mieszkaniu w Schönebergu tłoczyło się sześćdziesiąt osób minus siedem, które właśnie wychodziły, plus jedenaście, które właśnie wchodziły lub usiłowały wejść.

Bez Wero nie dalibyśmy rady. Zostaliśmy w płaszczach, bo garderoba znajdowała się podobno dalej w głębi, dokąd nie było dojścia, tylko domysły: Tam w głębi to się toczy, tam się dzieje, co takiego? Ważne rzeczy, no to. Pomiędzy stojącymi, przycupniętymi, przeciskającymi się w poszukiwaniu stało, przycupnęło i przeciskało się w poszukiwaniu oczekiwania. (Na co? – No na to). Nie tylko ja, również Scherbaum stał w ciżbie jak obcy. (Byłoby niesprawiedliwością mówić teraz o ciężkim powietrzu, o hałasie, o nieporuszonym, ostro pachnącym gorącu czy o zewnętrżnościach, choćby o ekstrawaganckiej jednolitości strojów, o fryzurach, o prześcigającej się, tym samym znoszącej się, w sumie monotonnej różnorodności. Rzucała się w oczy wysilona wesołość i zamaszysta gestykulacja, która zdawała się liczyć z ukrytą kamerą; bo w ogóle to party było mi poniekąd znajome jako scena z nadawanego o późnej porze studyjnego filmu – czy z wielu spowinowaconych ze sobą filmów).

–Jak nazywa się ten film?

Ale nie Filip, tylko Wero Lewand znała reżysera, operatora, wykonawców: – Wszyscy są politycznie bardzo na lewo. To nasi ludzie. Ten w czapce à la Castro to najbardziej lewicowy wydawca z undergroundu, jaki istnieje. A tamten przyjeżdża akurat z Mediolanu, gdzie spotkał ludzi, którzy akurat przyjechali z Boliwii, gdzie rozmawiali z Che.

To były punkty zaczepienia. (Co chwila spoglądał na mnie za każdym razem inny Chrystus).

–O czym oni gadają?

–No, o sobie.

–Ale czego chcą?

–No, zmienić, zmienić świat.

Przedstawiono mi gościa z radia („Radio kościelne, ale „bardzo na lewo!”). Zwierzył mi się, że mu się śpieszy. Musi koniecznie dotrzeć do Olafa, który przywozi wiadomości ze Sztokholmu. („Nasz raport o Angoli, wie pan...”) Wero wiedziała, w której ósemce stojącej, przycupniętej, przeciskającej się sześćdziesiątki można znaleźć faceta z Północy: – Tam w głębi, jeszcze za szatnią. – (Odpłynął pozostawiając za sobą torowy ślad).

–Ale Wero, proszę mi powiedzieć, do kogo należy to mieszkanie? Chodzi mi o to, kto pozwala, żeby ponownie kręcono tu scenę filmową, którą widziałem już wiele razy?

Pokazała gościa, który wyćwiczył się w transatlantyckim uśmiechu i na wszystkie strony tchnął szczęśliwością, chociaż jego odstające uszy głośno, bo w tłoku raz po raz przygniatane, domagały się pustego mieszkania.

–On tu mieszka. Ale właściwie mieszkanie należy do wszystkich.

(Szukałem i znalazłem fragmenty u Dostojewskiego. Poniżej Penny Lane'a i rozcieńczony przez „All you need is love”, wiek dziewiętnasty nie chciał się skończyć: „Yesterday yesterday...”).

Scherbaum zrobił się taki cichy, iż zacząłem się obawiać, że to może zwrócić uwagę. (Chyba nie będzie musiał znów rzygać). Jak gdyby chcąc mi dowieść, że naprawdę dochrapałem się miejsca pomiędzy ludźmi bardzo na lewo, na środku pomieszczenia kilku lewicowców zaczęło przywoływać Ho Szi Mina, a poczuwszy jego obecność śpiewać Międzynarodówkę. (A raczej: fragmenty pierwszej zwrotki były, jakby pod przymusem, powtarzane; płyta musiała mieć rysę. To była chyba moja wina, że coraz głośniej, żwawiej, skoczniej słyszałem „O, ty piękny Westerwaldzie...” – a i dziewczyny wcale mi się nie podobały). Za stary. Jesteś za stary. Tylko nie bądź niesprawiedliwy. Ty im po prostu zazdrościsz, że mogą być tacy lewicowi i weseli. Włącz się. Popatrz, gość z kościelnego radia, lewicowy wydawca i jeszcze paru wyleniałych prawie czterdziestolatków. Oni się włączają, wzięli się pod rękę: rozkołysani, podochoceni nadreńczycy pluskają się w źródle młodości: „Wyklęty powstań ludu ziemi...” (... nad twymi wzgórzami zimny hula wiatr...). Stary śledziennik. Zasobny reformista. Typowy belfer. (No, jazda, spróbuj: Ho – Ho – Ho...).

Coś mi się przy tym wydawało, że Filip u mego boku zaczyna bez słowa się starzeć. Powinniśmy byli wyjść. Ale już zaświergotały do niego dwie dziewczyny: – Czy to on, Wero? Ty jesteś ten Scherbaum, o którym wszyscy gadają? Człowieku, ale to bomba. I to

pod samym Kempinskim. Lu benzynę. Buch. I już go nie ma. Musisz nam dać cynk, Wero, kiedy on odstawi ten numer. Fantastyczne, człowieku. Po prostu fantastyczne!

Gdy z sześćdziesięciu osób zrobiło się pięćdziesiąt siedem – Scherbaum pociągnął Wero, ja podążyłem za nimi – na schodach minęliśmy się z sześciu czy siedmiu wchodzącymi.

Scherbaum spoliczkował Wero Lewand jeszcze na klatce schodowej. Goście wspinający się na górę wzięli to za obiecujący znak: – Tam się musi coś dziać.

Ponieważ na podwórku Scherbaum nadal bił (już nie policzkował, tylko walił), rozdzieliłem tych dwoje: – Koniec już! Wypijmy jeszcze razem piwo na zgodę.

Wero nie płakała. Dałem Scherbaumowi chusteczkę, bo krew ciekła jej z nosa. Kiedy ją oporządził, usłyszałem: – Nie odsyłaj mnie teraz do domu, Flip, proszę...

(Zbyteczne i chyba też podłe z mojej strony było, kiedyśmy ruszyli, pogwizdywanie Międzynarodówki). W jakiejś knajpie przy Hauptstrasse znaleźliśmy miejsce przy kontuarze Filip i ja rozmawialiśmy ponad głową Wero, która trzymała się swojej butelki coca-coli.

–Jak panu podobał się mój dentysta?

–Niezły Wie, czego chce.

–Chyba musi, przy swoim zawodzie.

–Pierwszorzędny pomysł telewizor w gabinecie.

–Tak Bardzo dobrze odwraca uwagę Będzie się pan u niego leczył?

–Całkiem możliwe Jak już tamto będę miał za sobą.

–Nadal pan chce, Filipie?

–One mnie od tego nie odwiodą One nie A pan może pomyślał, że kucnę, bo parę takich piczek, które uważają się za lewicowe, powie fantastyczne, po prostu fantastyczne?

Przygotować odwrót i zamówić jeszcze jedną kolejkę Wero łkała w swoją colę (Nosowe, bo spiętrzone przez polipy łkanie). Zaczekałem, aż Scherbaum położy rękę na jej plecach i powie – Chodź Przestań. Już minęło – po czym wyszedłem (- Pogódźcie się. Skłócona lewica to niezbyt piękny widok).

Zimno trzymało Wciąż ten sam suchy zgryz. Kto wychodzi z knajpy, znajduje się w ucieczce. Przygarbić się. Mieć nawyki. (Na przykład zapałka w węźle krawata, rezerwa) Rozejrzałem się wszyscy kiwają sobie nawzajem głowami, nim poślinią palec – Panie kelner, płacić! – to odnosi się zwykle do większego rachunku. Chciałbym teraz być kwita, wsiąść do porannego Panamu i myśleć zgodnie z kierunkiem lotu.

W domu niezmiennie leżało to, co pozaczynane! Otworzyłem teczkę, przebiegłem oczyma rozdział „Schörner na arktycznym szlaku”*, skreśliłem kilka przymiotników, zamknąłem teczkę i układałem potem opinię, jakiej pewnie zażąda, obrońca oskarżonego ucznia Filipa Scherbauma, jak przyjdzie co do czego.

* Ferdinand Schörner, feldmarszałek niemiecki, znany ze szczególnej bezwzględności, jeden z dowódców Wehrmachtu w II wojnie światowej, prototyp postaci Kringsa (przyp tłum)

Już nagłówek sprawiał mi kłopoty Do Wielkiej Izby Karnej Sądu Krajowego w Berlinie? Czy Do Prokuratora Generalnego? (Na razie bez adresu)

Wokół czynu Scherbauma wznosiłem ogrodzenie z literackich porównań, które odnosiły się do siebie i w sumie do czynu Scherbauma. Cytowałem surrealistyczne i futurystyczne manifesty, przywoływałem na świadków Aragona i Mannettię. Cytowałem augustianina Lutra i znajdowałem przydatne kawałki w „Gońcu heskim”. Nazywałem happening formą artystyczną. Ogniowi (całopaleniu), przy całym sceptycyzmie, przypisywałem treść symboliczną. Skreśliłem termin „czarny humor”, zastąpiłem go „niewczesnym studenckim kawałem”, skreśliłem również to i otrzymałem wsparcie ze strony klasyki, przydzielając Scherbaumowi rolę Tassa i sugerując sądowi szerokość horyzontów Antonia. „Podobnie jak potężny, powodowany racjami rozumu Antonio odnosi się z trzeźwym zrozumieniem do poetyckich przejawów rozwichrzonego, bo odurzonego uczuciem Tassa, tak niechby i sąd pogodził przeciwieństwa i w duchu Johanna Wolfganga Goethego doszedł do wielkodusznego wniosku! Tak się nareszcie przypina do skały żeglarz, o której ściany miał się rozbić!”

Mimo że jako opiniodawcy nie zostało mi oszczędzone potępienie czynu Scherbauma, który nazwałem wykroczeniem wyrosłym z ducha ofiary, udało mi się wysnuć liberalny wniosek „Państwo, które obrócone w czyn zamieszanie w głowie tak wybitnie uzdolnionego i nadwrażliwego ucznia uzna za publiczne niebezpieczeństwo, dowiedzie swojej niepewności i spróbuje zastąpić dobrodziejstwo demokratycznej wyrozumiałości urzędową surowością”.

(W przekonaniu, że czegoś dokonałem, poszedłem do łóżka).

W dzienniku klasowym znalazłem anonimowy świstek – „Niech pan wreszcie przestanie deprimować Filipa!” – a w pokoju nauczycielskim leżała w mojej przegródce kartka podpisana I S „Tak rzadko się widzimy. Właściwie dlaczego?” Dwa charaktery pisma, oba pośpieszne i wyprzedzające groźbę, życzenie. Na lekcji udawałem, że nie dostrzegam mojej uczennicy (Ta zużyta patetyczna metoda Pani jest dla mnie powietrzem – I co z tego?) Moją koleżankę zaskoczyłem gadatliwą gorliwością. (Ubawiony i wyniosły opis przedrewolucyjnego spędu). Potem próbowałem swoich sił w roli badacza motywów.

–Może to jakaś wskazówka ojciec Scherbauma był w czasie wojny inspektorem obrony przeciwlotniczej.

–To bądź co bądź dowodzi.

–Nie chodzi mi o polityczny aspekt tej działalności Gasil pożary, został nawet – o czym Scherbaum wyraźnie wspomina w swoim wypracowaniu o ojcu – odznaczony wojennym krzyżem zasługi drugiej klasy.

–Mimo to pańska motywacja inspektor obrony przeciwlotniczej.

–całopalenie nie trafia mi do przekonania.

–Bądź co bądź inspektor obrony przeciwlotniczej to w wypracowaniu słowa kluczowe. Oto przykład „Kiedy idziemy się kąpać w Wannsee albo jak dwa lata temu w St Peter, mój ojciec, inspektor obrony przeciwlotniczej, zawsze idzie z nami, ale nigdy się nie rozbiera, tylko siedzi w ubraniu i przygląda się nam”. No? Co pani o tym sądzi?

–Przypuszczam, że pan podejrzewa, iż ojciec Scherbauma doznał podczas wojny poparzeń i wstydzi się pokazywać publicznie z być może rozległymi oszpeceniami.

–Właśnie i ja doszedłem do tego wniosku, zwłaszcza że w wypracowaniu Scherbauma znajduje się zdanie, które musi potwierdzić moje podejrzenie „Kiedy byłem mały, widziałem raz mojego ojca nago Nagi inspektor obrony przeciwlotniczej”.

–Wobec tego powinien pan porozmawiać z ojcem.

–Mam taki zamiar. Całkiem poważnie mam zamiar.

(Ale już nie chcę. Obawiam się, że ojciec ma ciało pokryte bliznami po oparzeniach. Obawiam się tych nieuchronności. Nie chcę wdzierać się głębiej jestem tylko nauczycielem Chcę, żeby to się skończyło).

Propozycja Irmgardy Seifert, żeby zjeść „coś konkretnego”, nadała naszej rozmowie inny, lecz nie nowy kierunek. Wzięliśmy golonkę. Ja uporałem się ze swoją, jej sporo zostało, bo ustawicznie musiała wygrzebywać stare listy z fibrowej walizki swojej matki i przytaczać zdanie po zdaniu (- To się nie kończy. To jest wina, Eberhardzie. To się nie może skończyć). Nim zapłaciliśmy i wyszliśmy (byłem przez nią zaproszony), przeprosiłem ją na dwie, trzy minuty.

–Jak wypadł rentgen, doktorciu?

Mój dentysta wyraził się ciepło o Scherbaumie, to musi być prawdziwa radość uczyć i wychowywać takiego chłopaka – Niech mi pan wierzy. To prawdziwy Lucyliusz, który wszelako jeszcze nie znalazł swojego Seneki. A co się tyczy rentgena tylko drobiazgi. Ale przecież pan wie, co może wyniknąć z drobiazgów. I tyłozgryz. Tu trzeba coś niecoś zrobić. Nawiasem mówiąc chłopak już dzwonił.

–Czy to ma znaczyć, że Scherbaum interesuje się, jak to jest z jego zębami?

–Kto się tym nie interesuje?

–Chodzi mi o to, czy on wybiega myślą dalej Czy nie zatrzymuje się w pewnym punkcie No, już pan wie

–Pański uczeń pytał, czy ma się udać do szkolnego dentysty...

–Jakże rozsądnie

–Powiedziałem to zależy oczywiście tylko od pana. Ale również ja mogę panu w każdej chwili wyznaczyć wizytę.

–Zapowiedział się?

–Nie chciałem nalegać

–A o psie ani słowa?

–Wprost o nim nie wspomniał. Ale podziękował mi, ponieważ, jak powiedział, utwierdziłem go w jego zamiarze – Pański uczeń powinien dostać jeszcze więcej wsparcia Musimy dodawać mu otuchy Rozumie pan? Nieustannie dodawać otuchy.

(Podczas gdy podawałem płaszcz Irmgardzie Seifert i dziękowałem jej za golonkę. On próbuje swoich sił w pedagogice. Czy mam się przerwucić i zostać dentystą? Śmieszna ta moja zazdrość. Tak czy owak tracę Scherbauma).

Spróbujmy sobie wyobrazić. Dentysta i profesor gimnazjum rządzą światem. Zaczyna się epoka profilaktyki Zapobiega się wszelkiemu złu. Jako że każdy uczy, każdy też się uczy Jako że wszyscy narażeni są na atak próchnicy, wszyscy czują się zjednoczeni w walce z próchnicą. Dbalność i opieka uspokajają narody Już nie religie i ideologie, lecz higiena i oświata odpowiadają na pytanie o byt Nie ma już nawalania i zapachu z ust Spróbujmy sobie wyobrazić.

Nasze zgromadzenie delegatów obradowało przez dwa dni w schöneberskiej prałaturze. Gdy w przerwie obrad zadzwoniłem do mojego dentysty i opisałem mu (nader krytycznie) przebieg ceremonii zagajenie, powitanie gości, pozdrowienia gości dla zgromadzenia delegatów, sprawozdanie finansowe skarbnika, sześć też w kwestii szkoły zintegrowanej, parę akcentów heskich, kilka punktów ciężkości, potem uchwały w sprawie obowiązkowego dziesiątego roku nauczania, reorganizacji praktyk szkolnych, pierwszej fazy kształcenia nauczycieli i referendum (wraz z apelem do Izby Deputowanych) – gdy w końcu bardziej gawędząc niż referując objaśniłem mu żmudność dynamicznej polityki szkolnej – zacytowałem drwiąco kolegę Enderwitsza, którego zdanie właściwie podziela „Szkoła zintegrowana jest środkiem umożliwiającym optymalne zmierzenie się z dzisiejszą sytuacją

społeczno-polityczną” – gdy zakończyłem swoje sprawozdanie, mój dentysta zaczął mi się rewanżować zdał mi szczegółową relację z kongresu ortopedii szczękowej w St Moritz przeplatając cytaty z inauguracyjnego wykładu na temat deformacji w rejonie szczęk z opisami krajobrazu i dokładnymi danymi co do szlaków turystycznych przez modrzewiowe lasy i alpejskie łąki.

„Głęboki błękit jezior zrobił na mnie ogromne wrażenie Wspaniały zakątek!”

Jednym słowem przy telefonie nie pozostawaliśmy sobie dłużni, korzystając z kabla wypowiedaliśmy zdania, które się mijają. To, czego właściwie chciałem się dowiedzieć – „A Scherbaum? Czy Scherbaum znów?” – utonęło w dwugłosowej gadaninie o sprawach zawodowych. Rozłączyliśmy się – Do usłyszenia.

(Spróbujmy sobie wyobrazić. Dentysta i profesor gimnazjum rządzą światem. Pierwszy słuca drugiego, drugi pierwszego. Ich powitalna formuła „Trzeba zapobiegać!” staje się, w jakimkolwiek języku wypowiedana, pozdrowieniem dla każdego i między wszystkimi. Wciąż są godziny przyjęć – jak on powiedział? „Niech pan dzwoni bez skrępowania o każdej porze”)

Gdy wróciłem do Irmgardy Seifert w auli prałatury, zaczęła się już ogólna dyskusja. Co prawda przeciwko szkole zintegrowanej mówiono niewiele, ale dłużyły się przemówienia, w których wychwalano szkołę tradycyjną i przywoływano na pamięć kaskadami zaklinających słów „Nawet witając z uznaniem dążenie do pewnych innowacji nie wolno nam nigdy zapominać”

Irmgarda Seifert i ja zainscenizowaliśmy „lekkie zniecierpliwienie na sali” (Zostało później odnotowane w protokole) Rozpieraliśmy się na krzesłach z ostentacyjną odrazą Szuranie nogami i chrząkanie, kichanie, które mogło liczyć na śmiech uczniowskie metody Zaczęliśmy rysować ludzików na kartkach porządku dziennego i zabawialiśmy się grą towarzyską, którą ułożyliśmy sobie w czasach naszego asesowania, na spacerach wokół Jeziora grunwaldzkiego.

Ona – Regulamin promocji A – Postanowienia ogólne, ustęp czwarty?

–Ja – Postępy ocenione „niedostatecznie” silniej przemawiają za niepromowaniem aniżeli postępy ocenione „miernie”

Zapisała plus na moje konto, do mnie należało zadanie następnego pytania – Drugi egzamin państwowy na stanowiska nauczycielskie, paragraf piąty, ustęp pierwszy?

Ona – Egzamin zaczyna się od dopuszczenia.

Plus na koncie Irmgardy Seifert Ona miała prawo zapytać – Kary szkolne, prawo szkolne V B I, ustęp pierwszy?

Ja – W szkołach i zakładach wychowawczych wielkiego Berlina zakazane jest stosowanie kar cielesnych – Innymi słowy nie mam prawa dać w skórę mojemu uczniowi Scherbaumowi, a wczoraj zastanawiałem się poważnie, czy nie byłoby wskazane sprowokowanie gwałtownej bójki, w której trakcie złamałbym mu lewą rękę szpitał, gips, przymus bezczynności. I wynik końcowy żaden pies nie zostanie publicznie spalony ja z uśmiechem poddaję się postępowaniu dyscyplinarnemu. Co pani teraz powie?

Ale Irmgarda Seifert odkryła Scherbauma dla siebie. (A może odkryła w nim siebie?). W każdym razie w prałaturze, podczas gdy z mównicy odczytywano wnioski uzupełniające, zaczęła półgłosem śpiewać swoją piosenkę, a kiedy ulotniliśmy się jeszcze przed wyczerpaniem porządku dziennego, nie przestawała kształtować Scherbauma na swoje podobieństwo zrobiła z niego prawdziwego cierpiętnika. On miał osiągnąć to, czego ona, jako siedemnastolatka, nie dokonała.

–Nie myśli pani tego na serio!

–Owszem, Eberhardzie Wierzę w chłopaka.

Mówiła o swym „rosnącym zrozumieniu dla Scherbauma”. Potwierdzała słowo w słowo strategiczne wytyczne mojego dentysty.

–Mogłabym mu przecież dodać otuchy Chciałabym bez ustanku dodawać mu otuchy.

Ta jej płynna, zawsze skwapliwa mowa Nie wstydzi się powoływać na „misję wewnętrzną”. Czy to sprawia kontakt z akwariowymi rybkami? Wiem, że przygotowuje się do lekcji nie bacząc na swoje akwarium. Musiały to jej poradzie welony i złote rybki Któż inny? Irmgarda Seifert jest, żeby to powiedzieć jednym słowem, samotna.

A ja, doktorciu! Znowu mała Lewand wsunęła mi karteczkę. Jak pan nie zostawi Flipa w spokoju, to pańskie kontrrewolucyjne postępowanie będzie miało następstwa”. Jawna groźba, doktorciu! I nikt mi nie przychodzi z pomocą. Rzucić ten kram i wycofać się Starczy mi! Starczy mi! I z wielkim oddaniem zająć się czymś bezsensownym na przykład urządzić wyścigi ślimaków.

Na przerwie o dziesiątej wcisnęła Scherbauma pomiędzy siebie a tylną ścianę szopy na rowery. Potem zaczęła mu dodawać odwagi.

–Ma pan rację, Filipie Cóż panu przyjdzie z naszych rozwiązań zastępczych, z tego codziennego kapitulowania dorosłych.

Mną posłużyła się jako przykładem – My – nieprawdaż, drogi kolego – już od lat nie jesteśmy zdolni do spontanicznego działania

(Przypomniał mi się wymierzony policzek. „Ja tam jestem. Ja tam jestem”. To powinienem był powiedzieć. Ale milczałem i szukałem językiem degudentowych mostów).

–Ileż to razy zamierzałam wystąpić przed klasą, uczynić wyznanie. Zrobiłam to, kiedy miałam siedemnaście lat – Niech pan mi pomoże, Filipie. Niech pan będzie przykładem. Niech pan mnie powiedzie, niech pan nas powiedzie, aby zawód, jaki sprawiliśmy, nie stał się czymś powszechnym.

Scherbaum zrobił minę jak kwietniowa pogoda.

–Będę przy panu, kiedy wstąpi pan na swój trudny szlak. Mrugając oczyma i licząc na pomoc rozćwierkanych wróbli próbował wymknąć się jej błyszczącym oczom. Ale w druczanej siatce nie było żadnej dziury.

–Niech pan popatrzy na mnie, Filipie. Wiem, że pańska skromność nie chce się przyznać do wielkości pańskiego czynu.

Ratował się szczerzeniem zębów bez dołeczków, jakie zazwyczaj wywoływał śmiech. Nim zdążyłem zakończyć nieprzyjemną scenę wskazaniem na koniec przerwy, Scherbaum powiedział – W ogóle nie wiem, o czym pani mówi. Wcale mnie nie interesuje, co pani robiła mając siedemnaście lat. Pewnie tak się złożyło, że coś tam pani zrobiła albo czegoś tam nie zrobiła. Mając siedemnaście lat wszyscy coś robili.

I jak Seifercica tak też Scherbaum posłużył się mną jako przykładem – Na przykład pan Staruch. Kiedy mu tłumaczę, co się dzieje w Wietnamie, mówi o swojej młodzieżowej bandzie i wygłasza mi wykłady na temat wczesnego anarchizmu siedemnastolatków. A ja nie chcę żadnej młodzieżowej bandy Anarchizm w ogóle nie wchodzi dla mnie w rachubę. Chcę być lekarzem albo czymś w tym rodzaju.

Scherbaum zostawił nas Irmgarda Seifert i ja spędziliśmy naszą wolną godzinę łażąc po szkolnym podwórzu. To, czego on nie chciał słuchać, musiałem, słowo w słowo, przełknąć ja – Chłopak nie przeczuwa, jaka wielkość w nim tkwi. Widzi tylko swój zamiar, swój czyn, a nie widzi cienia, jaki ten czyn rzuci cienia odkupienia – (Ani śladu wahania w głosie). Szkolne podwórze było dostatecznie puste, żeby jej tchnienie „odkupienia” utrzymać w powietrzu jako krągły słowny balonik.

–Naprawdę, Eberhardzie, odkąd pojawił się młody Scherbaum, znów mam nadzieję Jest w nim siła i czystość, aby nas – tak, wypowiem to – odkupić Powinniśmy dodać mu otuchy.

Rzeźkie styczniowe zimno konserwowało jej słowa. (Przechadzać się na mrozie tam i z powrotem, otwierać usta i mówić „siła czystość otucha”). Prosiłem Irmgardę Seifert, zamiast per pani mówiąc jej na ty, żeby trzymała się ziemi – Zrozumiałego wzburzenia Scherbauma nie wolno ci jeszcze dodatkowo wzmaczać. Chęć obarczenia chłopaka naszym prywatnym balastem jest nie fair. Poza tym mijasz się z prawdą próbując dzisiaj przystroić swoją ówczesną sprawę jak choinkę na Boże Narodzenie. To załgany blichtr, moja droga. Ostatecznie Scherbaum nie jest Mesjaszem. Odkupienie – wręcz śmieszne. Tu chodzi po prostu o wrażliwego młodziana, który reaguje nie tylko na bliską, ale i na odległą krzywdę.

Dla nas Wietnam to w najlepszym razie rezultat fałszywej polityki albo nieuchronny przejaw rozkładu systemu społecznego, on nie pyta o przyczyny, on widzi palących się ludzi i chce coś zrobić przeciwko temu, za wszelką cenę coś zrobić

–I właśnie to nazywam, jeśli pozwolisz, odkupiającym sensem jego czynu.

–Do którego nie dojdzie.

–Dlaczego? Nadszedł czas.

–Opanuj się W końcu jako pedagodzy mamy obowiązek uświadomić mu konsekwencje powziętego zamiaru.

Ale Irmgarda Seifert znajdowała upodobanie w sobie i swojej ekstazie. Nie tylko od zimna dostała kolorów Śmiała się i zalewała szkolne podwórze ową wesołością, jaką przypisuje się wczesnochrześcijańskim męczennikom – Gdybym była jeszcze pobożna, Eberhardzie, to bym powiedziała. Na chłopaka spłynął Duch Święty Bije od niego blask.

(I stoi przy tym smukła w płaszczu z nieśmiało niewyraźnym gestem Histeria odmładza ją. Jeśli poczekam jeszcze trochę, odpuszczę jej, to egzaltowana dziewczynka zacznie płakać i popiskiwać – Ale przecież trzeba Przecież nie wolno nam Tylko mały promyk To jest szczęście, Eberhardzie, szczęście – Co ona tam gada o szczęściu Rad będę, jeśli zniknie któreś z drzew, ale ogołoczone kasztany stoją w komplecie).

Kiedy opowiedziałem mojemu dentyście o duchowym praniu i znachorskich zabiegach na szkolnym podwórzu, stwierdził krótko i węzłowato – Skłonność pańskiej koleżanki do entuzjazmowania się pozwoli pańskiemu uczniowi domyślić się, jakiego rodzaju zwolennicy otoczą go po jego czynie Im bardziej ona się emocjonuje, tym trudniej mu przyjdzie zapalić zapałkę – Proszę, niech pan mnie w dalszym ciągu informuje na bieżąco Nic tak nie irytuje bohaterów jak aplauz przed czynem. Tacy już są ci bohaterowie.

Nie. Taki on nie jest. To nie bohater. To nie ktoś, kto chce przewodzić i szuka zwolenników. Nie potrafi nawet patrzeć fanatycznie Nie jest nawet niegrzeczny Ani szorstki, ani bezczelny, ani silny. Nigdy nie był pierwszy. (Bo jego wypracowania się nie liczą). Nigdy nie przepychał się naprzód. (A gdy mu zaproponowano stanowisko naczelnego redaktora uczniowskiej gazety, kilkakrotnie odmawiał „To mi nie leży”). Przy tym nie jest bojaźliwy czy zahamowany albo leniwy. Nigdy nie został na drugi rok. Nigdy nie był szczególnie poważny, niezwykle śmiały czy wolny od zawrotów głowy. Jego kpina nigdy nie rani. Jego sympatia nie ma w sobie nic z natarczywości. (Nigdy mi się nie naprzykrzał). Nigdy nie kłamie. (Z wyjątkiem swoich wypracowań, ale te się nie liczą). Nie jest kimś, kogo można nie lubić Mało robi, żeby się podobać Nie wyróżnia się wyglądem. Nie ma odstających uszu. Nie mówi przez nos, jak to robi jego przyjaciółka lego głos nie objawia Nie jest Mesjaszem Nie przynosi żadnego posłania Jest zupełnie inny.

Nazywali mnie Störtebekerem Potrafiłem łapać szczury gołą ręką Gdy liczyłem sobie

siedemnaście lat, powołali mnie do Służby Pracy. Toczyło się już wtedy śledztwo przeciwko mnie i bandzie Wyciskaczy. Mieli moje zeznania. Na porannym apelu starszy feldfobel odczytał mój wyrok próba frontowa równa karnemu batalionowi. Usuwałem miny. Musiałem usuwać miny pod okiem wroga (Stortebeker to przeżył – Moorkähne przejechał się na tamten świat) Teraz Stortebeker jest profesorem gimnazjum i pełno w nim starych historyjek

Jako że znam tylko historyjki, raz po raz częstowałem nimi Scherbauma, który umie dobrze słuchać. Pomiędzy Scherbaumem a jego czynem wznosiłem, kamyczek po kamyczku, mur z dokładnie datowanych, naukowo udokumentowanych, a więc uznanych przez historię, historycznych historyjek. Prosiłem go, żeby przeszedł się ze mną parę kroków. Startując z osiedla Eichkamp wzięliśmy kierunek najpierw na Diable Trzęsawisko, potem na Górę Ruin (Mont Gruz). Przyglądaliśmy się saneczkarzom zjeżdżającym z usypanego wzgórza, obeszliliśmy dookoła amerykańską stację radarową, wyliczaliśmy sobie, co się składało na rozległy widok. (miasto Siemens, centrum Europa z gwiazdą mercedesa i wciąż jeszcze rosnąca wieża nadawcza w sektorze wschodnim). Mówiliśmy – Całkiem spory jest ten Berlin – Ja wszakże przystąpiłem do rzeczy – Widzi pan, Filipie, w istocie wyłania się wciąż to samo pytanie czy doświadczenia można przekazywać? Zajmujemy się od pewnego czasu Rewolucją Francuską i jej następstwami. Mówiliśmy o rezygnacji Pestalozziego i o tragicznym niepowodzeniu Georga Forstera w Moguncji. Fale rewolucji dotarły nawet do mojego zasobnego rodzinnego miasta; bo gdańszczanie, i tak dbali o to, by nie popaść w zawisłość – czy to od polskiej, czy od szwedzkiej, czy od rosyjskiej korony – znajdowali się wówczas w zawisłości od Prus. Nie tylko prosty lud, również nader pewni siebie mieszczenie śledzili wydarzenia we Francji z zainteresowaniem. Ale przewrotu, przemocy, walk na barykadach, komitetu ocalenia publicznego, gilotyny, słowem bolesnego procesu rewolucji nie chcieli w żadnym razie przeżywać, bo gdy siedemnastoletni gimnazjalista Bartholdy z pomocą kilku kolegów szkolnych i robotników portowych głównie polskiego pochodzenia – mieszkali oni na Osieku – chciał proklamować w Gdańsku republikę, sprawa wzięła w łeb, nim znalazł okazję, by swoim czynem dać impuls. Kiedy spiskowcy trzynastego kwietnia 1797 roku spotkali się przy Kaletniczej – rodzice Bartholdy'ego, zamożni kupcy, mieli tam mieszkanie – sąsiedzi zwrócili uwagę na, jak to nazwali, buntownicze zgromadzenie. Wezwano pachołków sądowych. Doszło do aresztowań. Bartholdy został skazany na śmierć i tylko łaskawość królowej Luizy, która w następnym roku, u boku Fryderyka Wilhelma III, owacyjnie witana odwiedziła miasto, zamieniła karę śmierci na uwięzienie w twierdzy. Podobno spędził dwadzieścia lat w twierdzy Torgau. Nawet klęska Prus i wynikłe z niej przekształcenie Gdańska w republikę nie zdołały zmienić jego losu. Jako chłopak szukałem jego rodzinnego domu przy Kaletniczej. Nie wspominała o nim żadna tablica. Jego sprawę wymienia się w dziejach miasta bardziej jako osobliwość niż fakt historyczny. Nie wiemy nic o Bartholdym.

Ruszyliśmy w dół. Wrony nad Górą Ruin przypominały patetycznie o przyczynie usypania zalesionego z czasem wzniesienia (Zaproponowałem, żebyśmy w leśniczówce Schildhorn wypili „coś gorącego”).

–Będzie pan sobie zadawał pytanie, Filipie, czego on chce z tą historyjką? Prawdopodobnie przypuszcza pan, że usiłuję – jak to mi ostatnio imputuje pańska przyjaciółka Wero na ostrzegawczych karteczkach – zdeprymować pana. Nie. To minęło. Niech pan to zrobi, proszę, niech pan to zrobi Ale powinno mi być wolno przymierzyć pański planowany czyn do historycznego przykładu Interesuje pana tamta sprawa?

–Jasne, że tak Będę miał jeszcze pytanie, później.

–Moja opinia brzmi podjęta przez Bartholdego próba proklamowania rewolucji, a wraz z nią republiki była w gruncie rzeczy lekkomyślną głupotą, która wpędziła w nieszczęście nie tylko jego, lecz także polskich robotników portowych. (Tylko jego koledzy szkolni zostali, jak mówiono, niewinnieni) Bartholdemu brakowało trzeźwości rewolucjonisty. Co prawda chłopak nie mógł wiedzieć tego, co nawet Marks dostrzegł dopiero relatywnie późno: mianowicie, że rewolucję można wygrać tylko z pomocą klasy, która nie ma nic do stracenia, a wszystko do zyskania; ale pan, Filipie, ostrzeżony w porę, świadomy, powinien uprzytomnić sobie, że pański planowany czyn, publiczne spalenie psa, tylko wtedy może odnieść skutek, kiedy szerokie kręgi społeczeństwa – świadomie unikam pojęcia „klasa”.

–gotowe będą przyjąć pański czyn jako wyzwalający znak. O tym nie ma mowy. Przekonał się pan, że przyjaciółki Wero przypisują pańskiemu zamierzeniu wartość jedynie spektakularnej sensacji. Przekonał się pan, że moja szanowna koleżanka, pani Seifert, zdecydowana jest opacznie pana rozumieć.

–Jak miał na imię ten pański Bartholdy?

–Nawet jego imię historia zapomniała.

(Siedzieliśmy już wtedy w leśniczówce Schildhorn i rozgrzewaliśmy się ponczem). Scherbaum zadawał pytania o sytuację ekonomiczną miasta. Ja mówiłem o spadku handlu drewnem i ciężarze długów (dwa miliony pruskich talarów), który został wszelako złagodzony przez państwowe dopłaty i subwencje w roku 1794. Chciał poznać dokładnie liczebność gdańskiego garnizonu. Stała obecność w sumie sześciu tysięcy wojskowych, w tym artylerii, saperów fortecznych i huzarów przybocznych, zrobiła na nim wrażenie; bo na tę potężną załogę przypadało zaledwie trzydzieści sześć tysięcy cywilów – a straż obywatelska, ważki instrument bractw rzemieślniczych, musiała się rozbroić. Gdy otworzyłem swoją teczkę, pokazałem mu materiał „O sprawie Bartholdy'ego” i zacytowałem fragment zachowanej relacji cudzoziemca z podróży: „System francuski ma tutaj wielu zwolenników. Ale nie sądzę, żeby kiedykolwiek pomyśleli o tym, by sprzeniewierzyć się pruskim rządowi, jeśli te będą się starały panować nad nimi z umiarem i łagodnością” – Scherbaum przyznał rację mojej historyjce: – Dużo się od tego czasu nie zmieniło.

–I dlatego, Filipie, uważam, że sprawa Bartholdy'ego nie może się powtórzyć.

(Ale doświadczeń nie daje się przekazywać – nawet przy ponczu).

–Po pierwsze, ja nie chcę rewolucji. A po drugie, ja to sobie logicznie wyliczyłem. Nie wiem, czy ma pan jakieś pojęcie o matematyce teoretycznej...

–Znam pańskie złe stopnie ze wspomnianego przedmiotu.

–To są tylko praktyczne hocki-klocki. Moja formuła w każdym razie się zgadza. Z początku to nie wychodziło, bo przyjąłem sobotę za wartość podstawową. Nawet niedzielne gazety by nie zareagowały.

A poniedziałek w ogóle nie wchodził w rachubę. Teraz pracuję nad środowym popołudniem. I raptem wszystko gra. Już w czwartek zbiera się Izba Deputowanych. Ponieważ od piątku mogę być przesłuchiwany, urządzam w szpitalu konferencję prasową i składam oświadczenie. Dochodzi do pierwszych demonstracji solidarnościowych. Nie tylko tutaj, również w Niemczech Zachodnich. W kilku dużych miastach podpała się psy. Później dołącza zagranica. Wero nazywa to zrytualizowaną formą prowokacji. No cóż, jakąś nazwę rzecz musi mieć. Pokażę panu formułę, ale dopiero potem, jak już będzie po sprawie.

–A jak nie wyjdzie, Filipie? Jak cię zatłuką?

–To będzie znaczyło, że formuła była błędna – powiedział mój dentysta. – Pan z tymi swoimi historyjkami. Sprawa Bartholdego domaga się powtórzenia.

–Uważa pan, że on postawi na swoim...

–Jeśli ładna, mroźna pogoda utrzyma się do najbliższej środy, to ominie mnie sposobność zajęcia się jego tyłozgryzem i – jak się da – skorygowania go.

–Chciałbym mieć pańskie zmartwienia.

–Niech pan powie, mój drogi, czy poza wzorcami wpajanymi na lekcjach przez pana pański uczeń ma jakiś wzór? – Wie pan, my wciąż jeszcze orientujemy się na jakieś ideały. Byłbym skłonny przypuszczać, że gimnazjalista Bartholdy przez dłuższy czas był podporą pańskiego superego. Zgadza się?

Kanalizowaliśmy wspomnienia. (W poszukiwaniu utraconego wzoru). Oto znów byłem w krótkich spodenkach i stałem u stóp zwieńczonych szczytowymi dachami kamienic Kaletniczej. On upierał się, że dla niego wzorem był cudowny biegacz Nurmi. (Zgodziliśmy się, że na potrzebę wzorów należy odpowiadać profilaktycznym wpajaniem wzorów: „Trzeba zapobiegać!”). Gdy okrężną drogą – ojciec w kapitanacie portu, syna zwano Störtebekerem – wyłożyłem swoją konstrukcję: ojciec jako inspektor obrony przeciwlotniczej walczył z pożarami, syn gotów jest złożyć ofiarę całopalną, mój dentysta oznajmił: – Jakkolwiek pański ciąg motywów wydaje się ułożony powierzchownie, to jednak bym nie wykluczał, że domniemane oparzenia ojca mogą być wskazówką. Powinien pan kiedyś zajrzeć do chłopaka...

Ona mieszka pośród pluszowych psów i czyta słowa przewodniczącego Mao. W jej pokoju, który jest podobno mniejszy niż jego pokój, pomiędzy wielu przedmiotami własnej roboty przyciągać wzrok musi gruboziarniste zdjęcie rewolucjonisty Ernesto Che Guevary. Wiem to od niego, który nazywa jej pokój przedszkolem, a jej zbiór pluszowych zwierzątek ogrodem zoologicznym. Ocenia z łagodną wyniosłością – No cóż, kwestia gustu – Ona wciąż jeszcze nie chce się rozstać ze swoją kolekcją odpiłowanych gwiazd mercedesa, mimo że on mówi – To mamy za sobą – Ona jest przywiązana do zdobyczy zeszłego roku – Właściwie to były piękne czasy – zrywanie gwiazdek! – On mówi – Czasami mam tego po dziurki w nosie, ona czyta Mao, jak moja matka czyta Rilkego – Posępnego Che nazywa „lalusiem Wero”. Przypomina mu się jak z zamierzchłej przeszłości – Dawniej wisiał tam Bob Dylan. Prezent ode mnie „He's so damn real” napisałem na fotosie. No cóż, to było kiedyś.

Również Filip Scherbaum przypiął zdjęcie do ściany między oknami swego pokoju. Strona z gazety małego formatu, szerokości trzech szpalt. Środkowa szpalta została przedzielona powiększoną dwukrotnie fotografią legitymacyjną może siedemnastoletniego chłopaka. Mocna, okrągła twarz, włosy, po namoczeniu, gładko zaczesane w tył, z lewej przedziałek. W schludnym i poważnym obliczu pod uśmiechem, jaki przybiera się u fotografa, rozpoznałem chłopaka z Hitler-Jugend, rozpoznałem swoje pokolenie – Kto to jest?

(Gdy zapytałem Scherbauma – Mogę pana kiedyś odwiedzić, Filipie? – pozostał uprzejmy, jak zawsze – Jasne, że tak. Ja przecież też już byłem u pana. Tylko herbaty nie umiem parzyć – A gdy go potem odwiedziłem – przyniosłem nawet kwiaty dla matki Filipa wręczone w przedpokoju – uzyskałem informację i nie musiałem dwa razy pytać)

–Ten? To Helmut Hübener. Należał do sekty. Cos w rodzaju mormonów. Nazywała się Kościół Świętych Dni Ostatnich. Pochodził z Hamburga, ale drukowali w Kilon. To była czteroosobowa grupa, terminatorzy i urzędnicy. Dość długo się uchowali. 27 października w czterdziestym drugim został stracony tutaj, w Plötzensee, a przedtem był torturowany.

Scherbaum pozwolił mi zdjąć artykuł ze ściany, żebym mógł przeczytać też odwrotną stronę i zobaczyć zdjęcie urzędowego komunikatu o egzekucji Hübenera. (Artykuł, jakich wiele. Po prawej, na odwrocie, włamano rubrykę „W skrócie” z wiadomością o konkursie „Młodzi badacze”). Obok paginacji przeczytałem Poczta Niemiecka – Od kiedy czyta pan związkowe gazety?

–Nasz listonosz reklamuje to piśmiśko. Dość nudne, ale nic nie kosztuje. Bądź co bądź o Hübenerze nie miałem przedtem pojęcia.

–Mętnie przypominałem sobie, że w pożyczonym mi przez Irmgardę Seifert artykule – „Świadectwa oporu” – czytałem coś o siedemnastoletnim praktykancie biurowym i jego konspiracyjnej grupie. (Dlaczego nie wyciągnąłem tego na lekcji? Dlaczego wciąż ta spóźniona oficerska historyjka? Dlaczego te poplątane bzdury z moich czasów w bandzie Wyciskaczy?)

Scherbaum nie dał mi długo bujać w obłokach. Ponieważ ja się nie odzywałem, ruszył do ataku – Było coś takiego. W porównaniu z tym pańska banda młodzieżowa to jest nic. Przez rok drukowali i rozdawali ulotki i to w różnych kręgach. Po pierwsze, wśród robotników portowych. Po drugie, wśród francuskich jeńców wojennych, oczywiście w tłumaczeniu. A po trzecie, wśród żołnierzy frontowych. Zaczął już jako szesnastolatek. Nie wdawał się w demolowanie kościołów i takie tam numery. Nic z wczesnego anarchizmu. Nie był to też taki żółtodziób jak pański Bartholdy. Umiął stenografować, a nawet telegrafować Morseem.

(A ja, głupiec, miałem nadzieję i bałem się, że ze swoją przeszłością przywódcy bandy mógłbym być dla niego wzorem, albo ojciec i inspektor obrony przeciwlotniczej ze swoimi nie udowodnionymi oparzeniami). Co prawda szukałem jeszcze w pokoju dowodów wspierających moją konstrukcję motywów, fotografii ruin lub zdjęć, które pokazywały ojca w akcji, przypomniałem mu też, że jako siedemnastolatek zostałem wcielony do karnego batalionu – Czy pan wie, co to znaczy usuwanie min bez osłony ogniowej? – Ale Scherbaum niewzruszenie praktykował u praktykanta biurowego Hübenera – On stenografował wiadomości londyńskiego radia. Nawiasem mówiąc zapisałem się na kurs stenografii. Jak już będę miał za sobą sprawę z Maksem, nauczę się telegrafowania i nadawania przez radio.

(Nie umiem żadnej z tych rzeczy. Przy tym jesienią czterdziestego trzeciego na ćwiczebnym obozie wojskowym niedaleko Nowego Miasta* w Prusach Zachodnich chcieli mnie nauczyć telegrafowania Morseem. Może nawet jako siedemnastolatek umiałem telegrafować. Siedemnastolatkowie często potrafią robić rzeczy, których około czterdziestki – jak Irmgarda Seifert – już nie pamiętają. Scherbaum jest muzykalny telegrafowanie łatwo mu przyjdzie).

* Nowe Miasto – dziś Wejherowo (przyp tłum)

Zawiesiłem stronę ze związkowej gazety z powrotem na ścianie, po czym obaj milczeliśmy. Filip bawił się ze swoim jamnikiem. Przyjemny pokój, niezbyt starannie sprzątnięty artystyczny nieład.

Scherbauma („Głosy młodzieży” to był tytuł rubryki Zapamiętałem sobie nazwisko dziennikarza, Sender, chciałem do niego napisać) Lewa ręka Filipa walczyła z długowłosym jamnikiem Robiłem notatki Po ogłoszeniu wyroku Hübener podobno pozostawił sędziom Trybunału Ludowego zdanie „Poczekajcie, jeszcze przyjdzie kolej na was!” Później pomoc domowa przyniosła nam herbatę i ciasto. Między dwoma łykami Scherbaum liczył na palcach – Ile właściwie lat miał Srebrnousty, kiedy stracono Helmuta Hübenera?

–W trzydziestym trzecim wstąpił do partii, miał wtedy dwadzieścia dziewięć lat.

–I taki jest teraz kanclerzem

–Mówią, że rozumiał, z biegiem czasu

–I taki może teraz znów.

–Nie mieli zastrzeżeń.

–Taki, akurat taki.

Scherbaum zaczął po cichu eksplodować. Najpierw siedział, potem zerwał się, ale nie podniósł głosu – Ja go nie chcę. On przecież śmierdzi. Jak go widzę, w telewizji i w ogóle, to mógłbym się wyrzygać jak pod Kempinskim. To on, właśnie on zabił Hübenera, nawet jeśli ten, co go zabił, nazywał się inaczej. Zrobię to. Benzynę już mam i zapalniczkę sztormową. Słyszysz, Maks! Musimy!

Filip zanurzył palce w długowłosą sierść. Wyglądało wręcz, jak gdyby znów się bawili.

Nawet jeśli nic nie robi, to już poruszył nasze bagienko. Będę musiał rzucić pracę w szkole. I podobne zamiary. Jak gdyby ktoś, kto już dawno znajduje się po przecinku, mógł znowu zaczynać od zera. Chęć zmiany otoczenia wnosi ruch do interesu, ale cóż to jest ruch. Jej akwariowe rybki też poruszają się w obrębie wciąż tej samej niewystarczającej przestrzeni. Nadzwyczaj ruchliwy bezruch.

Nie ja zadzwoniłem do niego, on wykręcił mój numer – Jestem w trudnym położeniu.

(Czyżby zastrajkował mu airmatik? Pacjent ugryzł go w palec? Jego pomoc chce wymówić?)

–Pański uczeń żąda ode mnie czegoś, za co jako lekarz nie mogę wziąć odpowiedzialności.

(Móc się teraz głośno zaśmiać „Co, doktorciu? Nieliche utrapienie z tym chłopakiem”).

–Nie bardzo mogę sobie wyobrazić, że pański uczeń sam wpadł na ten pomysł. Pan mu to podsunął?

(Być niewinnym jak aniołek – Jak pan musiał zauważyć, już od dawna nie cieszę się zaufaniem Scherbauma)

–Może mimochodem dał mu pan do zrozumienia, że ta możliwość, naturalnie czysto teoretyczna, istnieje?

(- Co takiego, doktorciu, co takiego?! – Co go tak mocno wytrąciło z równowagi? Co odbiera temu praktykowi wesołą pewność siebie? – Co się stało, doktorciu? Jeśli mogę w czymś pomóc)

Mój uczeń – a może lepiej powiedzieć nieomal pacjent mojego dentysty? – prosił go o znieczulenie bądź częściowe znieczulenie swego długowłosego jamnika Maksa. Powiedział

podobno – Ma pan przecież zastrzyki przeciwbólowe. Muszą też być takie, co działają na psa. Chodzi mi o to, żeby on nic nie poczuł. Na pewno zna pan jakiegoś weterynarza. A może dostanie je pan i tak, po prostu w aptece.

–Przypuszczam, że mimo pewnych zastrzeżeń nie odmówił pan chłopakowi drobnej pomocy. Bo chciał mu pan przecież dodawać otuchy, nieustannie dodawać otuchy.

–Pan ma wyobrażenia!

–Przecież to rzecz niewarta wzmianki Odrobina miejscowego znieczulenia.

–Pan ma pojęcia!

–Więc co teraz! Pomoże mu pan czy nie?

–Naturalnie musiałem powiedzieć nie.

–Naturalnie.

–Chłopak robił wrażenie zrozpaczonego .Lekko sepleniał – Tyle zawiedzionej ufności.

–Tym wyżej powinniśmy cenić jego zrozumienie. Powiedział „Potrafię pana zrozumieć. Jako lekarz musi pan zawsze pozostać lekarzem, bez względu na to, co się zdarzy” Naprawdę zadziwiający chłopak. I wzorowo przykładowy.

Mój Scherbaumik się sparzył (Tak trudne do sforsowania są tu przeszkody). Może to ja powinienem postarać mu się o zastrzyki? Ale już nie chcę. Spuszczam zasłony. I wycofuję się rakiem, aż natrafię na pumeks tras cement. Tam, tam! Tam ona stoi. Między ciasno spiętrzonymi pustakami.

Albo kupić i obserwować żółwia. Jak on to robi jak żyje w osamotnieniu? Ile trzeba zaznać bólu, żeby wyrósł pancerz już nie do zranienia? – Tak powstał beton na schrony przeciwlotnicze. Pewny lity strop. Również tak zwane betonowe jajo, mini-bunkier na jedną tylko osobę, skonstruowany w roku 1941 według szkiców francuskiego jeńca i wytwarzany masowo.

Albo napisać na nowo to, co pozaczynane. 28 stycznia 1955 roku został odstawiony z sowieckiej strefy okupacyjnej do Republiki Federalnej. W dwa lata później wytoczono mu proces przed sądem przysięgłych przy Sądzie Krajowym Monachium I (Rozstrzeliwanie i wieszanie żołnierzy bez postępowania sądowego). Prokurator wnosił o osiem lat ciężkiego więzienia. Wyrok brzmiał cztery i pół roku pozbawienia wolności Po odrzuceniu swojej rewizji Schorner odsiedział tę karę w więzieniu w Landsbergu nad Lech. Dzisiaj, siedemdziesięcioletni, mieszka w Monachium – Tyle fakty (Albo to, co się nazywa faktami).

Podszedł do mnie Scherbaum – Chcę pana tylko ostrzec. Wero coś planuje I zrobi to.

–Dzięki, Filipie A poza tym?

–Parę takich tam trudności Ale mówię panu, ona robi to, co zaplanowała.

–Powinien pan odsapnąć Tydzień spokojnie pochorować i niczym się nie przejmować.

–W każdym razie już pan wie Jestem przeciwny, żeby to zrobiła. (Wygląda na zmęczonego. Żadnych dołeczków od śmiechu. A ja?

Kto pyta o mnie i mój wygląd? Mała oparzelina na dolnej wardze zagoiła się, mówi mój język).

Trzecią pogroźkę znalazłem w postaci zakładki w drugim tomie moich „Listów do Lucyliusza”. Streszczała się coraz bardziej. „Żądamy skończyć z powściągnięciem!” List osiemdziesiąty drugi, przeciwko strachowi przed śmiercią, uznała za wart przeczytania. „Nie lękam się już o ciebie” – Gdyby mróz choć trochę popuścił, gdyby znów spadł śnieg na wszystkie dzielnice miasta, gdyby rozpostarł się płaszczyk, skrojony wystarczająco szeroko na wszystkich i wszystko, gdyby w końcu śnieg, cichutki powściągacz, każdej pogroźce nałożył czapeczkę.

Przyszła bez uprzedzenia, nie, zawładnęła moim mieszkaniem – Muszę z panem bezwarunkowo pomówić.

–Kiedy?

–W tej chwili

–To niestety niemożliwe

–Nie ruszę się stąd, dopóki pan.

Przerwałem więc pracę nad tym, co pozaczynane, nie, spiesznie przykryłem rękopis, bo kiedy przyjaciółka mojego ucznia chce ze mną mówić – „bezwarunkowo” – muszę zamienić się w wielkie pedagogiczne ucho – Co się dzieje, Weroniko Nawiasem mówiąc wielkie dzięki za pani zwięzłe i jakże jednoznaczne komunikaty.

–Dlaczego staje pan Flipowi na drodze? Nie widzi pan, że on to musi zrobić, bezwarunkowo. Musi pan wszystko psuć swoim wiecznym z jednej strony tak, z drugiej siak?

–Raz już czytałem trafniejsze określenie jestem powściągaczem.

–Rzygać się chce na to reakcyjne zadęcie!

Usiadła Przy całej cierpliwości niepewny, jeszcze raz wyłożyłem swoje argumenty, które – nie miałem wyboru – z jednej strony przemawiały przeciwko zamierzeniu Scherbauma, a z

drugiej warunkowo przyznawały mu rację. Tak przebiegała nasza rozmowa jeśli ona mówiła „bezw warunkowo”, to ja ujeżdżałem słówko „warunkowo”, gdy ona widziała jasno, ja przedstawiałem kilka wykluczających się nawzajem punktów widzenia nie mając kłopotu z ich wylizaniem.

–Przecież to jasne jak słońce, że ten kapitalistyczny system wyzysku musi być zniesiony.

–To zależy od każdorazowego punktu widzenia i od mniej czy bardziej uprawnionych interesów najróżniejszych grup i organizacji Żyjemy w demokracji.

–Pan z tym swoim społeczeństwem pluralistycznym.

–Także uczniowie powinni wyraźniej artykułować swoje częściowe interesy. Na przykład na łamach szkolnej gazetki.

–Przecież to dziecinada!

–Czy to nie pani zaproponowała Filipa na naczelnego redaktora?

–Dawniej uważałam pana za lewicowca.

–I nawet wygłosiła mowę?

–ale odkąd usiłuje pan zdeprymować Filipa, wiem, że jest pan prawdziwym reakcjonistą, i to z gatunku, który wcale tego nie zauważa

Siedziała w swoim półdługim płaszczu z kapturem („Nie zdejmie pani płaszcz, Weroniko?”) Siedziała w cynkowozielonych rajstopach nie ze złączonymi kolanami, jak siedzą dziewczyny, lecz w rozkroku, jak siedzi chłopak. Ponieważ mówiła przez nos, wypadało to gderliwie, nawet jeśli zamierzała rozprawić się ze mną bez pardonu (Proszę orientować się na lewo jeśli ja jestem na lewo od mojego dentysty – „Nieprawdaż, doktorciu, przyzna pan” – to Scherbaum jest na lewo ode mnie, ale z kolei, o ile jednak nawali, na prawo od Irmgardy Seifert, która wszelako nie jest na lewo od Wero Lewand, tylko gdzie właściwie?). Mimo że Wero siedziała sama, stała za nią jej grupa – Domagamy się, żeby od zaraz zostawił pan Filipa w spokoju.

Przemawiałem do gumowych podeszew jej ustawionych na sztorc, nie, ustawionych przeciwko mnie butów – Niechże pani będzie rozsądna. Zatłuką go. Berlińczycy zatłuką go.

–W pewnych sytuacjach nie sposób uniknąć ofiar.

–Ale Filip nie jest męczennikiem.

–Domagamy się, żeby od zaraz skończył pan z deprymowaniem.

–Ale jest całkiem możliwe, że pani chce w nim widzieć męczennika.

–Żeby i to było dla pana jasne Kocham Filipa.

(A ja nienawidzę wyznań, nienawidzę ofiar Nienawidzę dogmatów i wiecznych prawd Nienawidzę jednoznaczności).

–Ależ droga Weroniko, jeśli rzeczywiście, jak to pani przed chwilą powiedziała z ujmującą otwartością, kocha pani swojego Filipa, to właśnie pani powinna nie dopuścić, by zrobił to, co zamierza.

–Flip nie należy tylko do mnie.

–Pamięta pani ten fragment „Galileusza”, w którym Brecht mówi o owym pożałowania godnym ludzkiej zdany na bohaterów i bohaterskie czyny.

–A jakże. Jasne, że tak. Znam wszystkie fragmenty. Flip przecież też klepie pańskie powiedzonka. Czasami myślę, że on już wcale nie chce. Dzisiaj minęła środa i znowu nic. Teraz chce znieczulić psa zastrzykami. Przez to efekt będzie o połowę mniejszy. Pan go przekabacił. Chłopak jest wykończony. Naraz ma wątpliwości Być może zacznie beczeć.

Poczęstowałem przyjaciółkę Filipa papierosem. Za nic nie chciała zdjąć płaszcza z kapturem. Zaczęłem więc przechadzać się tam i z powrotem, opowiadać historyjki o tym, jak to było kiedyś. Opowiadałem oczywiście o sobie – Ja też tak kiedyś mówiłem. Wielki sprzeciw prowadzi do końca autorytetu – Mówiłem o obsuwie, o piekle zwanym karnym batalionem, o usuwaniu min bez osłony ogniowej – Nawet jeśli przeżyłem, to czas mnie załatwił Dopasowywałem się Wciąż szukałem kompromisu. Czepiałem się rozsądku. Tak to radykalny prowodyr zamienił się w umiarkowanego profesora gimnazjum, który mimo wszystko uważa się jednak za postępowego.

Dobrze mi się opowiadało, bo ona dobrze słuchała. (Być może fakt, że oddychała ustami, zwiększał wrażenie uważnego słuchania, ba, wsłuchiwanie się). W mojej gabinecie-salono-sypialni powstał nastrój będący smętną mieszaniną powściągliwego uzalania się nad sobą i męskiej melancholii. (Sos zmęczonych bohaterów). Już chciałem wypuścić na spacer parę cytatów z Dantona, już chciałem wypełnić kilka słownych baloników swoją potrzebą czułego zrozumienia, już byłem gotów zaoferować swoją samotność celem przełamania, lecz gdy Wero Lewand w swoim płaszczyku z kapturem zsunęła się z krzesła na mój berberyjski dywan, pozostałem sztywny, jakbym kij połknął. (Trzy i półmetrowa odległość to pewnie było za dużo).

Tarzała się pociesznie i niewprawnie po dywanie i mówiła zabawne rzeczy – Nie chce pan też, Old Hardy? Nie ma pan odwagi? A to jest pierwszorzędny dywan.

Przychodziły mi do głowy same pospolicieści – Co to za nonsensy? Niechże pani się opamięta, Wero!

(I zdjąłem okulary, żeby je przetrzeć, dopóki na moim dywanie odbywały się gimnastyczne

popisy. To zakłopotane manipulowanie i chuchanie na szkła, które dostatecznie często obserwowałem u innych kolegów, prawdopodobnie profesorowie gimnazjalni nie dysponują żadnym oparciem, więc chwytają się oprawek swoich okularów).

Weronika Lewand śmiała się. (Narosłe w nosie nadają jej śmiechowi jakieś blaszane brzęczenie). Zwinęła się w kłębek – No już, jazda, Old Hardy! Czyżby pan nie mógł?

Nim wyszła, wyskubałem z jej płaszczyka z kapturem kilka kłaków mojego strzępiącego się berber.

Zrezygnować dać za wygraną machnąć ręką. Zamknąć się w sobie. Trzymać się z dala. Żyć już tylko czystą kontemplacją. Zatopić się w rozmyślaniach. I nie buntować się. Nie ma przecież nawet prądu, pod który warto by płynąć, za to cuchną tu i ówdzie stojące i zapewne rybne wody, dalej kanały, na których ruch jest uregulowany. Już tego nie przeoczam, ogarniam to wzrokiem nazbyt dokładnie. Z czasem wiem, dlaczego woda tutaj opada, kiedy tam się podnosi. Więc wysadzić śluzy w powietrze. (Wytłumaczy się, że i tak miało się zamiar przejść na komunikację kolejową transport można puścić inną trasą „Chcielibyśmy państwa prosić, aby w trakcie planowanych przez państwa zamieszek – nazywanych też rewolucją – niszczone były w pierwszej kolejności te instytucje i kompleksy przemysłowe, które i tak w ramach naszego długofalowego planowania mają być zamknięte. Przyjemnej pracy. To będzie męczące”). Albo złamać Scherbauma, zanim się załamie. Wielkie zapobieganie Powstrzymajcie teraz Scherbauma!

–Niech pan posłucha, Filipie. Nie dało się tego uniknąć: przespałem się z pańską dziewczyną na moim berberyjskim dywanie. Taka ze mnie świnia. Biorę, co mi się nawinie. Bo propozycja wyszła od niej. Słowo honoru. Powinien pan bardziej zatroszczyć się o dziewczynę. Wero nie wystarcza, kiedy pan mówi w kółko tylko o swoim jamniku, który kiedyś tam ma zostać obłany benzyną i spalony. Musi pan się w końcu zdecydować: albo pies, albo dziewczyna!

(Ale co by mi przyszło z opryskliwej odpowiedzi Scherbauma: – Co mnie obchodzą pańskie dywanowe historyjki. Stenografia jest ciekawsza).

Na szkolnym podwórzu rozmawiałem z Scherbaumem o coraz liczniejszych demonstracjach przeciwko wojnie w Wietnamie: – Jutro znowu. Na Wittenberg-Platz.

–No cóż. A potem wszyscy się rozejdą.

–Spodziewanych jest pięć tysięcy demonstrantów.

–To tylko zwykłe upuszczanie powietrza.

–Moglibyśmy pójść tam razem. Ja i tak miałem zamiar...

–Nie mogę. Jutro mam steno.

–Wobec tego będą chyba musiał sam...

–Zrobiłbym tak na pańskim miejscu. To na pewno nie może zaszkodzić.

Również Scherbaum staje się stojącą wodą. Jako że świat sprawia mu ból, zadajemy sobie trud, aby go miejscowo znieczulić. (W końcu komitet rodzicielski i rada pedagogiczna przyznają uczniom kącik dla palaczy, dokładnie wytyczony za szopą na rowery). Pozostaje: zrezygnować dać za wygraną machnąć ręką – albo czytać listy Seneki do Lucyliusza, rozmawiać telefonicznie z moim dentystą: stoicy między sobą.

–Niech pan posłucha, doktorciu, stary brodacz powiada: „Ponadto mędrzec nie przebywa poza państwem, nawet jeśli żyje w odosobnieniu”. Czuję niemąłą chęć rychłego wycofania się w prywatność.

Mój dentysta nazwał podejmowane przez mnie starania o dymisję „solistycznymi sztuczkami”. Wskazywanie na pełną poczekalnię połączył z inwokacją Seneki do umykającego czasu. Liczba jego czekających pacjentów stanowiła dla niego dowód pożyteczności tego, co robi. Moją melancholię (która rzeczywiście zachowywała się tak, jakby przyczyniło się do niej markotnie odbyte spółkowanie) nazwał staroświecką nedorzecznnością. (Powinien pan powrócić do swoich spacerów wokół Jeziora Grunewaldzkiego albo przynajmniej grać w ping-ponga). Jego telefoniczna lekcja brzmiała: – Zapewne panu wiadomo, że doktryna stoicyzmu pojmowała świat jako większe państwo; złożenie urzędów państwowych oznaczało zawsze: stać się wolnym dla świata jako większego zobowiązania.

Na moje uporczywe utyskiwanie: – Przecież wszystko jest obojętne. Czegóż to my dokonujemy: zmian w rozkładzie lekcji! – odpowiedział sentencją z siedemdziesiątego pierwszego listu: – Pozostańmy zatem przy naszym zamiarze i przeprowadzajmy go wytrwale!

Przypomniałem mu, że już Schomer-Nie-do-przejścia na froncie murmańskim karmił swoich na pół zamarzniętych żołnierzy powiedzonkami Seneki: „Arktyki to nie ma!”

On kazał czekać swoim pacjentom: – Żadnego filozofa nic nie chroni przed fałszywym poklaskiem. Mędrzec się tym nie przejmuje. W dniu swojej wyborczej klęski, jako przepadły pretor, Katon grał w piłkę na Polu Marsowym. A Seneka powiada...

–Nie! Już ani jednego cytatu! Pański Seneka bardzo długo pomagał krwiożerczemu Neronowi sprawować rządy i pisał mu kwieciste mowy. Dopiero jako starzec, niezdolny już do odczuwania jakiegokolwiek przyjemności, stał się mądry. Jak człowiekowi penis uschnie, to chyba nie tak trudno wybrać samobójczą śmierć i wodniście wykrwawić się cnotą. Uprawiajcie beczynność i przyglądajcie się nędzy świata bez mrugnięcia okiem. Nie, doktorciu! Nie pozwolę, żeby mi zatłukli ucznia. Do diabła, doktorciu, z całym stoickim spokojem!

Na to mój dentysta zaśmiał się przez kabel telefoniczny: – Taki podoba mi się pan już bardziej. Nawiasem mówiąc chłopak odwiedził mnie niespełna dwie godziny temu. Już ani słowa o zastrzykach dla psa. Za moją radą zainteresował się listami do Lucyliusza. Jak pan sądzi, czego się szczeniak doczytał? No? Jak pan sądzi? Pański uczeń stwierdza u Seneki i Marcusego zgodność w ocenie późnorzymskiego bądź późnokapitalistycznego społeczeństwa konsumpcyjnego. Pamięta pan. W czterdziestym piątym liście padają słowa: „Za konieczne uznaje się rzeczy, które po większej części są zbyteczne”. Poradziłem chłopakowi, żeby dalej szukał swojego Marcusego w pismach starego stoika...

Po odłożeniu słuchawki pozostać sam na sam z pytaniem: Czy on już zrezygnował? I odnotować lekką irytację: Burza w szklance wody. Po to człowiek się denerwuje, wysila gada prosi. Czy jestem rozczarowany? Jeśli on rzeczywiście – w co nie mogę uwierzyć – ugnie się, jeśli po prostu – co bądź co bądź byłoby możliwe, ale przecież jest nieprawdopodobne – spuści z tonu, jeśli stchórzy – na co nie liczę, ale co uznałbym za zrozumiałe – będę się starał nie być rozczarowany: – To godne podziwu, Filipie. Ze względów rozumowych zrezygnować z odważnego czynu to nazywam mieć większą odwagę, zdobyć się na większą ofiarę.

Scherbaum dopadł mnie po lekcjach – Wero była u pana. Ostrzegałem pana.

–Nie ma o czym mówić, Filipie Chciała, jak to powiedziała, bezwarunkowo ze mną mówić!

–Traci pan na mnie już dosyć czasu, bo ja nie mogę się zdecydować.

–Wszyscy walczymy o właściwą decyzję Dlatego również pańska przyjaciółka powinna była mieć możliwość wysłuchania mojej rady.

–I co? Wykręciła swój wielki numer?

–Była obcesowa, ale do tego jestem przyzwyczajony. Scherbaum u mego boku stawiał nieregularne kroki ja zastanawiałem się od drzewa do drzewa. Czy mu czegoś nie nagadała? Jakichś piczkowatych historyjek? Sięgnął mi między nogi. Chciał mi bezwarunkowo pokazać, jaki duży. Najpierw zmieszał mi wódkę z coca-colą, potem ściągnął mi rajstopy. Wyobrażałem sobie szkolne konsekwencje przymuszanie osób zależnych i małoletnich, już układałem nagłówki dla „Bild-Zeitung” „Lekcja na berberyjskim dywanie!” – „Profesor gimnazjalny lubi cynkowozielone rajstopy!” – „Zawsze, kiedy mówiła przez nos!” Już obmyślałem wyjaśnienie, jakie złożę mojemu zakłopotanemu dyrektorowi, gdy Scherbaum przystanął (Wyglądał na znękanego. Niespokojne gesty. On, który nigdy nie marzył, miał dreszcze. I to seplenienie, o którym mówił już mój dentysta).

–Wero chce pana wykończyć. Pójdzie z panem do łóżka, żeby pan przestał mnie przekonywać. Zrobi to.

(Czy powiedziałem coś? Chyba znów złapałem się za okulary. Ten śmieszny odruch, jak gdyby zdania wypowiedziane prosto z mostu mogły zamglić szkła).

–Oczywiście starałem się wybić jej z głowy tę bzdurę. Bo, po pierwsze, Wero na pewno nie jest w pańskim typie, a po drugie, miałby pan pietra przed zadawaniem się z nieletnią – może nie?

(Wyszczrzył zęby Mój Scherbaumik, który zwykle w najlepszym razie uśmiechał się ironicznie, wyszczrzył zęby w dwuznacznym uśmieszku) Ratowałem się rozbawionym opanowaniem pozostawiając otwartą sprawę, czy Wero Lewand w pewnych sytuacjach mogłaby mi się podobać, mówiąc, wciąż jeszcze żartobliwie, o niebezpieczeństwach, na jakie niekiedy wystawiony jest nauczyciel – Nie zawsze, Filipie, łatwo przychodzi siedzieć w cnotliwym blasku ciepłarni.

–a potem, już w tonie pedagogicznej powagi, pytając Scherbauma wprost! – Ale skoro już tak otwarcie rozmawiamy czy sypia pan ze swoją przyjaciółką?

Scherbaum odparł – Jakoś to się już nie zdarza Sprawa z Maksem po prostu za bardzo odwraca uwagę. Poza tym nigdy nie była to dla nas rzecz najważniejsza.

Potem zatrzymał się i popatrzył na bezlistne kasztany szkolnego podwórza – Nie bardzo mogę się w tym połapać Prawdopodobnie kobiety muszą być dość regularnie obsługiwane, w przeciwnym razie zaczyna im odbijać.

–A więc, Filipie, niech się pan nie martwi o swoją przyjaciółkę, nawet jeśli znów będzie chciała „bezw warunkowo” ze mną pomówić Ja będę jak głaz.

Ale Scherbaum miał inne zmartwienia – Nie w tym rzecz Jeśli pan bezwarunkowo musi z nią, to trudno. Nic mi do tego. Nie chciałbym tylko, żeby ta idiotyczna bzdura miała coś wspólnego z Maksem. To zupełnie różne sprawy Nie można ich mieszać.

Nie będę ukrywał czekałem Przesadna pilność w pracy nad rękopisem maskowała moje czyhanie (Żonglowanie elektromechanicznymi sztuczkami elektryka Schlottaia przy odbiciu filara narożnego Rzew, operacja Bizon). Od czasu do czasu ćwiczyłem proste zdania Nie zdejmie pani płaszcz, Wero? – Jak to miło, że jest pani tutaj i rozprasza moją samotność – Muszę pani wyznać, że choćby nie wiem jak wielkie było moje pożądanie, nadal zamierzam oprzeć się pani oszałamiającej bezpośredniości, aczkolwiek nie byłbym od tego, ale tak chyba być nie może nie powinno nie ma prawa – Powinniśmy wspólnie próbować się wyrzec – Mogę pani coś na głos przeczytać?

–Oto parę listów znakomitego i tragicznie nieszczęśliwego Georga Forstera do żony, która w owym czasie – leżał chory w Paryżu – spisała go już na straty, dzieliła łożę z innym – Nie czytać? Lepiej opowiadać? Bo mój głos ma takie przyjemne brzmienie? Może o wojnie Jak to ja samusieńki i odcięty w lesie na tyłach rosyjskich linii? Nie o wojnie? Mam coś z czasów mojego narzeczeństwa?

–Nawiasem mówiąc coraz bardziej przypomina mi pani moją byłą. Co prawda nie oddychała przez usta, ale mogłaby. Taka konsekwentna mająca tylko jedno przed oczami

bezpośrednia Na przykład zadawała się z zakładowym elektrykiem, ponieważ kiedy obsługiwał ją na stojaka pomiędzy pustakami, dowiadywała się, co jej ojciec, który w czasie wojny na froncie murmańskim, później w Kurlandii, potem na południowej Ukrainie... Ach tak, przecież mieliśmy nie mówić o wojnie. – Może papierosa? I ten zakładowy elektryk zaopatrzył wielki stół plastyczny w elektromechaniczną instalację. – Nie powinna pani siadać na dywanie. On się strzępi, Wero. – I to ze wszystkimi szykanami. Zna się pani trochę na przełącznikach sprzężonych, rozdzielniach koordynujących, dźwigniach sterowniczych i lampkach stałych? – Ale to musi pozostać między nami, Wero. Słyszysz? I naprawdę nie muszę uważać?

Pod wieczór przyszła Irmgarda Seifert. Ona też chciała ze mną „bezwarunkowo” pomówić. Ona też nie chciała zdjąć płaszcza. Mówiła nie rozebrawszy się: – Jedna z uczennic – chyba nie muszę wymieniać nazwiska – robiła wobec mnie aluzje, które sobie wyprosiłam, jednakże chciałabym prosić pana, Eberhardzie, o wyjaśnienie mi, jak takie dwuznaczności...

Skąd mój spokój? – Droga Irmgardo. Przypuszczam, że bajdurzącą aluzyjnie uczennicą była panna Lewand. Do czego tu można robić aluzje? Czemu pani nie usiądzie?

Irmgarda Seifert przyglądała się uważnie mojemu berberowi:

–Głupie stworzenie dosłownie uczepliło się mnie po szkole. Tym gderliwym tonem, wie pan: „Jak pani właściwie podoba się dywan pana Staruscha leżący przed jego biurkiem?” Kiedy odparłam, że pański dywan to dywan berberyjski, a poza tym piękna rzecz, usłyszałam: „Ale się strzępi”. Na dowód wyskubała z płaszcza parę wełnianych włókien, które bądź co bądź mogłyby pochodzić z pańskiego dywanu. Jak pan się do tego ustosunkuje?

(Zrobiła cię na szaro. Rozpaliła cię jak lubieżnego wujaszka – a potem wystawiła do wiatru. Buzi! Buzi! – Figa! Figa!).

Zacząłem od śmiechu, bo to było zabawne, kiedy pomyślę o zdejmowaniu okularów chuchaniu przecieraniu szkieł: – Dziewczyna jest zadziwiająco konsekwentna. Być może jej sytuacja rodzinna, jej specyficzna, uwarunkowana środowiskowo samodzielność sprzyja tak niebywale złośliwym decyzjom. Więc to dlatego tarzała się po dywanie! – Potrząsanie głową. – Przyszła tu. Przedwczoraj. Bez uprzedzenia. Chciała ze mną bezwarunkowo pomówić. Nie dała się spławić. Siedziała tam, w płaszczu, jak pani. – Nie zechce pani, Irmgardo, rozebrać się i usiąść? – I wsiadła na mnie z góry, ba, zdrowo mi nawymyślała. Mam jej Flipa zostawić w spokoju. Jestem reakcyjnym powściągaczem. Niech pani sobie wyobrazi, Irmgardo, powiedziała: powściągacz... – Śmiech i kilkakrotne powtarzanie żargonowego neologizmu. – I tak dalej, i tak dalej. W końcu rzuciła się na dywan.

Przyglądałem się spokojnie. Poczęstowałem papierosem. Sam również paliłem. Bo jak powiadają etolodzy, wspólne palenie potrafi złagodzić agresywność. Mówić nie było już o czym. A gdy wychodziła, niczego nie przeczuwając zwróciłem jej uwagę na to, że mój berber od jej miotania się trochę wyliniał, czego ślady widać na jej płaszczyku z kapturem. –

To wszystko.

Irmgarda Seifert zdecydowała się mi uwierzyć. Zdjęła płaszcz, nadal jednak nie chciała usiąść. – Niech pan sobie wyobrazi, Eberhardzie, to głupie stworzenie spytało mnie, czy ja też już leżałam kiedyś na pańskim strzępiącym się berberze.

Zaraz potem siedzieliśmy na tapczanie i paliliśmy. Wieczór, przy akompaniamencie muzyki z płyt (Telemann, Tartini, Bach), upłynął na rozwlekłym przywoływaniu przeszłości, które jednak nie zdołało zamienić nas w siedemnastolatków. Przy całym trzymaniu się za rączki i miętoseniu dłoni dystans między nami wciąż się powiększał; stawał pod znakiem zapytania wymiary tapczanu.

Ja przytaczałem epizody z czasów mojej przynależności do bandy Wyciskaczy, ona wciąż na nowo kaligrafowała doniesienie na chłopca z Harzu; ja zapuszczałem się w szczegóły demontażu ołtarza w bocznej nawie katolickiego kościoła i usiłowałem objaśnić jej żelazne zbrojenie we wnętrzu neogotyckiej gipsowej Madonny, ona upierała się przy tym, że drugie doniesienie – albo ponaglenie z powodu braku reakcji na pierwsze – wysłała listem poleconym do Clausthal-Zellerfeld; ja przypominałem sobie moje osobiste kłopoty w roli szefa młodzieżowej bandy i wykazywałem, że przynależność jednej dziewczyny przyczyniła się do późniejszej zdrady, ona informowała mnie o przepisach obsługi pancierzownicy i nie mogła, nie chciała pojąć, że sama szkolila czternastoletnich chłopców w posługiwaniu się tą bronią do walki z bliska; a gdy ja spróbowałem porzucić wieniec wiecznie zielonych wspomnień powracając nieomal brawurowo do Wero Lewand i mego strzępiącego się berberyjskiego dywanu, Irmgarda Seifert, uznając wczesne dywanowe doświadczenia Wero za wyssane z palca, podjęła wianuszek: – Niech mi pan wierzy, Eberhardzie. Będę musiała wystąpić przed klasą, uczynić wyznanie. Bo jakże mogłabym dalej uczyć z tym elementarnym kłamstwem pod czaszką. To jeszcze wymaga impulsu. Przyznaję, że jestem słaba. Ale skoro tylko młody Scherbaum da nam przykład, pójdę za nim, pójdę za nim z całą pewnością. To musi się skończyć.

Dolałem mozelskiego i założyłem płytę. Kiedy po krótkim, omijającym berberyjski dywan przechadzaniu się w tę i w tę usiłowałem wprost i bez słowa pokonać stworzony gadaniem dystans – ni z tego, ni z owego siadłem koło Serfercicy, wyciągnąłem ręce i prawym kolaniem próbowałem wejść pomiędzy jej zsunięte nogi – ona ukręciła łeb mojemu połowicznemu zamiarowi – Proszę, Eberhardzie. I tak panu wierzę, że pan to potrafi.

A nieco później, pośród cichego śmiechu, nie, pośród dziewczęcego gruchania usłyszałem – Gdybym była młodsza i gdybym jako pedagog nic nie wiedziała o tym zakazie, to niech mi pan wierzy, Eberhardzie, wzięłabym sobie tego Filipa, w objęciach dodawałabym mu otuchy, kochałabym go, kochałabym gorąco! – Ach, gdybym miała jego niezmaconą wiarę, jakże bym wtedy chciała głośno wygarnąć nagą prawdę.

(Przysysają się. Obsiadły ściany jej akwarium. Żyją z innych i krzewią się. Również jemiola ze swymi szklistymi jagodami, które gdy się je zgniecie, wymiotują szklistym śluzem,

również jemiola, bogobojny amulet, do zawieszenia nad drzwiami, jest pasożytem).

Została do północy i jeszcze trochę Na koniec musiałem wziąć arantil. O moim minionym i przyszłym leczeniu się u dentysty Irmgarda Seifert nie chciała ze mną rozmawiać. W drzwiach pocałowała mnie – I nie bądź na mnie zły za to, co przedtem.

(- Nie ma o czym mówić jeszcze trochę popracuję) Kiedy doszło do procesu, z sześćdziesięciu sześciu punktów oskarżenia pozostały dwa bezskuteczne podżeganie do zabicia pułkownika Sparre i majora Jünglinga, zwane w skrócie sprawą twierdzy Nysa, i rozstrzelanie starszego gefrajtra Arndta, którego Schörner zastał śpiącego w ciężarówce. Oskarżony powoływał się na tak zwany rozkaz w sprawie katastrof, rozporządzenie führera nr 7 z 24 lutego 1943 roku „Kto działa śmiało i zdecydowanie, nie będzie karany nawet wówczas, kiedy przekroczy wskazaną miarę”. Wracając z sowieckiej niewoli Schörner, za radą policji, wysiadł z pociągu pośpiesznego Hof – Monachium już we Freisingu, gdzie czekała na niego córka Anneliese. Na monachijskim Dworcu Głównym doszło do zbiegowisk z udziałem byłych żołnierzy Wehrmachtu.

Już mi się nie chce. Przedsmak przestania posmak. Wszystkie smaki występują równocześnie i kłócą się ze sobą. Znam swoje kieszenie. Słowa znajdują sposób i otwierają szkatułki, w których leżą słowa czekające na to, że znajdą sposób i otworzą szkatułki. Rozumiem wszystko. Nim pojawi się orzeczenie i nadęcie zajmie rampę, ja kiwam głową – A jakże – Teraz idę spać. Wstrętne to łóżko.

Zbudzić się i znaleźć ołówek nieczułość przy dokładnym rozumieniu wszelkich bólów i ich pochodnych. Epikur zarzuca greckim stoikom, szczególnie Stilponowi, apatheię, podczas gdy Seneka, admirator Epikura (i prawdopodobnie potajemny epikurejczyk), bądź co bądź przyznaje, że odczuwa nieszczęście, mimo iż mądrość, nie zaś impatientia, niezdolność cyników do odczuwania cierpienia, daje mu możliwość pokonania każdego nieszczęścia, tymczasem ja przy najlżejszym bólu zębów sięgam po arantil nieszczęście równa się bólowi zębów! – Czy to możliwe, że Neron, jako konsekwentny uczeń Seneki, podpalił Rzym, bo popchnął go do tego ból zębów?

Więc spać nie w łóżku, tylko na zwierzęcym dywanie. Szukać snu jak czegoś uchwytnego. Niech pani posłucha, Wero. Przecież nie może pani tak po prostu kłaść się na moim berberze – Dlaczego nie? – Bo on cuchnie trykiem – To mi nic nie mówi. Mam polipy – A jeśli ja też wyląduję na dywanie? – To będzie cuchnął dwa razy mocniej.

–Ale ostrzegam panią – Przed czym? – Przede mną na dywanie.

–Ale panu tego nie wolno – Kto to mówi? – Bo jestem osobą małoletnią i zależną. Moi rodzice mieszkają osobno. Wciąż muszę kursować od jednego do drugiego. Poza tym będę krzyczała i opowiem wszystko Archanielscy. Nie wolno panu! Tego panu nie wolno!

(Na moim dywanie wolno mi wszystko. Nawet leżeć samemu, szukać snu i znajdować eks-

narzeczoną, która zamieniła się w tłustą kulkę kurzu i wplątała w sierść tryka Chodźże chodź!).

Tylko nie wolno by mi było pozwolić, żeby przy tym została w płaszczu, bo mój berber jest zbyt nowy, żeby się nie strzępić. Teraz wszyscy o tym wiedzą, a pani Seifert mówi Zechce pan zająć stanowisko, kolego Strauch. Nie chciałabym ponownie składać doniesienia, bo już jako siedemnastolatka na krótko przed końcem wojny czułam się zmuszona donieść, donieść do odpowiednich władz na chłopca, który chciał dobrać się do mnie – Niech pani powie, Wero. Dlaczego zawsze i wszędzie nosi pani cynkowozielone rajstopy?

–Żeby mogła lepiej pana słyszeć.

Także poszukiwanie min w odkrytym terenie I błąkanie się między odłamkami bazaltu na Mayener Feld. Także różowy gips modelarski i na ekranie ja, z rozdziawioną gębą wypełnioną różowym modelarskim gipsem. Także pogrzeb na leśnym cmentarzu w Zehlendorfie Ojciec Scherbauma i ja prowadzimy pod rękę matkę Scherbauma za trumną. A za plecami szept. Ten na przodzie to jego nauczyciel, to był jego nauczyciel. Na koniec znalazłem sen na moim berberze, bądź co bądź sen.

Rano, przy goleniu. Niechże to zrobi. Ja będę się temu przyglądał bez słowa i zachowam chłód.

Rano wraz z odrosłym zarostem zeszkrobywałem wszystkie odrosłe przez noc dobre zamiary, gdy zadzwonił mój dentysta – Stało się. Pański uczeń rezygnuje.

(Zgniła ostryga wypluć. I radośnie wołać w słuchawkę – No, Bogu dzięki! Szczerze mówiąc nie oczekiwałem niczego innego niż zwykłego spuszczenia z tonu).

–On rezygnuje pańskim kosztem. Niech pan się tym nie przejmuje. Chłopak powiedział, że nie chce później jak pan, mając czterdziestkę, obnosić się z czynami siedemnastolatka, bo jego zdaniem pan tak robi.

(Trzymałem się Seneki, byłem w rewanzu częstowany cytatami i na zakończenie stwierdziłem – Teraz jest dorosły, a więc złamany)

–Ależ nie! Jest pełen planów. Planów, które – jak z chęcią przyznaję – mogły wyrosnąć na gruncie moich ostrożnych rad. Chce objąć uczniowską gazetę. Uświadamiające artykuły! Złośliwe komentarze! Być może manifesty!

(- Decyzja sama w sobie godna pochwały. Naszą spsiałą gazecinę można tylko porównać z pisemkiem ułożonym u cioci na imieninach).

–Jakież to zadanie, nie, jakaż to misja!

(- Jedyna od miesiący inicjatywa sprowadza się do pytania, czy i gdzie podczas przerwy

uczniom wolno palić).

–Pański uczeń chce starannie wykorzystywać swój czas i kształcić swoją świadomość

(- Jak to powiedział wychowawca małego Nerona „Jakże słusznie, Lucyliuszu! Poświęć się samemu sobie, gromadź czas i szcędź go!”)

–Nawiasem mówiąc będę musiał chłopakowi założyć płytkę korygującą na przednie zęby. Leczenie zaczyna się już jutro. Przy tyłozgryzie rezultat późno podjętego zabiegu nigdy nie jest pewny. Wymaga od pacjenta dyscypliny. Powiedziałem mu to. Zdołamy odnieść sukces tylko wtedy, kiedy pan niejako zaprzyjaźni się z obcymi ciałami w swojej jamie ustnej. Przynależ mi, że wytrzyma. Kilka razy przynależ mi, że wytrzyma.

(- On da za wygraną, doktorciu Brak mu wytrzymałości. Właśnie tego dowiódł. A i uczniowska gazeta. On tego nie wytrzyma. Po trzech numerach – zakład, doktorciu? – znowu wszystko będzie się kręciło wokół kącika dla palaczy)

Mój dentysta powiedział – Zobaczymy! – i przypomniał mi o mojej górze – My też niedługo pojedziemy dalej Nieduża przerwa pewnie dobrze panu zrobiła. Nawiasem mówiąc to zabawne, jak skrajnie odmiennie przedstawia się tyłozgryz ucznia w porównaniu z autentyczną, bo wrodzoną progenią nauczyciela.

On jest w porządku. Ma miarę w kieszeni jego prognozy nie muszą się sprawdzać. Jego pomyłka nazywa się sukces częściowy. Jest relatywnie pewny swego Jeździ na nartach, gra w szachy i lubi mostek wołowy Starannie przygotowuje się do swoich miernie uczęszczanych wykładów na uniwersytetach ludowych w Steglitz, Tempelhofie, Neukollnie. Ktoś, kogo porażki nie powalą Uprzejmy i pewny, że chętnych nie zabraknie, mówi – Następnym proszę.

Po nużającej naradzie – chodziło o zakup pomocy naukowych – poinformowałem Irmgardę Seifert – Scherbaum nawiasem mówiąc spuścił z tonu. Obejmuje szkolną gazetkę.

–Zatem jeszcze raz zwyciężył tak zwany rozsądek. Brawo!

–A kogo wolałaby pani widzieć jako zwycięzcę?

–Powiedziałam brawo! Niech żyje szkolna gazetka!

–Może spodziewała się pani, że Scherbaum zdobędzie się na ową odwagę, której brak mnie i pani, tak jest, również pani?

–A ja już postanowiłam zacząć na nowo.

–Może od zera?

–Chciałam wystąpić przed swoją klasą i odczytać te okropne listy.

–zdanie po zdaniu – Ale już nie warto. Ja też spuszczaam z tonu.

–Dlaczego tak minorowo? Niech pani podaruje te listy redaktorowi naczelnemu Scherbaumowi Wydrukuj je w uczniowskiej gazecie Jako, że tak powiem, szlagier

–Chciał mi pan sprawić ból Nieprawdaż? – Sprawił mi pan ból.

Ona cierpi zbyt chętnie, zbyt łatwo, zbyt głośno. Muszę teraz przeproszać – Nieprzemyślane słowa, które powinniśmy puścić w niepamięć – Niedawno słuchaliśmy u niej chorałów gregoriańskich Po jednym z wersetów Alleluja powiedziała – To jest jak rozbłyśnięcie Crawla. Najgłębsza tajemnica Wielkiejnocy staje się tutaj przejrysta. Nieprawdaż, Eberhardzie, tak z krwi Baranka mogłoby rozkwitnąć nasze odkupienie – Była zdumiona i urażona, gdy zdjąłem płytę długogrającą z talerza i porysowałem otwieraczem do piwa – Niech pani to opowiada swoim akwariowym rybkom za każdym razem na krótko przed zdechnięciem – Tak – odparła – będę musiała zmienić wodę

Scherbaum zwołał pierwszą naradę redakcyjną Chcieli zrezygnować z ogłoszeń, aby móc zachować niezależność. Uczniowska gazeta miała zmienić tytuł.

–No, Filipie. Jak pisemko będzie się nazywało?

–Zaproponowałem „Znaki Morse'a”.

–Rozumiem.

–Mój pierwszy artykuł będzie się zajmował grupą oporu Helmuta Hübenera. Chcę porównać ze sobą działalność Hubenera i Kiesingera w roku czterdziestym drugim.

–A jak się miewa Maks?

–Już lepiej. Musiał coś zeżreć. Zaszkoziło mu. Ale odzyskał apetyt.

–A pański tyłozgryz?

–Będę miał założony aparat. Dość skomplikowany. Ale jakoś to wytrzymam. Na pewno.

–Jasne, że tak Filipie – Jutro znowu kolej na mnie. Chce mi zeszlifować sześć sztuk. Druga runda.

–No to dobrej zabawy! (Spróbowaliśmy zaśmiać się razem. Udało się).

Cóż tutaj znaczy beton! Z głęboko rozstawionych książek zbudować system nie do zdobycia. Skopiować idealną twierdzę Vaubana. Popchnąć naprzód to, co pozaczynane, albo wrócić do moich studiów nad Forsterem. (Między Mokrym Dworem a Moguncją).

Książki i podobne pułapki na myszy.

Dlaczego nie kupiłem obu tomów we Fnedenu? Dlaczego przy mokrej i zimnej pogodzie pojechałem do centrum i próbowałem szczęścia na Kudammie? (Tylko jedna książka była na składzie, drugą musieli zamówić). U Wolffa dostałbym obie.

Po zakupie na przekór oporom ruszyłem w stronę Kempinskiego. Po długim suchym mrozie mżyło. Mały ruch na placyku przed lokalem, a kto go przemierzał, temu się spieszyło. Z musu, o którym wiedziałem, że jest sentymentalny, ale od którego nie mogłem się uwolnić, w miejscu upatrzonym przez Filipa na planowaną akcję przybrałem postawę wyczekującą. (Ktoś w tweedowym płaszczu). Z podniesionym kołnierzem, zerkając na zegarek na ręce udawałem – przed kim? – że jestem z kimś umówiony. Odwilż i smolisty deszcz zmniejszyły podziurawiły poczerńiły sterty śniegu na skraju placyku. Z bruku nie było żadnej pociechy. Wilgoć, która wdzierała się w podeszwy butów. Czy spodziewałem się znaleźć siady tutaj w styczniu roku 1967 na widok zajadających ciastka pan zwymiotował siedemnastoletni gimnazjalista Filip Scherbaum?

Na tarasie dużo wolnych miejsc. Nic się nie chciało zgodzić bardzo niewiele starszych pan, dwóch czy czterech samotnych panów, w głębi grono pielęgniarek, a na pierwszym planie, przyciągając wzrok, Hindus z kobietą w egzotycznych jedwabiach. Oboje pili herbatę i nie jedli ciastek. Ale Wero Lewand jadła ciastko.

Siedziała w swoim płaszczu z kapturem, wyprostowała cynkowo-zielone nogi i z równomierną prędkością jadła tort z masą orzechową, łyżeczka po łyżeczce. Widzieliśmy się oboje ja widziałem, jak ona je – ona widziała, że ja widzę, jak je. Nie przestała wcinąć z tego powodu, że ja przyglądałem się jej przy wcinaniu. Nie wcinała też szybciej czy bardziej nieregularnie. Nie zdjąłem okularów, nie chuchałem, nie przecierałem szkieł. Jadła na znak protestu. Widziałem, że jadła tort z masą orzechową na znak protestu. Starsze panie przy sąsiednim stoliku piły kawę i nie jadły ciastek. Żadna z pan nie miała ze sobą psa.

–Smakuje, Weroniko?

–Jak wszystko, co jest drogie.

–Ale przecież to nie może smakować.

–Chce pan kawałek?

–Jeśli to konieczne.

–Postawię panu.

Zdecydowałem się na tort wiśniowy ze Schwarzwaldu Wero Lewand zamówiła następne ciastko – Beza z bitą śmietaną – Potem milczeliśmy w różne strony. Kiedy przyniesiono tort i bezę, wcinaliśmy w milczeniu. Nie dało się zaprzeczyć tort był smaczny. Jej płaszcz z

kapturem nic już nie zdradzał. Hindusi zapłacili i wyszli. Za naszymi plecami w nieregularnych odstępach, ale zawsze razem śmiały się pielęgniarki. Grupy turystów z zachodnich Niemiec w przezroczystrych pelerynach od deszczu ociągały się na placyku, podążały dalej i oszczędzały swoje pieniądze. Grzejniki pod dachem tarasu były jeszcze nastawione na mroźną pogodę. O trzy stoliki na lewo od nas pod ciężącym z góry gorącym usiadł Murzyn w płaszczu z wielbłądziej wełny. Jego niemczyzna wystarczyła – Tort wiśniowy ze Schwarzwaldu.

–Jak tam, Wero? Mam jeszcze coś zamówić?

–Wystarczy.

–Może coś lekkiego Kruche ciastko?

Znów nie pozostawało nic innego jak poczęstować. Wero roth-händlem. Paliła nie zwracając uwagi na mnie. Paliłem nie zwracając uwagi na nią Przerwy wypuszczały obszerne baloniki słowne, które mogłyby pomieścić dialogi na wietrznej Reńskiej Promenadzie w Andernach (To, że moja była narzeczona bierze udział we wszystkim, jest pewnie jej dobrym prawem, gdybym tylko wiedział, ile to razy ja, nieproszony, siedzę u niej przy stole).

–Niech pani powie, Wero. Była już pani kiedyś w Andernach nad Renem?

–Był już pan kiedyś w Haparandzie, panie profesorze Starusch? (Jej głos nie jest zależny od pogody; tu nie chodzi o katar).

–Niech pani powie, Wero. Właściwie dlaczego nie usunie pani tych polipów?

–Dlaczego pan ich sobie nie zahoduje?

(Teraz bawi się srebrną łyżeczką; łyżeczka zaraz zginie).

–Nawiasem mówiąc pani Seifert zwróciła mi uwagę na to, że mój dywan się strzępi.

–Przedtem pan o tym nie wiedział? (Później, dużo później podarowała mi łyżeczkę).

–Mogę chyba zapłacić. Zgoda?

Na stoliku pozostała ulotka: „Pali się!”

Wyszliśmy ze zmarzniętymi nogami i słodkim posmakiem.

Potem z ryby pozostały ości. Przewiewne odstępy, łatwe do zasiedlenia. Potem sprzedawano pamiątki. Coś powinno było się stać i później, choć w innym miejscu, częściowo się zdarzyło. Potem do domu przyszły rachunki. Nikt nie chciał się do nich przyznać. Potem kontynuowano profilaktykę. Już w tym, co przedtem, zaczyna się to, co

potem.

Zabieg, jakiemu zostały poddane moje górne zęby, przebiegał podobnie do zabiegu, jakiemu wcześniej były poddane dolne. Jeszcze dzisiaj, kiedy wszystko przebrzmiało i zostało zapłacone, mój dentysta udziela mi odpowiedzi; i gdy wczoraj zapytałem go, czy nie powinienem przyznać, że on, przy całej uprzejmości, jest dość małowówny, ba, milkliwy, odpowiedział rozwlekłe: – Relatywnie mało ważna jest dosłowność tego, co mówiliśmy. Tylko bez skrupułów. Nie mówiłem tego, co pan chciał usłyszeć, lecz pozwalałem, by dopuszczał pan mnie do mówienia tego, co uważałem za słuszne i co jakoś tam wyrażałem. Nawet dokonane później przez pana korekty – lubi pan zmieniać – są moimi źle zrozumianymi pomysłami. I już pan się śmieje!

Prosiłem go, by wziął pod uwagę, że duża liczba pacjentów, którzy musieli wszyscy jak jeden mąż udzielać mu wyjaśnień, mogła wprowadzić zamieszanie i zmać mu pamięć.

– Zapomina pan o mojej kartotece. Oto pańska karteczka: po dłuższej przerwie – i po tym, jak trudności z pańskim uczniem zdawały się usunięte – kiedy my, dla dokładności: od 7 do 13 lutego, zmienialiśmy układ zębów w pańskiej górnej szczęce i jeśli nie wyrównaliśmy w pełni, to przecież złagodziłem pańską progenię, w czasie, kiedy to zacząłem już spóźnione leczenie tyłozgryzu pańskiego ucznia Scherbauma, oszlifowując pierwszy ząb trzonowy powiedziałem: Mój drogi profesorze Starusch. Jako że plan pańskiego ucznia, dzięki Bogu udaremniiony, trochę panu zszarpał nerwy – chłopak potrafił również mnie skłonić do zastanowienia – powinien pan poniechać swoich dziwacznych fikcji: pański Krings – czy jak tam on się nazywa – jest typem zawiedzionego w swoich rachubach pułkownika, który jak wielu wojskowych bez należytego przygotowania zawodowego próbował zaczepić się w przemyśle. Znamy podobne wypadki. Wszędzie roi się od Kringsów. A pańskiemu Kringsowi nie wystarczały sukcesy gospodarcze, toteż lubił w gronie rodziny na stole plastycznym wygrywać bitwy, które przegrali jego przełożeni. (Mój fryzjer, były kapitan, podobnie zwycięsko fantazjuje do lustra). I z powodu takich chełpliwości dochodziło niekiedy do utarczek słownych między pułkownikiem a jego córką, którą pan chce sobie stworzyć na nowo w roli potwora; tymczasem ja staram się wyobrazić sobie pańską narzeczoną jako trzeźwą, ale nie pozbawioną serca dziewczynę, którą coraz bardziej raziły raptowne i częste wybryki narzeczonego...

(Sześć zębów oszlifował mi stożkowato na filary mostu. W telewizji, jeśli ekranu nie zajmowały akurat występy mojego dentysty, leciał program rozrywkowy rozgłośni Wolny Berlin: „Rendez-vous z Rudolfem Schockiem”. Co prawda widziałem, jak ten wybitny śpiewak śpiewa, ale słyszałem tylko jego szept).

– Jeśli zechce pan sobie przypomnieć: jeździł pan wtedy ogólnie podziwianym w Przedniej Eifel mercedesem z budą, rocznik trzydziesty drugi. Był pan prawdziwym snobem, który lubił wystawiać na słońce swego wypielęgowanego oldtimera, a obok swój przodożuchwowy profil. Kto by miał za złe nieroztropnej pani Schlottau, że zadurzyła się w kabriolecie i jego kierowcy w zamszowych rękawiczkach i z podbródkiem duce. (Wtedy miał

pan w sobie coś ekstra).

Zdarzyło się, że w pogodny kwietniowy ranek przejechał pan przez miejscowość Kretz i zaparkował swój słoneczny pojazd pod nie otynkowanym jeszcze domkiem jednorodzinny Schlottauów. Wskutek ostrego hamowania trysnęły kałuże i zatrzepotały kury. (Żadna chmurka nie chciała zmaćcić blasku lakieru). Małżonek Schlottau, poczciwy kierowca ciężarówki, który dla przedsiębiorstwa budowlanego z Ardenach, powiązanego interesami z pobliskimi zakładami cementowymi, woził mokry beton na wielką budowę w Niedermendig, był w drodze, gdy pan zajechał do Lotty Schlottau; bo gdyby kierowca ciężarówki owego kwietniowego ranka nie zapomniał w domu prawa jazdy, panu po raz kolejny udałoby się potwierdzić siebie. Schlottau spostrzegł brak dokumentów niedaleko za Kruft, zawrócił, dotarł do miejscowości Kretz, zobaczył słoneczny pojazd zaparkowany pośród swoich kur i pod swoim nie otynkowanym domkiem, zahamował (aczkolwiek nie tak ostro), nie oglądał mercedesa szczegółowo i fachowo, lecz spieszenie wszedł do środka, zastał swoje małżeńskie łóżko zajęte, nie uległ żądzy zabijania, nie po rozwałił tego, co było do porozwalania, nie zaczął charczeć, wrzeszczeć nieludzko, wychodzić z siebie, w milczeniu obrócił się na pięcie, pozostawił kochankom skotłowane łóżko, płosząc kury wskoczył do swej ciężko wyładowanej ciężarówki, uruchomił solidny motor, pojechał trochę do przodu kierując się przy tym w prawo, przełączył, szukał i znalazł na tylnym biegu pozycję, która pozwoliła mu zwalić na pewniaka półtonowej mokrego betonu na odkrytego mercedesa, na czarno-srebrny słoneczny wehikuł, na szybką, znaną między Mayen a Andernach chlubę, na brykę inżyniera zakładowego Eberharda Staruscha.

Podczas gdy dźwignik hydrauliczny nadawał skrzyni ładunkowej konieczne przechylenie, Schlottau wygramolił się z kabiny kierowcy i patrzył, jak zsuwający się powoli beton wypełnia, przepelnia kabriolet, oblepia szaro i posłusznie chłodnicę z gwiazdą mercedesa, pięknie wygięte błotniki, składaną budę i bagażnik z umocowaną na nim zapasową oponą. Również cztery szybkie koła otrzymały betonową osłonę. Starczyło jeszcze nawet na przestrzeń między samochodową wanną a nieruchomością Schlottaua. Kury przechyliły głowy. Jediną reakcją Schlottaua było przygryzanie dolnej wargi.

Ależ to był betonowy kloc! Gazetowe komentarze wzywały do wystawienia osobiwej skamieliny w muzeum etnograficznym w Mayen. Na dziedzińcu licznie odwiedzanego zamku Genowefy powinno się podziwiać bryłę pomiędzy rzymskimi i wczesnochrześcijańskimi bazaltowymi rozwaliskami. Wycieczki szkolne oglądały pomnik pańskiej klęski, póki nie został obrobiony młotami pneumatycznymi i w końcu (na pański koszt) odholowany. (Nawet pańskie zamszowe rękawiczki w schowku замуrował beton Schlottaua).

A ponadto – ale za to nikt nie może ręczyć – podobno nie przestał pan się trykać z kim popadnie. Tak opowiadają w Przedniej Eifel. Pogłoska nie do sprawdzenia. Z pewnością. Ale to jest faktem: Dostał pan wymówienie. Rozleciało się pańskie narzeczeństwo. I tylko dlatego, że był pan na tyle bezczelny, by grozić sądem pracy, pańska firma zlekła się o swoją opinię i chociaż zakłady cementowe wygrałyby proces, przyrzekła panu odszkodowanie, do którego dołożył się też ojciec pańskiej narzeczonej: chcieli pozbyć się

pana, pozbyć szybko i – o ile to było jeszcze możliwe – niepostrzeżenie. Nie oglądając się na koszty. Tak się zostaje profesorem gimnazjum. Ale teraz niech pan popłucze...

Któż potrafi się śmiać, gdy z otwartą gębą, z zawieszonym ślinociągiem i z ubywaniem substancji zębowej zobaczy coś zabawnego. (Pozwól mu bajdurzyć).

Wysłuchałem pomysłów mojego dentysty, a potem skorygowałem i kilka szczegółów: – Ładnie pan wszystko powymyślał. Ale to nie ja, i tylko Krings jeździł mercedesem-kabrioletem. (Mnie zostawili borgwar'da). I nie mnie, tylko staremu Kringsowi zamieniono wóz w betonowy kloc. Nie z powodu jakichś tam skoków w bok (które staremu być może się udawały), z zemsty dawni wojacy użyli mokrego betonu niezgodnie z przeznaczeniem. Schlottau, jak nadal przypuszczam, nie brał w tym udziału. (Jadł przecież staremu z ręki). Zdarzyło się to na dużej budowie w Koblencji. (Jedno z tych przeszklonych pudełek na cygara z połowy lat pięćdziesiątych). W każdym razie wiecha. My, jako dostawcy cementu i materiałów budowlanych, byliśmy zaproszonymi gośćmi. Nawet ciotka Matylda włożyła swoją czarną jedwabną suknię. Linda i jej przyjaciółki w prążkowanych letnich sukienkach. A był już wrzesień. Nawet Schlottau, który woził starego mercedesem, wyglądał w ciemnoniebieskiej jednorzędówce jak zaproszony gość. Na płaskim dachu, nad dwunastym piętrem, wiał wiaterek. Wiechę trzeba było uwiązać. Podawano butelkowe piwo. Dziewczyny marzyły w swoich letnich fataląszkach. W pewnym momencie stanąłem na uboczu ze Schlottauem. Mowa podmajstrzego murarskiego, rozszarpywana przez wiatr, nie chciała się skończyć. A ten sukinsyn powiedział do mnie: „Pańska narzeczona, z całym szacunkiem, podoba mi się. Szczerze, panie inżynierze. Dobra szkoła. Muszę panu przyznać”. A raz udało mi się stanąć tuż przy Lindzie, która oparła się o barierkę. (W dole leżały nasze pumeksowo-betonowe sufity i zbrojone żelazem kasetonowe płyty dachowe). Ale tylko pomyślałem i nic nie zrobiłem. A nie było żadnych świadków, bo wszyscy słuchali Kringsa, którego rozległy widok ze szczytu nowej budowli zachęcił do przemawiania. Słyszałem, jak zwrócony w stronę Ehrenbreitstein zwycięża pod wiatr. Mówił o zdradzie pod Kurskiem. O Arktyce, której nie ma. O czerwonym potopie, przeciwko któremu powinien wyrosnąć stoicki wał ochronny. A na koniec padło słowo: Stalingrad. Zwieńczone cytatem z Seneki brzmiało to elegancko i obiecywało zwycięstwo: „Ta walka jeszcze nie jest rozstrzygnięta!” Ponieważ nikt nie klaskał, usłyszałem Linde: „Zrobię z ciebie Paulusa, zrobię Paulusa!”

Na dole, koło naszych znormalizowanych pustaków, zastaliśmy mercedesa pod szybko twardniejącym betonem. (Niech pan spojrzy, doktorciu: Krings się śmieje). Jest nie do trafienia: „Wspaniale! wspaniale! No, Schlottau? To pewnie pańska inscenizacja, co? Mała przedpołudniowa zemsta. Ale teraz jesteśmy kwita, może nie?” (I niech pan spojrzy, doktorciu, niech pan spojrzy!). Nie tylko Schlottau, który być może był inicjatorem betonowej akcji, ale i współuczestniczący wojacy w murarskich ubraniach tworzą wielkie, jednogłośnie usta „Tak jest, panie feldmarszałku!”

Tyle o zabetonowanym mercedesie. Ale podczas, gdy mnie wolno będzie popłukać, panu może przyjdzie do głowy trzecia możliwość. Co pan sądzi o tym Linda siedzi za kierownicą

mercedesa, który musi czekać za ciężarówką pełną mokrego betonu, bo przed moją ciężarówką i jej mercedesem spuszczone są szlabany na przejeździe kolejowym

Pierwszy dzień leczenia przebiegł remisowo Od zęba do zęba i między zębami lekarz i pacjent snuli jedną po drugiej sprzeczne ze sobą historyjki i teorie. Czasami odpoczywali przy rozważaniach ogólnej natury na temat pedagogiki i stomatologu zapobiegawczej w wieku przedszkolnym Mówiło się też o sprawie Scherbauma.

–Niech pan sobie wyobrazi, doktorciu, on mówi ostatnio w liczbie mnogiej „Postanowiliśmy jednogłośnie”, a wstępna wersja jego pierwszego artykułu „Co robił król Srebrnousty?” zaczyna się mniej więcej tak „Jesteśmy uczniami. Spisujemy się w szkole zupełnie dobrze. Można w nas pokładać nadzieje. Czasami chcemy wznieść się ponad cel. Można to zrozumieć. Uczniowie jeszcze mają do tego prawo. Czasami w ogóle już nie chcemy, ponieważ śmierdzi. Również to można zrozumieć, ponieważ śmierdzi naprawdę i ponieważ jesteśmy uczniami uczniowie mają prawo chcieć przestać, tylko dlatego że śmierdzi. Był sobie kiedyś król, którego uczniowie nazwali królem Srebrnoustym”.

Ale mój dentysta chciał mówić tylko o tyłozgryzie Scherbauma Gdy próbowałem zainteresować go sprawą uczennicy Wero Lewand, machnął ręką – To coś dla specjalistów od gardła, nosa i uszu.

–Znakomity śpiewak Rudolf Schock śpiewał „Miłość mnie zmusza, bym szukał miłości”.

W pierwszym artykule Scherbauma (który nie został wydrukowany) można było przeczytać „Jesteśmy dobrym rocznikiem. Mówią, że coś z nas wyrośnie. Czasami nie chcemy, żeby z nas coś wyrosło. Można to zrozumieć z uczniów, którzy nie chcą, żeby coś z nich wyrosło, na pewno coś wyrośnie. Również król Srebrnousty nie chciał, żeby coś z niego wyrosło, a potem z niego coś wyrosło”

Dzisiaj trudno mi przychodzi opowiedzieć wprost o ufundowaniu bunkrowego kościoła. Za dużo jest wtrąceń (Nie tylko ze strony znakomitego śpiewaka i mojego dentysty) Scherbaum wykorzystuje mnie jako przechowalnię swoich porażek Irmgarda Seifert bywa u mnie i bywa Jedna uczennica tarza się po moim berberyjskim dywanie i zmusza mnie do zdejmowania okularów, chuchania, przecierania szkieł

Jeśli teraz powiem – Pani Matylda Krings, siostra feldmarszałka i ciotka mojej byłej narzeczonej), była fundatorką rozbudowy bunkrowego kościoła w Koblencji – to równocześnie powiem – Kiedy mój uczeń Filip Scherbaum objął redakcję uczniowskiej gazety „Znaki Morse'a”, nie udało mu się ogłosić bez skrótów swego pierwszego artykułu, w którym porównywał działalność narodowego socjalisty Kurta Georga Kiesingera z działalnością bojownika ruchu oporu Helmuta Hübenera w roku 1942, chociaż Kiesinger występował w nim, dla ostrożności, pod pseudonimem.

I jeśli teraz powiem – Podczas gdy w wielkiej betonowej budowlu wyrwano okna (a

znakomity śpiewak śpiewał coś z operetki „Zemsta nietoperza”), Matylda Krings, która oglądała z nami, pośród wysokich duchownych, plac budowy, powiedziała „Jak oceniasz akustykę, Ferdynandzie?”, to jednocześnie usłyszę słowa Wero Lewand „No już, jazda, Old Hardy! Czyżbyś nie mógł?” i wyznanie mojej koleżanki Irmgardy Seifert „Kocham pana, Eberhardzie”, znajdzie się nawet miejsce na jej dodatkowe zdanie „Tylko proszę nie mówić, że pan też mnie kocha”.

Fundowanie i autocenzura, kuszenie i wyznanie miłości nie kolidują ze sobą. Choć Wero Lewand głośno nazywa swego byłego przyjaciela „manipulowanym ugodowcem”, choć Scherbaum stara się usilnie wytłumaczyć mi, dlaczego musiał ustąpić wobec zastrzeżeń swoich współredaktorów, choć miłość Irmgardy Seifert chce wypowiedzieć się bezinteresownie na trasie wokół Jeziora Grunewaldzkiego i znajduje takie słowa jak „służebna bolesna gotowa do wyrzeczeń”, ja pozwalałam Kringsowi wypróbować akustykę bunkrowego kościoła, skoro już ją wypróbował znakomity śpiewak

Krings zacytował swojego Senekę – Wyrabiamy w sobie postawę duchową, abyśmy sami chcieli tego, czego wymaga sytuacja!

Potem wypowiedział swoją maksymę – Arktyki to nie mai – w otoczonej pięćdziesięcioma tysiącami metrów sześciennych żelazobetonu przestrzeni, która kiedyś dawała osłonę przed tymi, co panowali w powietrzu nad obszarem Rzeszy

To, co Krings mówił głosem o średnim natężeniu, potęgowało się nabierając charakteru zwycięskich komunikatów o sytuacji pod Stalingradem, odkąd Krings zastąpił Paulusa i objął naczelne dowództwo – Zasada działania jest znowu po naszej stronie!

Dzisiaj łatwo by mi przyszło postawić mojego ucznia Scherbauma w sakralnej żelazobetonowej budowli i nadać kształt jego publicznej spowiedzi: – Srebrnoustego musiałem skreślić. Powiedzieli: To jest zbyt polemiczne jak na pierwszy numer. Jeśli atakuje się Kiesingera, trzeba zaatakować i Brandta. Ten podobno chodził wtedy nawet w norweskim mundurze. Wtedy powiedziałem: W dupie mam waszego Kiesingera. Ale część o Hübenerze zostanie, bo w przeciwnym razie podam się do dymisji...

(W trakcie oglądania placu budowy powiedziałem Lindzie: – Jak będziemy kiedyś brali ślub, to tylko tutaj...).

Podczas gdy ze wszystkich sześciu oszlifowanych zębów były zdejmowane wyciski miedzianym pierścieniem, podczas gdy cała szóstka pieńków pod korony została posmarowana przyjaznym dla tkanek płynem tektor i osłonięta od wpływów zewnętrznych cynowymi kapturkami, ja trzymałem się tylko nieskończenie wesołego rendez-vous z Schockiem, programu za sto pięćdziesiąt osiem tysięcy marek, jak później obliczyłem. Pan Schock otrzymał okrągłe dziesięć tysięcy, dyrygent, nazwiskiem Eisbrenner, mógł zapisać na swoim koncie trzy tysiące. Charakteryzacja wydała na dopinki do włosów, peruki i szminki cztery tysiące trzysta. Główny oświetleniowiec i jego dziesięcioosobowa ekipa

zarobili przez sześć dni zdjęciowych pięć tysięcy sześćset osiemdziesiąt dziewięć marek. Zrobiłem zestawienie. Koszt rekwizytów, palm wachlarzowatych, kupionych wypożyczonych dawniej wypożyczonych teraz uszytych kostiumów, zastawek, strażaka, kamera na wózku z Rozgłośni Wolny Berlin bezpłatna. Wszystko to niewiele mówi o moim stanie w trakcie zakładania mi sześciu cynowych kapturków. Bo właściwie, póki szedł program i stawał się coraz droższy, zaprzętało mnie słowo „prysnąć”.

Chcieć prysnąć. Nie być już celem. Zmniejszyć się do niedostrzegalnych wymiarów. Jak pewni ludzie, którzy nikną na krótko za rogiem (żeby wyciągnąć parę papierosów) i już na zawsze stają się nieuchwytni, ponieważ rozprysnęli się (gdzie?) na maleńkie kawałki. Prysnąć to więcej niż ulotnić się. Choćby gumka do wycierania, która ściera się ochoczo wymazując pomyłkę; jak ja zetnę się szybko i do cna, rozpoznawalny już tylko w drobinach: ta, nie, ta, nie, ten okrucieństwo to typowy Starusch. Wykończył się przez swego ucznia. (Teraz Scherbaum obarcza mnie odpowiedzialnością za swoją nawalankę). Profesor gimnazjum, który angażuje się bez reszty i chciałby wszystko robić na raz. Ale to się już nie opłaca. (- Jestem rozczarowany, Filipie, skonsternowany i rozczarowany...).

W toku postępującego leczenia, gdy w trzy dni później zdjął mi cynowe kapturki, gdy przymierzył próbne mosty i gdy wepchano mi w usta różowy gips modelarski, próbowałem zniechęcić moją dentystę.

(Bieżący program telewizyjny przynosił dokument: „Morderstwo polityczne – Malcolm X”).

Gdy gips w mojej jamie ustnej zaczął się wiązać, on powiedział:

–Zahamowania wobec pańskiej koleżanki są wytłumaczalne: ten Schlottau zrobił z pana nieudacznika.

Zacząłem odsłaniać go warstwa po warstwie: on, który utrzymuje, że chce uspokoić świat poprzez sprawowaną na skalę światową opiekę nad chorymi, on, który widzi siebie w ciągłej walce przeciwko ofensywie próchnicy, on, który głosi na całe gardło potrzebę regularnych kontroli uzębienia w wieku przedszkolnym, on, właśnie on kilkakrotnie w ciągu godzin przyjęć wymyka się i znika w toalecie. Pokazywałem go, jak tam naprędcę, łapczywie, infantylnie i niepohamowanie pochłania ogromne ilości lepkich słodyczy. Na maleńkiej przestrzeni łasuje na stojąco, głośno, spieszenie, z zamglonym wzrokiem. A czasami, między jednym a drugim pacjentem, siada sobie na sedesie i mimo to się obżera. – Panie! – powiedziałem – pan mi chce wmówić zahamowania, być może kłopoty z potencją, a sam – proszę!

–siedzi w klozecie, z błyszczącymi oczyma ssie cukierki śmietankowe, zachłannie opycha się nadziewanymi czekoladkami, wylizuje lukier, jest niepokojony, że w torebeczce już nic nie ma, i zaraz po orgii sięga – proszę! – po zabraną ze sobą aparat aqua-pik, żeby pulsującymi strumykami wody zatrzeć ślady przesłodzonej nieprzyzwoitości – i pan chce być lekarzem?

Kiedy mój dentysta usiłował wytłumaczyć, że wybryk w toalecie był naukowym wypróbowaniem aparatu aqua-pik, nawet jego pomoc chichotała. Potem mówił o pewnych natręctwach, które przy dłuższym leczeniu przenoszą się z pacjenta na lekarza: – Chodzi tu o zarażenie psychiczne; bo co robił pan przed jakimś tygodniem, gdy więzi między pańskim uczniem a panem groziło bolesne zerwanie? No, jak pan sobie radził z tym bólem?

Przyznałem, że będąc nieszczęśliwy, pozostawiony w nieszczęściu samemu sobie i szczerze zrozpaczony zjadłem w ciągu pięciu minut dwie tabliczki mlecznej czekolady.

–Widzi pan – odparł – pańskie nieszczęście jest zaraźliwe.

–i wspierany przez swoją pomoc połamał specjalny różowy gips w mojej jamie ustnej.

Dzisiaj kontaktuję się z moim dentystą przez telefon, jak gdyby nic nie zaszło – A jak sprawuje się Scherbaum?

On opowiada rzeczowo o przewlekłości późnego leczenia tyłozgryzu i chwali wytrwałość mojego ucznia – Taka płytka korygująca, brzydki aparat na przednie zęby, jest, szczególnie dla niespełna osiemnastolatka, dokuczliwym obcym ciałem i na dalszą metę psychicznym obciążeniem, któremu nie każdy może sprostać.

Zdałem mu sprawę z działalności Scherbauma w roli naczelnego redaktora – Po wszystkich kompromisach może teraz bądź co bądź zapisać na swoim koncie niewielki sukces „Teraz mogą sobie kurzyć!“ Nawet Irmgarda Seifert głosowała za. Przy tym Scherbaum jest niepalący, namiętnie niepalący

Czasami list z gazetowymi wycinkami Podkreślenia na czerwono. Dwa, trzy telefony na tydzień. Raz byliśmy razem na wystawie w dzielnicy Hansa. Raz spotkaliśmy się przypadkowo na Kurfurstendammie i wypiliśmy herbatę w Bristolu. Dwa razy był u mnie, żeby popatrzeć na moje celtyckie skorupy i rzymskie bazaltowe fragmenty Ale do siebie nigdy nie zaprasza.

Obchodzimy się ze sobą ostrożnie Również polityczne niepokoje w mieście, ustąpienie rządzącego burmistrza i nadużywanie siły przez policję komentujemy z dystansem – To musiało nastąpić – W najlepszym razie słyszę delikatne aluzje – Pewne zahamowania podobno rozładowuje się ostatnio na ulicy – Tylko w ironicznych peryfrazach napomykamy o okresie leczenia, kiedy odstawialiśmy się, kiedy zbliżyliśmy się do siebie o wiele za bardzo

–Przyznaję, doktorciu, że ta pierwsza próba odbycia stosunku z Irmgardą Seifert po dwóch godzinach starań zakończyła się fiaskiem. A mimo to ona, kiedyśmy znowu palili, powiedziała. „To mi nie przeszkodzi cię kochać Musimy mieć dla siebie cierpliwość” I mamy cierpliwość I mamy To przez te liczne cięcia Ona wciska się wciąż między nas, no, ona, i zmusza mnie swoją szczegółową wiedzą z dziedziny wojskowości do wygłaszania wykładu o cemencie trasowym i jego przydatności dla budownictwa podwodnego Nasz związek nie może nawet dorównać surowej, aczkolwiek filmowo pociągającej brzydocie krajobrazu

Przedniej Erfel, poprzerzynanemu terenowi wydobywania pumeksu i obu czynnym kominom zakładów Kringsa, zwłaszcza że od pewnego czasu w nieczynnych kamieniołomach bazaltu spotykam nie tylko moją byłą narzeczoną, lecz także uczennicę Weronikę Lewand Linda i Wero coś wspólnie planują, akcje przeciwko mnie Tam, doktorciu, widzi pan?

Mój dentysta wspomniał mimochodem o dokumencie poświęconym Malcolmowi X – „Przemoc, jak się zdaje, ma przyszłość” – a potem powiedział – Dajmy sobie spokój z najzupełniej normalnymi zaburzeniami pańskich popędów i porozmawiajmy o cemencie Zebrałem informacje. O zakładach Kringsa nie może być mowy. W Kruft znajdują się zakłady trasy, cementu i kamienia Tubag SA, będące w stu procentach filią Dyckerhoffa. To przedsiębiorstwo, założone w roku 1922 jako wielki zakład kamieniarski, ma dzisiaj w rodzinie Dyckerhoffa najbardziej wielostronny program produkcji, w porównaniu z siostrzanymi zakładami w Neuwied wysyłka cementu przez Tubag jest wszelako relatywnie mała. Ale to tylko na marginesie, żeby wyjaśnić stosunki własności. Z kolei z odpowiedzi ardenaskiego urzędu pracy na skierowane doń zapytanie wynika, że w czasie ferii letnich w pięćdziesiątym czwartym i pięćdziesiątym piątym figuruje pan na listach Tubagu jako student pracujący, o inżynierze zakładowym nie ma mowy.

Mój dentysta szykował cynowe kapturki na stoliczku na instrumenty i czekał, czy odważę się wysunąć zastrzeżenia. Przyszła mi do głowy tylko bezradna kpina – Powinien pan pójść do policji kryminalnej. Naprawdę, powinien pan pójść do policji.

Uśmiechnął się. (Może pracuje dla policji kryminalnej) – Relatywnie łatwo było dotrzeć do tych dokumentów. Widzi pan, kazałem zrobić fotokopie. My, dentyści, dobrze ze sobą współpracujemy. I kolega z Andernach – doktor Lindrath – wyjawiał mi, że jedna z jego córek, która jest dzisiaj zamężna i pracuje jako lekarz pediatra w Koblencji, przypomina sobie, choć bardzo mgliście, studenta o pańskim nazwisku Ale to może być przypadek Poza tym ma na imię Monika No? Coś to panu mówi? Monika Lindrath? Tutaj z profilu? Tutaj en face? Tutaj z przyjaciółkami na Reńskiej Promenadzie w Andernach? Wciąż jeszcze nie? – Ładna osóбка.

Gdy pozostałem nieporuszony, zrezygnował z przesłuchania i wziął pincetą pierwszy cynowy kapturek – Też dobrze. Chętnie panu uwierzę, że jeżeli nie w Andernach, to w Mayen była jakaś Sieglmda. W końcu wszyscy byliśmy kiedyś zaręczeni. Nie jest moim zamiarem ograniczać pańską inwencję. Czy kiedy będę zakładał kapturki ochronne, nie zechce mi pan opowiedzieć o wielkiej grze o Stalingrad między dwojgiem Kringsów, córką i ojcem?

Ach, jakże złoto szerniało Powiniennem mojej 12a zadać wypracowanie na temat tego cytatu z Jeremiasza albo tylko słówka „ach” Na temat „ach owszem” – „ach tak” – „ach nie” Na temat „ach Boże” i okrzyków „ach” i „oj”. Na temat zdziwionego wyszeptanego poirytowanego „ach”. Na temat „ach” u Kleista i ironicznego „ach” u Manna. Na temat „ach” dzieci i na temat „ach” niedołączonych starców. Czym różni się „ach” wobec nadzwyczaj efektownego zachodu słońca od „ach” na widok morza? „Ach” w piosence: „Ach, straciłem

ją...” I „ach” w polityce: „Ach, drogi kolego Barzel...”. Naturalnie „ach” w reklamie: „Ach, to pani zmywa w Prilu...”. I „ach” kobiet, „ach-ach-ach-ach”, które Scherbaum już zna. (I „ach” poprzedzające imię: „Ach, Irmgardo, powinniśmy...”)

–„Ach, Wero, chciałbym...” – „Ach, Lindalindalindalinda...”)

Podczas gdy on zakładał cynowe kapturki, ja pokazywałem próbę generalną bitwy o Stalingrad i moją akcję pod hotelem Kempinski. W baraku cementowym D Krings wygrywał na stole plastycznym. Na rogu Kudammu i Fasanenstrasse był popołudniowy ruch. Linda reagowała markotnie. Ja trzymałem białego szpica na krótkiej smyczy. Uruchomiła „Zimową Nawałnicę” – na tarasie kawiarni było pełno.

–choć sytuacja paliwowa w kotle nie pozwoliłaby na żaden ofensywny ruch. Szpic nie ruszył się, gdy wylewałem na jego sierść buteleczkę benzyny. Elektromechaniczny system połączeń Schlottaua działał bez zakłóceń i przyciągał uwagę efektami wizualnymi. Ponieważ nafaszerowałem szpica valium, zachowywał się spokojnie. Na przykład przy równoczesnych kontmatarciach. (Ktoś, kto się przyglądał, zapytał: – Czy to na pchły?) Po wygranej próbie generalnej Krings odczytał zaproszenie; a w odczytywanie listy zaproszonych, jak i w odczytywanie mojej ulotki „Pali się!” wmixowałem przybycie pierwszych gości i błysk mojej sztormowej zapalniczki. Przybyli wyżsi urzędnicy państwowi z Moguncji, oficerowie Bundeswehry, emerytowany profesor gimnazjalny, dziennikarze, nieodłączni dyrektorzy generalni. Długi płomień poparzył mi dłoń, osmolił tweedowy płaszcz i skłonił do skoków ognistą kulę na smyczy. W cementowym baraku nieskrępowanie zaczęło się party na stojąco. (Chuchać na dłoń). Rozpoczęte rozmowy prawie nie zajmowały się zapowiedzianą grą na stole plastycznym, a i przechodnie pod tarasem Kempinskiego z początku ani rusz nie pojmowali. (Powinienem być na wszelki wypadek wziąć ze sobą maść na oparzenia). Chodziło o zawodowe sprawy gości: prognozy gospodarcze, kwestie personalne, przeważały dowcipy na temat urzędu Blanka i wspomnienia z urlopu. Zrazu nawet śmiech: – To chyba ma być jakiś happening. – W cementowym baraku ton nadawała cywilizowana wesołość. Musiałem puścić smycz: moja dłoń. (Ktoś parodiował prezydenta Republiki). Szpic tarzał się, skakał na stoliki z ciastkami. Jeden stolik się przewrócił. Linda w beżowej koktajlowej sukience i ciotka Matylda w swojej czarnej jedwabnej były jedynymi paniami. Oryginalny dźwięk: – Ten tam! Widziałem. Ten w okularach... – Z pomocą wynajętego kelnera dbały o napoje. Ktoś rzucił obrus na tłącego się, już tylko podrygującego szpica. Linda nalewała zbyt pełno do szklanek. Zostałem popchnięty i (gdy zacząłem rozdawać ulotki) pobity. Schlottau sprawdzał system lamp. Zgubiłem okulary. Jak w czasie próby generalnej premiera Kringsowej ofensywy przebiegała zgodnie z planem pomyślnie. Walili parasolami pięściami aktówkami. Połączył się z Hothem i stworzył podstawy do uderzenia na Astrachan. (Coraz większy pęcherz od oparzenia na mojej dłoni). Na krótko przed północą wyszli ostatni goście. Krzychałem: – Przeczytajcie najpierw moje ulotki... – Wycofała się również ciotka Matylda. Na Kurfürstendamie krwawiłem (miałem rozbity prawy łuk brwiowy), a w cementowym baraku D byłem wraz ze Schlottauem świadkiem, jak Linda na stole plastycznym zwyciężyła ojca. – To jest benzyna, nie napalm! – krzychałem. Linda udowodniła Kringsowi, że na czele natarcia chciał wystawić oddziały, które już po

„Uderzeniu Gromu” przestały istnieć: – Teraz kapitulujesz? – Gdy usiłowałem przedrzeć się do Fasanenstrasse, zostałem powalony na ziemię. – Nigdy! – (Miałem stracha). Krings powtórzył to słowo: – Nigdy! – Na bruku (w dalszym ciągu krzyczałem) znalazłem swoje okulary. Nic im się nie stało. Sieglinda położyła ojcu niemiecki pistolet wojskowy (ósemkę) na brzegu stołu plastycznego: – To bądź konsekwentny. – Na placyku przed kawiarnianym tarasem hotelu Kempinski byłem rad, gdy usłyszałem syrenę policyjną. (Bo oni by mnie). W cementowym baraku D staliśmy obaj ze Schlottauem: dwa słupy. Gliny też wzięły się do bicia. (A ja nie stawiałem żadnego oporu). Transformatory elektromechanicznej instalacji stołu plastycznego brzęczały. Ktoś krzyknął: – Zabić by takiego trzeba... – Krings wziął ósemkę do ręki i powiedział: – Zostawcie mnie teraz samego. – Ścisnąłem okulary w dłoni. Linda natychmiast wyszła. Zanim mnie powlekli, krzyknąłem jeszcze parę razy. Schlottau chciał oponować. Tamci się śmieli: – My już wiemy. – Krings machnął ręką. A ja także w karetce krzyczałem: – Napalm! – Nie zdobył się nawet na cytaty z Seneki. Potem zrobiło się czarno. (Moje zakłopotanie). Byłem zupełnie pogodny. Przed barakiem Schlottau i ja wypaliliśmy dwa papierosy. Dopiero w komisariacie się ocknąłem. (Miałem zapałki). Moja dłoń. Nie padł żaden strzał. Gdy zapytany o zawód, powiedziałem: – Profesor gimnazjum – policjant strącił mi okulary z nosa. Poszliśmy. (Teraz dopiero okulary się roztrzaskały). Schlottau życzył mi dobrej nocy.

–Ale to – powiedziałem do mojego dentysty – nie jest koniec.

–(Na ekranie leciała reklama; przegapiliśmy zamordowanie Malcolma X). Ale sześć cynowych kapturków siedziało.

–Brak jeszcze paru szczegółów: Scherbaum odwiedza mnie w szpitalu, coś mi przynosi: czekoladę, także gazety, a Krings, im bliższa jest jego klęska, tym bardziej niepoohamowanie zwalcza początki depresji nadziewanymi kremem drażetkami.

Mój dentysta zrozumiał: – Ach tak, ból! – Ale zostaniemy przy arantilu. Ileszcze szybciotko dwa na drogę...

I to jeszcze i to. (I ja i ja). I lekkość potem i zaczerpnięcie tchu potem. I o pogodzie i co się stało ze szpicem. I ktoś krzyknął: – Niech sam się spali! – A urzędnik z Moguncji spytał: – Czy mosty na Wołdze są nietknięte? – I przecinanie się i zmiana miejsca. Schlottau uderza i ja znajduję swoje okulary między szpicami pancernymi Hotha. (I tutaj, i tutaj). Długie płomienie z transformatorów i taras Kempinskiego na stole plastycznym. I poklask oraz aprobata. Tak by to powinno przebiec i wreszcie ktoś, kto ma odwagę. W maju i w styczniu. Niebo było wygwieżdżone, było też słonecznie, mroźno i przejrzyste...

–Niech pan powie, Scherbaum, nie cieszy się pan, że do tego nie doszło? – Nie wiem. – Ale gdyby dzisiaj musiał pan sobie zadać pytanie: Czy powinienem? – Nie wiem. – Ale gdyby coś innego w innym miejscu? – Nie mam pojęcia, jak bym. – A gdybym ja, może nie to, ale coś innego? – Przecież pan nigdy nic nie robi.

W trzy tygodnie po zakończeniu leczenia, w trzy tygodnie od momentu, w którym mając skorygowany zgryz starałem się dostrzec w sobie parę innych zmian – po raz pierwszy udało mi się przestawać z Irmgardą Seifert w sposób, który zdawał się dla obojga relatywnie zadowolający – w trzy tygodnie po zabiegu i w niewiele dni od chwili, kiedy to przestałem przyjmować arantil – odzwyczajanie się przychodziło z trudem i odbijało się na lekcjach – na początku marca, dokładnie czwartego, zaproponowałem Irmgardzie Seifert narzeczeństwo.

jako że nasz trucht wokół Jeziora Grunewaldzkiego wykorzystałem w charakterze rozbiegu, decydujące słowo padło na drewnianym mostku nad wolnym teraz od lodu połączeniem z Hundekehlesee.

–Miałbym niemałą ochotę, kochana Irmgardo, pójść do jubilera i kupić dwa różnej wielkości pierścionki...

Irmgardą Seifert poprosiła o papierosa: – Ponieważ przed kilku tygodniami w tym samym miejscu wymierzył mi pan policzek, muszę chyba przyjąć, że mówi pan to poważnie.

Byłem jej wdzięczny za drwiący ton: – Kochana Irmgardo, policzek był wstępem do naszych zaręczyn, ale jeśli pani powie teraz: nie, uderzę oburącz, zrezygnuję z zaręczyn i za karę ożenię się z tobą z miejsca.

Pociągnęła ledwie zaczętego papierosa i wyrzuciła precz: – Żeby zapobiec czemuś gorszemu, mówię półgłosem i nieuroczyście: tak.

Zrezygnowaliśmy z uroczystości, aczkolwiek przez kilka dni korciło mnie, żeby wydać przyjęcie; chciałem zaprosić nawet mojego dentystę. Wysłaliśmy bileciki. Pogratił i ofiarował pierwsze wydanie Schmeckelowej „Średniej szkoły stoickiej”.

Mojej 12a oznajmiłem o tym zaczynając od słów: „nawiasem mówiąc”. Nazajutrz Wero Lewand podsunęła mi (bez słowa) srebrną łyżeczkę do ciasta z wyrytym napisem, który wskazywał poprzedniego właściciela. (Tak dorabiamy się pamiątek).

W kwietniowym numerze uczniowskiej gazety „Znaki Morse'a” ukazał się komentarz Scherbauma: „Co poręczają sobie zaręczeni?” Swymi zwięzłymi zdaniami przeganiał słowo „zaręczyny” po obszarach absurdu: „Zaręczyny odbywają się. Podstawą zerwanych zaręczyn są zaręczyny, które uprzednio się odbyły. Chcąc odbyć ponownie zaręczyny, które zostały zerwane, trzeba najpierw zerwać z zerwaniem. Zerwane zaręczyny kosztują więcej niż te, które się odbywają...”

Irmgarda Seifert nazwała komentarz „dość niesmacznym”. Prosiła mnie, żebym wniósł o zwołanie narady, na której należałoby rozważyć konfiskatę kwietniowego numeru. Poprosiłem Scherbauma, żeby ją przeprosił: – Musi pan zrozumieć, Filipie, że pani Seifert na pańskie niekiedy dwuznaczne gry słów nie może reagować jak młoda dziewczyna. – Scherbaum również jako redaktor naczelny starał się mnie nadal oszczędzać: – Jasna

sprawa. Zrobię to. Nie mam najmniejszego zamiaru przysparzać panu kłopotów z nią.

Wciąż jeszcze nie doszło między nami do zerwania. W majowym numerze uczniowskiej gazety ukazała się w rubryce „W telegraficznym skrócie” najpierw wzmianka o przeciętnej konsumpcji papierosów w „legalnym” kąciku dla palaczy, potem zapowiedź wizyty państwowej: „Do Berlina przyjeżdża szach Persji. Myśmy go nie zapraszali”, a przed ogłoszeniem szkoły tańca Antoine'a pod nagłówkiem „Zawiadomienia” znalazło się nie odbiegające od prawdy zdanie: „Pani Seifert i pan Starusch są wciąż jeszcze zaręczeni”.

Również Irmgarda próbowała się śmiać: – Przypuszczam, że to nie Scherbaum, tylko mała Lewand lansuje te uszczypliwości. Co ty sądzisz, Eberhardzie?

(To ona lansowała i lansuje nadal. Jest w ofensywie. Ma za sobą większość w komisji uczniowskiej samorządu szkolnego. Postawiła wniosek o votum nieufności dla Scherbauma. Chce go odstrzelić. Zaraz po wizycie szacha zaczęła wydawać antygazetę: „Postanowiliśmy nie wdawać się już w żadne kompromisy...” Jest na samym przodzie. I nieraz już widziałem ją w gazecie, pod rękę, spieszonym krokiem, na samym przodzie...).

Myśl, żeby zaręczyć się z Irmgarda Seifert, przyszła mi do głowy ostatniego dnia leczenia. Jeszcze raz dawał swoje sygnały – Teraz będzie drobne, nieprzyjemne ukłucie – Niech no pan popłucze.

–jeszcze raz doszło do dialogu wewnętrznego, który wypuszczał na ekranie słowne baloniki. Obaj z moim dentystą przemierzaliśmy ziemski glob. Nasze modele zakrojonego na szeroką skalę porządku

–jego zasada opieki medycznej, moja pedagogicznej – potęgowały się i kasowały nawzajem. Byliśmy śmiało radykalni i absolutnie szczerzy. Nawadnialiśmy Saharę. Osuszaliśmy tradycyjne bagna. On łagodził agresywność: – W ramach opieki na skalę światową wyłączy się gwałtowność, to znaczy jej receptory albo – żeby to ująć popularnie – miejscowo znieczuli... – Ja uspokajałem pedagogicznie: – Z pomocą środków masowego przekazu, w ramach zakrojonego na światową skalę procesu nauczania, przedłuży się status ucznia aż po wiek starczy... – Ale choć z wielką pilnością prześcigaliśmy się w skakaniu o tyczce, resztką ziemskiej siły ciężkości skłaniała nas raz po raz do współzawodniczenia w siłowaniu się na splecione palce.

W pierwszym programie siedł film dla narciarzy i takich, co chcieli nimi zostać: „Od telemarku do slalomowania”.

Ponieważ traktował mnie jak cebulę, która odzierana z kolejnych warstw, stawała się coraz mniejsza i coraz bardziej szklista, wyrugowałem śnieżny pył i szybkie nartostrady programem dokumentalnym o seansie spirytystycznym, w którym wzięli udział także mój dentysta i jego pomoc (jako medium): zwyczajowe wirowanie stolika.

Ledwie zaaplikował mi cztery zastrzyki, obraz z podglądu począł ukazywać coś więcej niż

nasze zgrane trio: w gabinecie panował tłok. To płynne, to znów wyraziste zjawy: nadwrażliwe ciała astralne, które sprawiając zawód pokrywały się z potocznym wyobrażeniem duchów w nocnych koszulach, urządziły sobie telepatyczne spotkanie.

Obecna była również moja mamusia. Zapytałem ją, czy mądrze jest zaręczać się po raz wtóry, i otrzymałem matczyną radę, że najpierw trzeba stworzyć jasną sytuację. Po kilkukrotnej, przekazywanej przez medium, czyli pomoc dentystyczną, wymianie słów dowiedziałem się, że moja mamusia była na bieżąco ze wszystkim, co dotyczyło Irmgardy Seifert: – Tylko mi głupot żadnych nie rób. Pierwsza sprawa to te durne listy zniknąć muszą. Bo przecie spokoju nijakiego nie będzie, kiedy ona w kółko o tym, co wtedy bywało, gadać będzie...

W trzy tygodnie później usłuchałem rady mojej matki i ledwie postanowiliśmy się zaręczyć, poprosiłem Irmgardę Seifert o plik starych listów.

Powiedziała: – Chcesz je zniszczyć, nieprawdaż?

Chociaż właściwie chciałem je tylko trzymać pod kluczem, odparłem: – Tak. Chcę cię od nich uwolnić.

Już w trakcie naszej następnej wędrówki wokół Jeziora Grunewaldzkiego dała mi ten plik. W kotlinie na piaszczystym wschodnim brzegu ułożyłem listy warstwami. Spaliły się prędko.

W drodze powrotnej Irmgarda Seifert zwróciła mi uwagę na tabliczkę z jednostronnym zakazem: – Mieliśmy szczęście, że nie przyłapał nas żaden z robotników leśnych...

W telekinetycznie powiększonym gabinecie mojego dentysty moja mamusia, zanim jeszcze zostały zdjęte cynowe kapturki, udzieliła mi dalszych rad, podczas gdy na ekranie, być może za sprawą stanowiącego podkład filmu o narciarzach, kłębiło się mlecznie, widmowo. (Ciała astralne ślalomowały).

Moja mamusia upominała mnie, żebym pił mniej piwa i zmienił pralnię; stan moich koszul nie mógł się jej podobać. Dosłownie kazała mi powiedzieć: – Byś se rogi obejrzał. Dzisiaj kołnierzyka uprasować nie potrafią!

Potem prosiła mnie, żebym miał oko na jednego z moich uczniów, bo ten od wczesnego lata, w związku z zapowiedzianą „wysoką wizytą”, może znaleźć się w niebezpieczeństwie. – Wiesz, synku, on taki jest, jaki ty byłeś... Zawsze cię gdzieś nosiło i lekkomyślnyś był jak wszyscy diabli. Ile to ja się namartwiłam...

Prosiłem mamusię o wybaczenie i obiecałem, że będą miał oko na Scherbauma. (Nic mu się też nie stało pod Operą, ale Wero Lewand mogła się pochwalić stłuczeniami i krwiakami).

Mój dentysta zdjął mi cynowe kapturki. Próbowałam dalszych rozmów ze zmarłymi: – Ale oni wszyscy jeszcze żyją, doktorciu. Bo Krings wziął co prawda rewolwer wojskowy, który

córka położyła mu na brzegu stołu plastycznego, ale jak Paulus wolał się nie zastrzelić. Nazajutrz rano wezwał rodzinę do gabinetu, a więc także Schlottaua i mnie, przyznał się do klęski i wspomniawszy samobójstwo filozofa Seneki i marność śmierci zapoznał nas za swoimi decyzjami: „Jestem zdecydowany rozpocząć zwyczajny zwrot na innym polu; przejdę do polityki”.

Potem ja podjąłem decyzję: oznajmiłem, że zrywam zaręczyny z jego córką. Zaakceptował to i dał do zrozumienia, że to postanowienie mu odpowiada. A Schlottau, nie pytany, powiedział: „To rozsądny krok”.

Tak zakończyła się ta wojskowo-rodzinna gra wojenna; ale jeśli pan pozwoli, doktorciu...

Mój dentysta był przeciwny wariantom i nie chciał znieść żadnej ostatniej rozmowy z Lindą: – Pan już skończył, mój drogi. Finał, kurtyna i żadnych dodatków. Jako dentysta codziennie słyszę podobne trójkątowe historyjki, przyodziane w historyczny lub bliski teraźniejszości kostium. Ekonomiczne, religijne, kryminalne, a czasem nawet podatkowo-prawne przebrania muszą ogrzewać wciąż jednakowo biedny trójkąt. Nim zechce pan zrobić z nas świadków wesela Lindy ze Schlottauem, popatrzmy lepiej na narciarzy: to żyje, slalomu-je, wzbija tumany śniegu, pozostawia ślady, śmieje się i wypija na koniec swoją ovomaltine. Krótko mówiąc: pogrzebał pan wreszcie swoją byłą narzeczoną?

–Udało mi się, jak w swoim czasie malarzowi Antonowi Möllerowi, który w moim rodzinnym mieście obiecał sobie córkę burmistrza...

–Zatem jednak jeszcze jedna historyjka?

„Wykręcaniem kota ogonem” nazywa Wero Lewand tę czynność. Podczas gdy on był zaprzątnięty przygotowywaniem cementu dentystycznego, osuszaniem ciepłym powietrzem oszlifowanych zębów i zakładaniem obu mostów, ja ożywiałem ekran przypowieścią o malarzu Möllerze.

Wszelako nie tylko opowiadałem klasyczną historyjkę trójkąta (którą mój dentysta chętnie by w imię postępu poświęcił), ale i pozwalałem sobie jednocześnie robić aluzje do jego trójkątowej sytuacji; bo kto się nie zorientował, że mój dentysta pomiędzy żoną

–matką swoich dzieci – a swoją pomocą dentystyczną jest typowo staroświeckim uczestnikiem trójkątowego układu?

–I oto co się przydarzyło mojemu krajanowi, utalentowanemu Antonowi Möllerowi, który w roku 1602 miał namalować dla gdańskich rajców „Sąd Ostateczny”: praca na zamówienie, którą wyzywający się dotychczas w manierycznych alegoriach artysta zawdzięczał przyszłemu teściowi, burmistrzowi miasta. Córka patrycjusza miała zostać poślubiona, skoro tylko przyjdzie czas na wypłacenie ustalonego na hanzeatycką miarę honorarium.

Z rajsko nudną częścią tablicy Möller – żeby mieć ją za sobą.

–uporał się szybko podług ówczesnej mody. Cieszył się na czyściec i strącenie do piekła, które, będąc synem portowego miasta, chciał pokazać z udziałem statków. Grzesznicy mieli płynąć barkami, szalupami i eleganckimi łodziami w dół rzeki, do której musiała pozować Motława, dopływ Wisły. A w jednej z łodzi płynącej w dół chciał umieścić nagą kobietę – grzech po prostu; był wszakże przywiązany do alegorii.

Lecz także grzechu nie dawało się i nie daje przedstawić bez modelu. Pozowała mu córka flisaka – bujnie wyrosłe orylskie dziecię – opierając się na jednej, swobodnie stawiając drugą nogę, oferowała mu swe kształty i gdy narzeczona malarza obejrzała zaawansowaną już podróż do piekła, z miejsca uznała tamtą za nader podejrzaną uczestniczkę trójkąowego związku, który pan, drogi doktorciu, choć sam uczestniczy w trójkacie, chce uważać za anachroniczny przeżytek; tymczasem malarzowi Möllerowi pomógł on uzyskać artystyczny efekt.

Narzeczona zrobiła awanturę. Ładna, lecz na uosobienie grzechu za mało bujna dziewczyna podburzyła ojca, ba, radę i miejskich ławników. Möller miał zostać zmuszony do zaparcia się swojej sztuki. Dano mu do wyboru: albo znane w mieście flisackie dziecię zmieni nie do poznania – albo zrezygnuje z honorarium i córeczki burmistrza.

Tak doszło do owego pierwszego artystycznego kompromisu, który miałem na myśli, dopóki usiłowałem mówić o Ferdynandzie Kringsie, przy czym oryginał nie wstydzi się tego, że również ma na imię Ferdynand. Möller namalował flisackiej dziewczynie nową twarz, która przypominała jego narzeczoną; jakże inaczej miał sportretować grzech, skoro mu zabroniono pokazywania figlarnej miny przedmiejskiej – flisacy mieszkali wokół Świętej Barbary na Dolnym Mieście

–nierządnicy?

Wrzawa z powodu publicznego i grzesznego przedstawienia burmistrzowej córki pozostawiła ślad nawet w kronice miasta: cechy i bractwa, stając po stronie Möllera, wybuchnęły wielkim śmiechem i śpiewały satyryczne piosenki. Już wisiał w powietrzu spór polityczny. (Chodziło o prawa do warzenia piwa i połowu ryb). Wówczas rajcowie zapomnieli o groźbach i, z burmistrzem na czele, spróbowali próśb.

Tak doszło do owego drugiego artystycznego kompromisu, który i mnie wyznaczał granice, gdy stawiałem oboje Kringsów, ojca i córkę, pośród cementu, pumeksu, trasy i tufu; nie wokół ciała flisackiego dziecięcia, lecz wokół ładnej i niemądrej buzi swojej narzeczonej Möller namalował odbijający światło szklany klosz, który dziś jeszcze stanowi dla nas zagadkę: co delikatna, raczej kozio wąska i pod szkłem mistycznie zamglona główka robi na takiej masie poręcznie krąglego ciała? (Niech pan tylko popatrzy, do jakich refleksów zdolny jest szklany klosz: wszystko się odbija, wszystko – świat i jego sprzeczności...).

I Möller, nabrawszy rozmachu, akurat w łodzi, która miała zawieźć grzech do piekła, namalował wszystkich rajców, a także burmistrza: łudzaco podobnych i nie za szkłem.

Tak doszło do owego trzeciego artystycznego kompromisu, któremu poddam się także ja; bo podobnie jak ja nie śmiem wymieniać pana i pańskiej pomocnicy po imieniu – co by na to powiedziała pańska żona? – tak też malarz Möller nie był gotów wyprawić do piekła rajców wraz z burmistrzem i córeczką: w nurtach podniesionej do rangi Hadesu Motławy namalował siebie. Ze wszystkich sił powstrzymuje łódź i spogląda przy tym na nas: gdyby nie ja, migiem popruliby w dół.

Artysta jako wybawca. Zachowuje nam grzech. Nie porzuca trójkąta. Jak przecież i pan potajemnie trzyma się trygonalnej konfiguracji. Zgadza się, doktorciu? Szczerze? Zgadza się?

Mosty siedziały i mój dentysta wyłączył telewizor. Jego pomoc podsunęła mi lusterko. – Co pan teraz powie?

(Z takimi zębami mogę się pokazać. Jak się schodzą. Mając taki zgryz człowiek weselej się śmieje. Czuje głód i chce wgryźć się w jabłko. Mając taki zgryz zaręczę się. Tak. Powiedz: tak. Tak. Powiedz: tak. Tyle zębów – i wszystkie do mojej dyspozycji. Wyjdę z nimi na ulicę...)

Mój dentysta – nie zaś jego pomoc – pomógł mi włożyć płaszcz:

–Jak tylko przejdzie znieczulenie, pański język będzie szukał dawnych luk. To się potem ułoży.

A gdy stałem już w drzwiach, dał mi karteczkę: – Na wszelki wypadek zapisałem panu podwójne opakowanie. Chyba wystarczy. – Był pan miłym pacjentem.

Na zewnątrz był rzeczywiście Hohenzollerndamm. Po drodze do Elsterplatz natknąłem się na Scherbauma: – No, Filipie? U mnie już po bólu. Mogę teraz gryźć całym kompletem.

Żeby nie było wątpliwości, pokazywałem moją złagodzoną progenię; Scherbaum pokazał mi swój późno leczony tyłozgryz: – To jest aparat ortodontyczny. Dość uciążliwy.

Wciąż jeszcze mówiłem bełkotliwie: – Zatem dobrej zabawy!

Scherbaum odparł: – Jakoś wytrzymam.

Zaśmialiśmy się bez powodu. Potem on poszedł, potem ja poszedłem i gryzłem powietrze przed sobą...

Lindalindalindalinda... (Mordercze zamachy na zapas). Pojechałem za nią. Styczeń 65: pani Schlottau z mężem i dziećmi chce spędzić zimowy urlop na Sylcie, tak radził lekarz. Codzienne wędrowanie po wygładzonych wiatrem wydmach. Z zamkniętymi ustami pod wiatr rozszerzający pory przez odludną Listlandię. Wdychając jod wokół Ellenbogen lub też wokół cypla Hórnum, gdzie watty łączą się z morzem tworząc wiry. Ojciec codziennie

wytycza szlak na mapie turystycznej. Popatrzcie na tę rodzinę: chłopaki w gumowych butach na przodzie, matka w wiatrówce trzyma się środka peletonu, ojciec jako straż tylna, uzbrojony w lornetkę. Tak się ich widzi, jak szukają muszli, zdrowia, przemierzając brzeg w tę i we w tę.

I ja na czatach: z językiem przy narastającym kamieniu nazębnym, rozplaszczony pośród szumiącej piaskownicy zwyczajnej, chichocząc, ponieważ chłopaki znajdują tylko żarówki, które morze wspaniałomyślnie wyrzuciło na brzeg. Są całe, jak gdyby jeszcze się nadawały. Wiatr pędzi je z drżącymi płatami piany po brzegu w czasie odpływu.

–Weźmy! – Tato, weźmy!

(Znów przychodzi wczoraj i przedkłada rachunek za światło).

Będąc docentem w Wyższej Szkole Sportowej w Kolonii dorabiałem w czasie letnich ferii jako kąpielowy. Obsługiwałem maszynę do robienia fal słynnego basenu falowego z morską wodą. W pantoflach z żaglowego płótna człapałem po ciepłych kafelkach. Moje spojrzenia rzucające przelotnie ku basenowej restauracji nad prysznicami i kabinami, gdzie starsi kuracjusze i miejscowi nie-pływacy za szklaną taflą nabierali apetytu; również jedna, dwie rodziny, ale to nie Schlottauowie.

Kiedy nadciągnie ta podążająca gęsiego rodzina? Szersza w biodrach, ale to wciąż jeszcze uparta kozica, surowa i kanciasta w pobliżu stajenki i tylko na zboczach powabna. Kiedy nadciągnie, z małymi rozkazami w sercu: „Ulli, ty mi się będziesz kąpał tylko wtedy, kiedy powiem: teraz się kąpiemy”. – „Ależ nie gap się tak na ludzi, tato”. – „Nie będzie nurkowania, Wolfuniu, słyszysz? Nie będzie nurkowania”.

Klan w gumowych butach jeszcze wędruje, nawiedza Kampen, Keitum, Morsum. Chcą – lekarz tak radził – najpierw się zaaklimatyzować. Jeszcze wybałuszają oczy na kryte trzcina fryzyjskie domy. Jeszcze pokazują sobie stateczki na horyzoncie. – Patrz, latarnia morska! Patrz, odrzutowce! Patrz, mewy na rozwalonym bunkrze...

jada się, co morze ma do zaofiarowania: halibuta i turbota, flądry i sole. Tata chce węgorza – mama zmienia na dorsza. Jemu chce się małży – ona uważa, że dzisiaj nie będzie zupy. Dzieci wcinają po pół porcji, przeważnie, bo to bez ości, filet z karmazyna. I to na przemian: raz smacznie i drogo u Kiefera; raz byle jak w pensjonacie: potrawka cielęca w zasmażce. I deser: budyń z grysiku z sokiem malinowym.

Rodzina szybko przywykła do obcego otoczenia. Wypoczywają bez kina. (Tata i mama piszą pocztówki z fokami do dziadka i ciotki Matyldy). Małżeństwo się układa. Wieczorem, zanim się położą, ona czyta – cóż ona takiego czyta? (Powieści w odcinku z zaczytanych magazynów ilustrowanych, już nie bierze do ręki Clausewitza, Schramma, Liddell Harta).

W swoim kambuzie, koło tablicy rozdzielczej maszyny do robienia fal, fałszywy kąpielowy zostawia swego Marksengelsa w kieszonce i strona po stronie zaciąga się spuścizną

Nietzschego.

Teraz malcy się napierają: – Mamo, kiedy pójdziemy kąpać się w falach. – Obiecałeś, tato. Kiedy pójdziemy kąpać się w falach, kąpać w falach... – Przed chwilą jeszcze bezwładny, język kąpielowego ociera się o nowy, wciąż nowy kamień nazębny. (No, chodźcie już, chodźcie!). Błądzi niespokojnie, wykazuje mu, gdzie szkliwo jest kostropate i gdzie są przewiewne luki między odsłoniętymi, lękającymi się zimna i gorąca szyjkami zębów. Kiedy gospodarz chce, żeby język ułożył się bezwładnie, on wstaje, rusza w drogę i stara się pieszczotliwymi szturchnięciami, łagodnym potrącaniem coraz bardziej rozhuścić ten jeden, wskutek zaniku dziąsła osłabiony kieł.

Teraz, wszedłszy drzwiami dla mężczyzn i dla kobiet, wykąpani wstępnie w wodzie z mydłem i lekko speszeni wielością kąpielowych przepisów, są w jego rękę.

Coś tak prostego jak maszyna do robienia fal: dwa tłoki, które na zmianę poddają ciśnieniu podgrzaną do dwudziestu dwóch stopni morską wodę. (Po dwudziestu minutach ciszy dziesięć minut burzy). Naiwny, przełożony na język techniki system kipieli. (Nazbyt silne ssanie łagodzą różne tempa wznoszących się, opadających tłoków). Być może wynalazca przyglądał się dzieciom, jak rzucając kamieniami wywołują fale w kałuży. Oto łatwa w obsłudze maszyna działa. Wystarczy naciśnięcie guzika: Kąpiel w falach! Kąpiel w falach!

Jak radosne wrzaski załamują się między wyłożonymi kafelkami ścianami. Świadomi swego ciała starsi panowie, korpulentne panie, tuzin rekrutów Bundeswehry z Hörnummer Ecke (byli zapowiedziani i za zbiorowy bilet musieli mniej zapłacić) – także młodzież z Westerlandu, która teraz w styczniu może kąpać się taniej, bez karty kuracyjnej, tylko na legitymację. I pomiędzy wszystkimi: ona ona ona. Wokół miednicy kwoka, wyżej dziewczyna. Ona z potomstwem, które ma kiedyś dziedziczyć. Ona ze swoim tłustym już rypają.

Oto wchodzą, kwoka pierwsza, do basenu. Ochlapać się, pokrzyczeć z radości.

–Oj, mamo, jak to fajnie kąpać się w falach!

I niech język odstąpi od kamienia nazębnego, żeby nabrać rozpędu.

–Nie ma nurkowania, Wolfuś. Ulli, zostań z tatą! Powściągliwe fale przybojowe pierwszego biegu wychodzą spacerkiem przed swoją kratę i utrzymują stosowny odstęp.

–Bądźcie przy mamie. Bo jak nie, to zaraz wyjdziecie z wody i już nigdy więcej...

Teraz dopiero docent z Kolonii małym palcem przechodzi z pierwszego na drugi bieg, bo jego maszyna do robienia fal ma trzy biegi.

(Szukać w książkach i znaleźć: wszelkie zamierzone zdarzenia można zredukować do zamiaru pomnożenia władzy).

Dlatego prędko, zanim ochota do kąpeli zdąży przerodzić się w strach i ucieczkę na kafelki obramowania basenu, włączyć trzeci bieg i nastawić oba tłoki na to samo tempo, żeby ssanie doszło do swoich praw. Okrutne morze – wzburzone morze. Bo to wykąpane wstępnie towarzystwo ze swoimi mosiężnymi numerkami na przegubach, tłuste panie i szpakowaci panowie, rekruci Bundeswehry z młokosami z Westerlandu i ona ze swoim klanem: wszyscy zostaną poddani próbie.

Już pierwsza nakazana przez drugi bieg fala przybojowa rzuca ich, to boli, na wykładane kafelkami stopnie do basenu. Krzyk bólu. Ssanie odciąga ich. Niezawodnie łapie ich trzeci bieg, niesie po stopniach i ciska o przednią ścianę dopiero przed rokiem otwartego basenu z falami. Nie, glazurowany klinkier nie trzaska, pękają żebra.

(Jeszcze dopiero co szukałem w spuściźnie lat osiemdziesiątych odnośnych fragmentów i znajdowałem je, a teraz wzrok kąpielowego przeskakuje znad książki do szklanej tafli basenowej restauracji: tamci rozplaszczają sobie nosy o szybę).

Bo już ssanie chce cofnąć i uspokoić to, co uczynił przybój; lecz ten ma pyskatego brata: Niczego się nie cofnie! Zerwane zaręczyny to zerwane! (Kamień nazębny: skamieniała nienawiść).

Po czwartej, szturmującej przednią ścianę fali przybojowej dzieciaczki dryfują bez życia. Jeszcze raz jej wysoki głos: – Wolfuś, Ulli, o Boże! – nie pada pytanie o tatę – potem już żadne dziecko i żaden krzyk bólu nie chce powstrzymać gwałtownej kipieli i przywołać wygladzającej wzburzone wody boskiej dobroci.

Nawet w basenowej restauracji panuje nastrój skupienia: Kiepsko to wygląda w akwarium, kiepsko. Kelnerzy pozwalają ponczowi ostygnąć. Kilku gości fotografuje. Kąpielowy wkłada zakładkę do książki i ogląda rzeczywistość. Przykłada języczek do tego jednego, już obluzowanego kła: jak on się ugina i poddaje. Chce ich wypędzić ze świątyni. Już drży klinkierowa ściana, wymurowana z półcegiał. Bo ani architekt, ani komisja zdrojowa, wydając zgodę na tę budowę, planując tę ścianę, nie liczyli się z takim naporem. Teraz mści się sposób budowania: zaprawa ustępuje, puszcza. Już ostatnia fala przybojowa tryska z wygiętej kraty. Przeskakuje ukryte ssanie, bierze w ramiona, przemykając, dryfujące, nieme towarzystwo i rzuca je, wyłamując mur, na wczesne styczniowe popołudnie. Jeden miot, słono opłukiwany, ciska na kamienne płyty placyku za promenadą zdrojową. Lekkie dzieci zanoszą aż pod akwarium, w którym milutkie foki śnią o nowych, coraz to nowych śledziach. Mamo, kiedy pójdziemy karmić foki...”). Już, z wiatrem, nadciągają mewy. Później fotografowie. Jeszcze trzy, cztery razy bluzga z rozdziawionej przedniej ściany. Potem basen jest pusty. Klucznice z męskiej i damskiej przebieralni zaglądają ciekawie do wystawionej na przeciagi hali. W restauracji, za zapoconą szklaną taflą, płaci się rachunki. Na jałowym biegu, wciąż jeszcze głodne, szaleją tłoki maszyny do robienia fal. Fałszywy kąpielowy wyłącza ją. Zmęczony, częściowo zadowolony pakuje książki, zachodzi do swojej kabiny, stara się być smutny.

Trochę rozczarowany, bo wszystko poszło tak szybko, wkrótce potem – jeszcze zanim wkroczyły władze i obstały miejsce zdarzenia – opuściłem letnie i zimowe uzdrowisko: pociąg pośpieszny do Hamburga-Altony wiozł mnie przez groblę Hindenburga...

Na moim biurku zastałem to, co pozaczynane: Gest wytrwania – czyli sprawa Schoenera. – W dwa lata później Wero Lewand rzuciła szkołę i wyszła za mąż (na krótko przed maturą) za kanadyjskiego lingwistę. Scherbaum studiuje medycynę. Irmgarda Seifert nadal jest zaręczona. A u mnie na dole po lewej zrobiło się ognisko zapalne. Degudentowy most został przepiłowany. Trzeba było wyrwać dolną szóstkę. Ognisko zostało wyłęczekowane. Mój dentysta pokazał mi wiszącą na czubku korzenia małą torbiel: ropno-wodnisty twór. Nic nie jest trwałe. Coraz to nowe bóle.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-14

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/